



PEGGY WEBB

**Burza
namiętności**

Przełożyła Małgorzata Witeska
Tytuł oryginału The Secret Life of Elizabeth McCade



BURZA NAMIĘTNOŚCI

Zerwała się na równe nogi i szczelnie otuliła szlafrokiem. Czarny Sokół leżał oparty o poduszki i wyglądał jak bożek z brązu, oczekujący należnego mu hołdu.

Poszukała wzrokiem pistoletu - wciąż lśnił na prześcieradle.

- Przyniosłam broń, żeby jej użyć przeciw twoim wrogom. Ale strzeż się, gdyż nie zawaham się użyć jej również przeciwko tobie.

Wybiegła z pokoju, przyciskając pistolet do piersi, i zatrasnęła głośno drzwi. Czarny Sokół uśmiechał się w mroku; ogarnęły go dwie sprzeczne namiętności. W tej chwili żądza walki przegrywała z pragnieniem kobiety. Zdobędzie ją. Musi ją zdobyć!

PROLOG

Czarny Sokół stał na urwistej skale i spoglądał w dolinę Tombigbee. Światła miasteczka łagodnie rozjaśniały nocne niebo. Las był całkiem cichy, jakby uśpiony. Żaden powiew nie poruszał gałęziami sosen, żaden odgłos nie zdradzał obecności zwierząt, zajętych zwykłymi nocnymi sprawami. Noc nie różniła się niczym od wielu innych letnich nocy w Missisipi.

Ale Czarny Sokół wiedział. Wpatrując się w ciemność, dostrzegał cichy szereg Chickasawów, jego współplemieńców, strzegących ziemi przodków. Gdy nadejdzie ranek, staną twarzą w twarz z białymi ludźmi - politykami i urzędnikami z miasteczka - zdecydowanymi zamienić część terytorium plemiennego Chickasawów w centrum handlowe.

Przez ostatnie dwa miesiące Indianie wznosili barykady i teraz wydawało się, że sytuacja jest bez wyjścia. Wzrastało zniecierpliwienie, a w ludziach wzbierał gniew. Pojedyncze akty przemocy przekreśliły szansę pokojowego rozwiązania konfliktu. Polała się już krew, ale nie był to jeszcze koniec...

Czarny Sokół zszedł ze skały. Warta dobiegła końca, mógł wrócić na farmę. Wskoczył na konia i pogalopował drogą wiodącą przez las. Drzewa szeptały mu do ucha pradawne tajemnice, a nad ich wierzchołkami majestatycznie unosił się jakiś nocny ptak. Czarny Sokół zbliżał się już do polany, gdzie znajdował się jego dom. Indianin cicho zatrzymał konia i uniósł głowę, wdychając delikatne zapachy ziemi: żywną woń urodzajnej gleby, ostry aromat sosny i słodczyk kapryfolium. Nagle zastygł w bezruchu: poczuł jeszcze jeden.

obcy zapach - woń dymu. Spał konia i pogalopował w tamtą stronę. Z daleka usłyszał wycie syren. Gnał przed siebie, a serce mocno kołatało mu w piersi. Minał zagajnik i zobaczył swój dom stojący w płomieniach. Wozy strażackie otaczały podwórko, migając światłami.

Czarny Sokół zatrzymał konia i patrzył. W zeszłym tygodniu samochód, a dzisiaj dom. Wróg pragnął jego śmierci.

Płomienie strzelały wysoko w górę ze złowieszczym trzaskiem. Indianin podjechał do samochodu szeryfa Wayne'a Blodgetta. Szeryf wysiadł i powoli podszedł do Czarnego Sokoła, sapiąc pod ciężarem ponad stu kilogramów i ocierając z twarzy pot.

Gorąco tu dziś jak w piekle - powiedział, przesuwając chustką po grubej szyi, i chwycił konia za uzdę. - Dobry wieczór, Czarny.

Dobry? - Czarny Sokół wpatrywał się w płonące domostwo. Nic nie da się uratować. Za późno.

Cholernie mi przykro, przecież wiesz. - Wayne otarł znów twarz. - To sprawka tych przeklętych budowniczych centrum handlowego. Chcą twojej krwi.

Dlaczego?

Sam najlepiej wiesz, dlaczego. Jesteś przywódcą oporu. Gdyby nie ty, cała historia skończyłaby się co najmniej dwa miesiące temu.

Chcą wyciąć tyle drzew tylko po to, żeby zbudować jeszcze jeden okropny betonowy budynek, następny pomnik cywilizacji Białego Człowieka.

Czarny Sokół zeskoczył z konia, schylił się i podniósł kawałek zwęglonego drewna. Trzymając go w ręku, wyprostował się zdecydowany.

- Raczej umrę niż pozwolę tknąć choćby jedno drzewo na ziemi moich przodków - stwierdził, patrząc szeryfowi prosto w twarz.

Szeryf kłął, aż jego policzki stały się prawie tak czerwone jak płonący wokół ogień. Położył dłoń na ramieniu Indianina.

- Oni właśnie tego chcą, Czarny: twojej śmierci.

Czarny Sokół stał w milczeniu, wpatrując się w przyjaciela-

la oczyma koloru nocnego nieba. Wayne wyciągnął z kieszeni wymiętą i brudną kartkę.

- Przeczytaj - powiedział.

Czarny Sokół wziął kartkę i podniósł do oczu, żeby odczytać treść w świetle płomieni. „Ty, czerwonoskóry lotrze, będziesz następny. Zabierz z lasu tę swoją bandę albo umrzesz” - brzmiała pogrożka.

- Skąd to masz?

Wayne splunął na ziemię.

- Znalazłem ją na tamtym dębie. Była przybita strzałą.

- Nie dam się zastraszyć. - Czarny Sokół oddał kartkę szeryfowi. - Sprawdź to. Przekaż policji, niech się tym zajmie, o ile tamci jeszcze wszystkich nie przekupili.

- Wolałbym, żebyś wyjechał na jakiś czas, Czarny.

- Nie, zostanę tutaj.

- Niech to szlag! Dość już było przemocy.

- Nikt jeszcze nie stracił życia i nie dojdzie do tego. Zwolennicy budowy nie posuną się tak daleko.

- Obaj nie jesteśmy tego pewni. - Wayne wsadził kartkę z powrotem do kieszeni. - Nie mogę cię chronić, Czarny. Nie mam takich możliwości.

- Dam sobie radę. - Indianin klepnął przyjaciela po ramieniu. - Zaproponowaliśmy władzom miasta i budowniczym rozmowy. Może uda się to jeszcze jakoś załatwić. Już niedługo.

- Obyś miał rację, Czarny. Jeśli nie, może polać się krew.

- Nie martw się na zapas, stary.

Zarządca i robotnicy, zbudzeni przez pożar, zgromadzili się wokół zgliszcz. Walka z płomieniami trwała jeszcze jakiś czas, aż w końcu Indianin i Wayne zostali sami na pogorzeliisku, które jeszcze tak niedawno było domem.

- Przenocuj dziś u mnie, Czarny, Jane się ucieszy. A dzieciaki! Sam wiesz, co do ciebie czują. Uważają cię za bohatera!

- Dzięki, przyjacielu, ale zostanę tutaj. Może któryś z nich przyjdzie sprawdzić, czy dobrze wykonał robotę?

- Bądź ostrożny.

Ostrzeżenie Wayne'a wciąż rozbrzmiewało echem w my-

ślach Czarnego Sokoła, gdy wyciągał ze stodoły derkę i przygotowywał sobie legowisko pod gołym niebem. Ostrożność była całkiem nie w jego stylu. Zuchwała odwaga i porywczosć kierowały Czarnym Sokolem do tego stopnia, że krewni i przyjaciele nazywali go bombą zegarową, która może w każdej chwili wybuchnąć. Czuł narastające pragnienie walki. Niech tylko pokaże się wróg! Indianin był gotów na spotkanie z każdym przeciwnikiem.

Nieprzyjaciele wynurzyli się z ciemności ukradkiem, lecz niezręcznie, jak zwykle biali ludzie. Indianin leżał płasko na ziemi, ukryty wśród sosen. Czekał, uśmiechając się do siebie. Słyszał ich kroki już od kwadransa; poruszali się z ostrożnością rozpedzonego stada bawołów.

Napastnicy wyszli na polanę i otoczyli zgłiszcza, szukając śladów Czarnego Sokoła. Było ich dziesięciu. Czterech z nich rozpoznał: najbardziej zajadli zwolennicy budowy i awanturnicy, zawsze woleli raczej walczyć niż rozmawiać.

On był gotów do rokowań; co więcej, pragnął ich i czekał na ostateczną odpowiedź. Wstał, chcąc wyjść z kryjówki i stanąć twarzą w twarz z wrogami. Nagle spostrzegł błysk lufy karabinu i zastygł w bezruchu, obserwując napastników. Stojący z boku Walter Martin trzymał w rękę karabin Winchestera. Jeden uzbrojony człowiek mógł skierować przeciw Indianinowi agresję pozostałych, byłoby więc dziesięciu na jednego. Ucieczka nie należała do zwyczajów Sokoła, tym razem jednak nie miał wyjścia: wolał nie zaczynać otwartej bitwy i nie zamierzał stać się łatwym celem.

Pobiegł w stronę lasu, oddalając się od ludzi i pogorzelska. Obute w mokasyny stopy niosły go lekko i bezszelestnie po aksamitnym leśnym runie. Po kilku minutach usłyszał za sobą głosy prześladowców.

- Jeśli się nie rozdzielimy, nigdy nie złapiemy tego cholernego czerwonoskórego! - krzyknął jeden z nich.

Czarny Sokół zdjął koszulę i powiesił ją na krzaku, żeby na chwilę zmylić pościg. Słyszał, jak się spierają, w którą stronę mógł uciec wróg.

Szedł wzdłuż potoku. Nagle z zarośli dobiegł go okrzyk:

- Mam go!

Poczuł uderzenie kuli przeszywającej mu prawe ramię i zgiął się wpół, kurczowo zaciskając palce na zranionym miejscu. Nawet teraz, z przestrzeloną ręką, mógłby wycelować tak precyzyjnie, że kula rozciąłaby włos na dwie części, nie drasnawszy skóry. Nie miał jednak zamiaru uciekać się do takiej formy rokowań. Jeśli chciał pozbyć się tych ludzi z lasu, musiał przeczekać.

Z nożem w dłoni torował sobie drogę przez gąszcz pnączy i jeżyn. W pewnej chwili ziemia osunęła mu się pod stopami. Przez chwilę, która wydawała się wiecznością, spadał gdzieś, zwinięty w kłębek. Wystające kamienie i ostre korzenie poraniły mu ciało, ale nie stracił przytomności. Krzyki ścigających go ludzi cichły w oddali.

RS

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Na podłodze w kuchni była krew.

Elizabeth McCade, w wyjściowym kostiumie i pantoflach na wysokich obcasach, uklękła, żeby obejrzeć z bliska dziwną plamę, która w świetle żarówki połyskiwała ciemno na terakocie.

- To nie może być krew - powiedziała do siebie rzeczowo. - Zbyt długo dziś pracowałam i jestem zmęczona. Wyobraźnia zaczyna płatać mi figle.

Dotknęła cieczy końcem palca i obejrzała z uwagą. Nagle zdrzała - czerwona substancja z całą pewnością była krwią.

Elizabeth wstała spokojnie i ostrożnie, obciążając na sobie żakiet, jakby staroświecki wentylator w oknie kuchni zaczął znieacka dmuchać lodowatym powietrzem. Zdjęła pantofle i w samych pończochach podeszła do schowka, gdzie trzymała latarkę. Jeśli w domu był jakiś intruz, najprawdopodobniej ukrył się w piwnicy. W pierwszej chwili chciała pójść tam od razu, ale zmieniła zdanie i postanowiła przeszukać najpierw inne pomieszczenia.

Za oknami wiatr jęczał i gwizdał przez kraty. Elizabeth nie była lękliwa, ale, jak dotąd, nigdy nie zdarzyło się jej wrócić do domu o drugiej nad ranem i znaleźć krew na podłodze. Po obejrzeniu pierwszego i drugiego piętra gwałtownym pchnięciem otworzyła drzwi prowadzące do piwnicy i skierowała w mroczne wnętrze snop światła.

Ukryty w cieniu Czarny Sokół słyszał, jak ktoś otwiera drzwi, a potem idzie po schodach. Szybko rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu kryjówki, ale niczego nie znalazł...

chyba że półki na butelki z winem! Na szczęście były to mocne dębowe regały, zrobione zapewne jeszcze w ubiegłym wieku. Cicho i zręcznie wśliznął się na najwyższą półkę i przywarł do niej całkiem płasko. Jedna z butelek zachwiała się nagle. Chwycił ją prawą ręką i odłożył na miejsce, zaciskając zęby z bólu.

Elizabeth przeszła przez piwnicę cicho jak kot, omiatając światłem latarki podłogę i ściany. Indianin wstrzymał oddech, modląc się w duchu, żeby ów ktoś, ktokolwiek to był, nie oświetlił górnej półki.

- Czy ktoś tu jest?

Teraz już wiedział, że skradająca się w ciemności osoba jest kobietą.

- Wyjdź z podniesionymi rękami. Mam broń i umiem się nią posługiwać.

Mimo grozy sytuacji Czarny Sokół poczuł lekkie rozbawienie. Kobieta musiała być piekielnie odważna. Wychylił się trochę i spojrział w dół. Miała lśniące, czarne włosy, na jej twarzy malowały się inteligencja i upór; trzymała w ręku niklowany pistolet Magnum 44 z długą lufą. Do listy jej zalet, którą naprędce ułożył w myślach, dodał jeszcze jedno określenie: twarda. Elizabeth postąpiła jeszcze przez chwilę w piwnicy z bronią gotową do strzału, a potem ponownie przeszukała pomieszczenie

- Pewnie znowu ten dziki kot - próbowała dodać sobie otuchy i wyszła z piwnicy.

Indianin usłyszał, jak kobieta wchodzi na górę, i odczekał jeszcze chwilę, zanim zdecydował się zejść z półki. Całe ciało miał zakrwawione i obolałe. Cicho i ostrożnie przekradł się na górę. Znalazł bandaże i wodę utlenioną; zabrał opatrunki bez poczucia winy, doskonale wiedząc, że nikt nie będzie ich szukał. Napił się wody, umył po sobie szklankę i odstawił ją na miejsce. Na razie nie był głodny; miał zamiar poczekać do następnego dnia, żeby zorientować się, ile może wziąć jedzenia, nie budząc podejrzeń gospodyni.

Poruszając się powoli i z trudem z powodu bólu, Czarny Sokół ułożył się na stercie worków jak najwygodniej i zaczął

rozmyślać nad sytuacją. Wciąż jeszcze był uzbrojony w nóż i pistolet. Nie miał koszuli, którą wcześniej wykorzystał, żeby odwrócić uwagę prześladowców, nadal jednak ubrany był w spodnie i mokasy. Rana w prawym ramieniu okazała się bolesna, ale nie groźna, gdyż kula przeszła na wylot przez skórę. W trakcie przedzierania się przez zarośla ucierpiały właściwie tylko jego pierś i ramiona. Wiedział, że potrzeba mu paru dni, żeby wyzdrowieć na tyle, aby móc opuścić kryjówkę. Musiał jednak, na wszelki wypadek, sprawdzić swoją mimowolną gospodynię. Jeśli okazałaby się tak groźna jak jej pistolet, Sokół mógłby znów popaść w poważne tarapaty. Nie wiedział jeszcze, czy bogowie byli mu przychylni, prowadząc go do piwnic przez zapomniane przejście, które odkrył, wpadłszy przypadkiem do dołu w lesie, czy też zadrwili sobie z niego.

Cierpliwie czekał, aż dom pograży się w kompletnej ciszy. Dość długo trwało, zanim umilkły bulgoczące rury kanalizacyjne i skrzypiące klepki podłóg.

Sokół, uzbrojony w nóż, bezszelestnie wszedł po schodach i skierował się do kuchni. Stał bez ruchu, dopóki jego wzrok nie przywykł do ciemności. Postanowił pójść śladem owej nieznannej kobiety. Nie było to trudne - jej zapach wciąż unosił się w powietrzu; delikatna woń piżma, która przywodziła na myśl egzotyczne tancerki otulone w przezroczyste suknie. Pomyślał jeszcze o czymś: już tak długo nie miał kobiety. To pragnienie bywało tak samo silne jak pragnienie niebezpieczeństwa i obu często ulegał.

Znalazł ją na górze: leżała w łóżku na brzuchu, wyciągnięta jak długa, i spała. Czarne włosy, które przelotnie dostrzegł już w piwnicy, były teraz rozpuszczone i spoczywały na plecach, podobne do jedwabistej materii. Czerwona koszula nocna podkreślała kształt zgrabnych nóg, szczupłych bioder i wąskiej talii. Ciało nieznannej było stworzone do miłości.

Sokół podszedł tak blisko, że mógł z łatwością dotknąć uda kobiety. Stare jak świat pragnienie przeszło na wskroś jego ciało i przyspieszyło oddech. Opanował się z trudem.

Stał przy łóżku, przyglądając się uważnie śpiącej. Potem rozpoczął poszukiwania. W czasie pierwszej wyprawy znalazł to, co było mu najbardziej potrzebne - lekarstwa i wodę - a teraz chciał zaspokoić ciekawość. W szafie i w szufladach biurka znalazł interesujące go informacje. Ta kobieta składała się ze sprzeczności: miała awanturniczą duszę, choć pozowała na zdecydowaną konserwatystkę. Kostiumy, które nosiła do pracy, były skromne, prawie surowe. Za to bieliznę lubiła powabną, niemal frywolną.

Nazywała się Elizabeth McCade, pracowała w miejscowym banku i miała dwadzieścia siedem lat. Była córką Loniego i Reginy McCade. Urodziła się w dolinie Tombigbee i studiowała w Yale. Miała magisterium z filozofii angielskiej i uprawnienia nauczycielskie. W sekrecie prowadziła dziennik.

Czarny Sokół schował papiery z powrotem do szuflady i jeszcze raz podszedł do łóżka. Elizabeth McCade spała spokojnie. Nachylił się i przesunął palcem wzdłuż jej bioder.

- Kim jesteś- wyszeptał - istotą z lodu czy z ognia?

Znów poczuł jej zapach i głęboko wciągnął powietrze. Kiedy indziej i w innym miejscu cudownie byłoby poznać tę kobietę, ale teraz pragnął jedynie pokonać swoich przeciwników. Wyszedł z sypialni i wrócił do kryjówki w piwnicy.

Elizabeth zauważyła brak kawałka sera i niewielkiej ilości mleka. Zorientowała się, że jedzenie zniknęło, ponieważ rano, robiąc listę zakupów, dokładnie przejrzała zapasy.

Poprzedniego dnia krew, teraz jedzenie. W żaden sposób nie mogła już podejrzewać kota; koty nie otwierają lodówek.

Wyjęła ze schowka pistolet, usiadła przy stole i zaczęła się zastanawiać, co robić. Było późno i szeryf Wayne Blodgett na pewno zamknął już biuro. Nie chciała z powodu byle głupstwa niepokoić go w domu. W końcu z tym jedzeniem mogła się mylić. A krew? Cement wokół płytki wciąż jeszcze był zaplamiony. Będzie musiała kupić specjalny wybielacz, żeby to usunąć. Próbowwała odgadnąć, kim był ów tajemniczy intruz. Wykluczyła nie zapowiadzaną wizytę przyjaciół lub wścibskich sąsiadów - w promieniu trzech kilometrów nikt

nie mieszkał, zaś przyjaciele nie mieli w zwyczaju składać wizyt bez zapowiedzi. Zresztą, zamieszkawszy w Missisipi, Elizabeth nie utrzymywała z nikim bliskich kontaktów. Goście odwiedzali ją rzadko i wyłącznie na zaproszenie - przynajmniej do wczoraj.

Teraz najprawdopodobniej w domu ktoś był i należało pozbyć się intruza.

Z pistoletem w dłoni Elizabeth ponownie dokonała szczegółowych oględzin domu, zaczynając tym razem od piętra. Zaglądała właśnie do szafy w sypialni, kiedy zadzwonił telefon, nie podniosła jednak słuchawki i kontynuowała poszukiwania. Nie spodziewała się żadnych ważnych wiadomości z pracy, a na towarzyską pogawędkę nie miała ochoty.

Włączyła się automatyczna sekretarka.

- Elizabeth, mówi Kenneth, Kenneth Spairi. Od trzech tygodni próbuję dodzwonić się do ciebie.

Była wściekła. Czy ten facet nigdy nie zostawi jej w spokoju?

- Słuchaj, wiem, co o tobie mówią. To wszystko bzdury! Potrzebujesz tylko odpowiedniego faceta. Jestem w sam raz dla ciebie. Zadzwon!

Elizabeth nie miała zamiaru do niego dzwonić, tak jak nie odpowiadała na telefony paru innych, którzy się nią interesowali. Pomyślała, że to chyba lato wyzwala w mężczyznach zwierzęce instynkty. Sama nie czuła absolutnie nic i była tego całkowicie pewna.

Poszukiwania i tym razem okazały się bezowocne. Została jeszcze tylko piwnica. Ściskając w dłoniach pistolet i lartarkę oraz starając się zachować zimną krew, Elizabeth zeszła na dół.

- Wiem, że tu jesteś, i znajdę cię.

Stojąc na przedostatnim stopniu, skierowała strumień światła w głąb pomieszczenia, nie dostrzegła jednak nic, poza kurzem, pajęczynami i wystraszoną myszą. Rzuciła szybkie spojrzenie na półki z winem, pamiętającym jeszcze czas jej rodziców, ale i tu nie zauważyła niczego podejrzanego.

- Mam w rękę pistolet i potrafię celować! - Czekala na-

sluchajac; bylo calkiem cicho, ale miala wrazenie, ze nie jest sama, i poczula mrowienie w karku. - Licze do dziesieciu. Wychodz albo bede strzelac.

Blefowala tylko, poniewaz doskonale zdawala sobie sprawe, ze kule odbilyby sie rykoszetem od betonowych scian. Miala jednak nadzieje, ze intruz o tym nie wie. Odlozyla lartke, kierujac swiatlo w mrok piwnicy, chwycila broń mocno w obie dlonie i ustawila sie jak do strzalu.

- Jeden... dwa... trzy.

Czyjes ramie otoczylo znienacka barki dziewczyny, a goraca dlon zakryla jej usta. Na szyi poczula chlodne ostrze noza.

- Nie strzelaj, Elizabeth McCade, bo zabijesz nas oboje.

Wiedziala, ze nie ma szans na jakakolwiek obrone. Zanim zdazylyby wystrzelic, ostra klinga rozplatalaby jej gardlo. Z calej sily starala sie uspokoic nierowny oddech i stac zupełnie nieruchomo. Balala sie, ze nawet najlzejszym poruszeniem moze dac napastnikowi pretekst do uzycia noza.

- Jesli bedziesz cicho, nic ci nie zrobię.

Choc byla to dobra wiadomosc, Elizabeth zaniepokoil jednak fakt, ze obcy znal jej nazwisko. Czytala gdzieś niedawno, iz najwiekszych okrucienstw dopuszczaja sie wobec swych ofiar wlasnie znajomi. Balala sie coraz bardziej. Dobrze wiedziala, ze jesli nie zdoła sie opanowac, bedzie calkiem bezbronna.

- Teraz oddasz mi pistolet. Nie probuj sie odwrócic, bo zginiesz.

Ostrze cofnelo sie troche; Elizabeth skinela lekko glowa, dajac napastnikowi znak, ze zrozumiala. Goraca dlon uwolnila jej usta i odebrala pistolet.

- Dobrze, Elizabeth, jesteś mądrą dziewczyną.

Glos napastnika brzmial glęboko i melodyjnie. Strach Elizabeth zaczal teraz przeradzac sie w gniew - pomyslala, ze bandyta nie powinien miec glosu, ktory obezwladnia ofiary.

- Czego chcesz? - zapytala, zaskoczona mocnym i swobodnym brzmieniem wlasnych slow.

- Zostane tu przez kilka dni, a ty musisz trzymac jezyk za zebami.

- Dlaczego? - Spróbowała się obrócić, ale znów przyłożył jej nóż do szyi.

- Nie rób tego - powiedział.

- Kim jesteś? - zapytała.

- Nie jestem bandytą.

- Skąd mnie znasz?

- W nocy, kiedy spałaś, przejrzałem zawartość twojego biurka.

- Byłeś w mojej sypialni?

- Tak, miałas włosy rozsypane na poduszce i czerwoną koszulę. Prawdę mówiąc, miałem ochotę na coś więcej niż tylko informacje.

Elizabeth zadrżała. Poczula nagle bliskość męskiego ciała - dotykających jej mocnych ramion, piersi, nóg. Napastnik był wysoki i silny, gdyby doszło do walki, -nie miałyby żadnych szans. Z trudem pohamowała wybuch wściekłości.

- Nie masz żadnego prawa prawa mnie niepokoić! To mój dom, wynoś się stąd.

Poczula za plecami jakiś ruch. Schował nóż i dotknął dłonią jej głowy. Spinki spadły na betonową podłogę i bujne włosy dziewczyny opadły swobodnie. Mężczyzna zanurzył w nich pieszczotliwie palce.

- Przestań! - chciała krzyknąć, ale zabrakło jej odwagi. Powiedział wprawdzie, że nie złoczyńca, ale nadal nie wiedziała, kim właściwie jest, i nie ufała mu.

- Kim jesteś? - znów próbowała się dowiedzieć.

Nie odpowiedział i nadal błędził dłońmi po jej włosach.

-Twoje włosy pięknie pachną, egzotycznie i tajemniczo. Gorący oddech musnął jej szyję.

-Jesteś tajemnicza i egzotyczna, Elizabeth?

-Z pewnością o wiele mniej tajemnicza niż ty.

Dziewczyna miała wrażenie, że ten człowiek ma nad nią jakąś dziwną moc. Wydawało jej się, że go zna, że znają się od dawna.

- Kim jesteś? - powtórzyła pytanie.

Zapadło długie milczenie. Odgłosy ich niespokojnych oddechów połączyły się i w piwnicy zapanowała pełna napię-

cia atmosfera oczekiwania. Elizabeth zbierała w sobie wszystkie siły, żeby przeciwstawić się mężczyźnie.

- Jestem Czarny Sokół i potrzebuję schronienia na kilka dni.

Elizabeth odwróciła się powoli. Czarny Sokół, przywódca indiańskich obrońców środowiska i właściciel jednej z największych w Missisipi hodowli bydła. Bohater i cel wściekłych ataków prasy, tajemniczy poszukiwacz niebezpiecznych przygód. Stał oto teraz w jej piwnicy zakrwawiony i chory. Dziewczyna pamiętała dobrze surową twarz pojawiającą się często na pierwszych stronach lokalnych gazet. Rozpoznała głos, który słyszała w wieczornych programach poświęconych ruchowi samoobrony Indian Chickasaw.

Znała Czarnego Sokola, ale nie jako człowieka, lecz jako symbol nieustannej walki. Był nieugiętym obrońcą praw swojego narodu do godnego życia w nowym, nieprzyjaznym świecie.

W słabym świetle latarki Elizabeth zauważyła niezręcznie założony opatrunek na prawym ramieniu i głębokie zadrapania na piersi Indianina. Nie bała się już; opuściło ją również uczucie gniewu. Dotknęła dłonią czoła mężczyzny - przyglądał się jej w milczeniu oczami ciemnymi jak noc.

- Masz gorączkę - stwierdziła.

Podejrzewała to już wcześniej, gdy dotknął ręką jej włosów. Teraz jednak wiedziała, że to jeden z tych mężczyzn, których ręce rozgrzewa ukryta pasja.

Pokrewne dusze zawsze rozpoznają się wzajemnie.

Jego bliskość podnieciła Elizabeth. Była zaskoczona i niespokojna - od czasów Marka Latona żaden mężczyzna nie zafascynował tak jej wyobraźni i ciała. A Mark... Przecież omal jej nie zniszczył.

„Boże - pomyślała - niech to już nigdy się nie powtórzy!”

Czarny Sokół wpatrywał się w nią badawczo. Miała wrażenie, że jej dotyka, i niemal jęknęła - ten mężczyzna stanowił dla niej zagrożenie. Jeżeli nawet Mark był wysłannikiem piekiel, to ten Indianin musi być samym diabłem.

Elizabeth przygryzła dolną wargę do krwi; ten lekki ból pomógł jej się opanować.

- Chodź - odwróciła twarz do mężczyzny, który tak niespodziewanie nią zawładnął.

- Dokąd?

- Na górę, do sypialni.

- Do twojej sypialni?

Wyobraziła go sobie w łóżku; śniade ciało w białej pościeli i czarne oczy sięgające najgłębszych zakamarków jej duszy. Pod Elizabeth ugięły się kolana.

- Nie do mojej. - Zmusiła się, żeby spojrzeć mu w twarz.

- Mam wolny pokój na górze. Zajmę się twoimi ranami.

- Nikt nie może mnie tu zobaczyć. Niebezpieczeństwo grozi teraz nam obojgu.

- Nie martw się, to pustkowie. Nikt nie przychodzi tu bez zaproszenia. Będziemy sami.

- Niewola zostanie więc nagrodzona - uśmiechnął się lekko.

- Kto tu jest w niewoli, ty czy ja?

Wziął ją za rękę i zaprowadził do pokoju.

- Oboje - odpowiedział.

ROZDZIAŁ DRUGI

Czarny Sokół nie puścił ręki Elizabeth, a ona nie starała się cofnąć dłoni. Mimo że nie powinien wiedzieć, gdzie znajduje się pusty pokój, zaprowadził tam dziewczynę bez chwili wahania.

Miała wrażenie, że zdążył już dokładnie poznać dom albo to ona sama, w jakiś pozazmysłowy sposób, przekazywała mu wiadomości. Czuła, jak pod bluzką nabrzmiewają jej piersi, a gorąca fala powoli zalewa całe ciało. Przez chwilę dziewczynie wydawało się, że jest znów w Yale, w gabinecie Marka Latona, który prowadzi ją właśnie za rękę w stronę wąskiej kozetki.

Spojrzała kątem oka na Sokoła. Całkiem niepodobny do Marka. Tamten miał jasne włosy, był niewysoki i mocno zbudowany, Indianin zaś - szczupły i kanciasty. Rysy jego twarzy mogły równie dobrze uchodzić za piękne jak za nieregularne i nadawały mu wygląd człowieka gwałtownego.

- Zasłoń okna - powiedział nagle Czarny Sokół, zatrzymując się na progu.

Elizabeth szybko weszła do środka i zaciągnęła zasłony. Zapaliła małą lampkę przy łóżku, oświetlającą prosty metalowy stelaż i zwykłą, białą pościel.

Indianin znalazł się w kręgu światła i spoglądał na łóżko. Elizabeth wstrzymała oddech. Co się z nią dzieje? Ogarnął ją ogień, który przez siedem lat skutecznie tłumila.

Czarny Sokół odwrócił się i obserwował dziewczynę. Nawet złotousty Mark Laton o doświadczonych i uważnych dłoniach nie podniecał Elizabeth tak jak ten dziwny, dziki

wojownik. Przez ostatnie lata uciekała nie tylko przed Markiem, ale także przed własnymi uczuciami. Teraz nagle stanęła twarzą w twarz z przeszłością. Wstrzymała oddech tak długo, że pokój zaczął wirować jej przed oczami, i poczuła, że za chwilę zemdleje.

-Spałaś tu, Elizabeth?

-Tak.

-To dobrze. Będę leżał na twoim miejscu.

Odwrócił się plecami i zaczął ściągać dzinsy.

Przyjemnie było patrzeć na jego ciało, przypominające dzieło sztuki. Zdjął z siebie wszystko i zwrócił się do dziewczyny:

- Teraz możesz się mną zająć, Elizabeth.

Stała nieruchomo, spoglądając na mężczyznę. Czuł się zupełnie swobodnie -jak Adam u boku Ewy. Nie był zakłopotany ani arogancki; wydawał się nieświadomy własnej nagości.

Głos zamarł jej w gardle, a nogi wrosły w ziemię.

- Potrzebuję twoich chłodnych dłoni, Elizabeth.

Dziewczyna nie dała po sobie poznać, jakie zrobił na niej wrażenie. Nie ośmieliła się zdradzić nawet najlżejszym gestem, że jedyne, czego pragnie, to znaleźć się obok niego w łóżku i poddać się woli tego mężczyzny. Och, Boże, czy kiedykolwiek zdoła uwolnić się od przeszłości?

- Połóż się- poleciała spokojnie.

Wyciągnął się w pościeli, a jego wzrost sprawił, że łóżko wydawało się dziwnie małe.

- Jestem w twoich rękach, Elizabeth, zrób ze mną, co zechcesz.

Czyżby umiał czytać w myślach? Gdyby zrobiła to, czego pragnęła, przywarłaby ustami do jego szyi i obsypała pieścizotami całe ciało.

- Najpierw muszę przemyć rany - powiedziała, kierując się do łazienki.

Zatrzasnęła za sobą drzwi i oparła się mocno o umywalkę. Bolał ją żołądek, a w piersi czuła straszny ciężar. Podniosła głowę i odetchnęła głęboko kilka razy. Twarz w lustrze była śmiertelnie blada.

- Niech cię diabli, Czarny Sokole - szepnęła. - Przecież jesteś tylko mężczyzną.

Wzięła się w garść, aby mu pomóc. Od dawna podziwiała tego niezwykle człowieka i śledziła z uwagą wszystko, co robił. Całkowicie zgadzała się ze stwierdzeniem, że postęp nie powinien pociągać za sobą bezmyślnej dewastacji ziemi. W swej działalności człowiek powinien łączyć doświadczenia przeszłości z nowymi ideami, a także współdziałać z przyrodą.

Postanowiła udzielić Indianinowi schronienia, opatrzeć rany i nakarmić. Kiedy zaś już wyzdrowieje - odejdzie, a Elizabeth zapomni. To przecież tylko parę dni, przez ten czas może uda się opanować uśpione w niej ciemne moce.

Uzbrojona w ręcznik, gazę i butelkę wody utlenionej, wyszła z łazienki. Czarny Sokół leżał spokojnie i nieruchomo jak statua z brązu.

Zatrzymała się przez chwilę na progu, podziwiając Indianina. Wolnym ruchem zwrócił głowę w jej stronę.

- Masz wszystko co trzeba? - zapytał.

- Tak.

- Chodź - wyciągnął rękę - i dotknij mnie.

Podeszła do łóżka. Żadnym słowem ani ruchem nie chciała zdradzić uczuć, które ją opanowały.

- Skończ z tym miłosnym szeptem. To tylko pierwsza pomoc.

Nie drgnął nawet, kiedy przemywała głęboką ranę na piersi.

- To moje słowa brzmią dla ciebie erotycznie?

Nie odpowiedziała i nie spojrzała na niego. Wciąż leżał nieruchomo, zaś Elizabeth opatrywała skaleczenia. Aby zapanować nad oddechem, co chwila przygryzała dolną wargę. Jutro będzie miała czerwone i opuchnięte usta, ale to niezbyt wygórowana cena za zachowanie rozsądku.

Przemywając rany na piersi i ramionach, starała się trzymać kawałek gazy jak tarczę pomiędzy sobą a mężczyzną, ale nie zawsze jej się to udawało. Od czasu do czasu dotykała palcami nagiej skóry - była gładka, wyczuwało się pod nią twarde mięśnie.

Elizabeth zamknęła oczy i pogrążyła się we wspomnieniach.

- Masz miłe ręce.

Otworzyła oczy. Czarny Sokół wpatrywał się w nią głębokim, mądrym spojrzeniem czarownika. Przycisnął sobie dłoń dziewczyny do piersi.

-Czujesz, jak bije mi serce?

-Proszę... - wyszeptała.

-Masz zręczne ręce, Elizabeth.

Uwolniła rękę szybkim ruchem. Dotykać tego mężczyzny to więcej niż nieostrożne - to niebezpieczne.

- Możesz już skończyć sam. Ręczniki i lekarstwa są w szafie. Zanim zabandażujesz, przemyj skaleczenia wodą utlenioną.

Wstała i skierowała się ku drzwiom.

- Elizabeth!

Zmusił ją głosem, żeby się odwróciła. Siedział z prześcieradłem owiniętym wokół bioder. Zauważyła wystający spod poduszki nóż. Nie usłyszała żadnego poruszenia.

- Musisz obmyć mi jeszcze rany na plecach.

- W łazience jest prysznic - powiedziała, dotykając klamki.

- Nie, potrzebuję ciebie.

Posłuszna jego spojrzeniu, zwróciła się w stronę łóżka jak we śnie i stanęła nad rannym.

Zderzyli się wzrokiem. Elizabeth zacisnęła pięści tak mocno, że paznokcie wbiły się jej w ciało.

- Połóż się na brzuchu - poleciła.

Dotknął palcem policzka dziewczyny i odwrócił się wolno. Na widok tych pleców zabrakło jej tchu w piersiach - były całe posiniaczone i podrapane. Pochyliła się i dotknęła delikatnie poranionych miejsc. Nawet nie drgnął.

- Boli?

- Ból to rzecz względna. Te wszystkie rany bolą o wiele mniej niż myśl, że ziemia moich przodków zostanie zniszczona. Muszę szybko wyzdrowieć, żeby dalej walczyć.

- Pomogę ci.

Pracowała szybko i bez słowa, zaś Czarny Sokół leżał bez ruchu, delektując się dotykiem jej rąk. Wiedział, że pragnie tej dziewczyny i musi ją zdobyć. Wkrótce... Już wkrótce będzie do niego należała. Ale przedtem musiał odpocząć, choćby na chwilę przymknąć oczy.

- Przyniosę ci trochę zupy i aspirynę. Masz gorączkę. - Głos dziewczyny dobiegał już z oddali. Indianin walczył ze snem. Chciał w pełni świadomie czuć delikatną pieczęć chłodnych rąk.

Elizabeth skończyła bandażowanie i wstała.

- Gotowe.

Nie poruszył się, gdy dotknęła jego ramienia.

- Czarny Sokole...

Spał mocno.

- Śpij dobrze.

Wyszła na palcach, poszła do kuchni i usiadła przy stole. Ranny potrzebował snu, zupa i aspiryna mogą poczekać. Będzie miała czas przygotować się do walki... przeciw jego wrogom i przeciw złym duchom w niej samej.

Najpierw poszła do piwnicy po pistolet. Leżał na podłodze obok broni Indianina.

„Masz tu cały arsenał, Elizabeth McCade” - uśmiechnęła się do siebie ponuro, podnosząc oba pistolety, i wróciła na górę.

Uporanie się z wrogiem raczej nie powinno stanowić problemu, czy jednak będzie miała dość sił, żeby przeciwstawić się samej sobie?

Tymczasem Czarnego Sokoła nawiedzały niespokojne sny. Widział strzelający w górę ogień, który pochłaniał jego dom. Płomienie zamieniały się w czerwony jedwab, szeptały miłosne zaklęcia, muskając mu skórę. Nie wiedział już, co jest snem, a co jawą, i rozpaczliwie próbował odnaleźć granicę między nimi.

-Elizabeth - wyszeptał wyschniętymi, spękanyymi wargami.

-Ciii...

Owiał go chłodny wiatr, który zamienił się w ptasie

skrzydła, delikatne i czułe. Jęknął cicho, a wtedy coś dotknęło jego ust - otworzył oczy i zobaczył dłoń trzymającą kubek. Zalała go fala ciepła i spokoju; pozwolił unieść się do krainy snu.

Około północy gorączka ustąpiła i Czarny Sokół rozejrzał się po pokoju. Wzrok, nauczony dostrzegać niebezpieczeństwo w każdych warunkach i z każdej odległości, szybko przywykł do mroku. Na tle okna ujrzał Elizabeth. Białe światło księżyca, sączące się pomiędzy zasłon, odbijało się w jej włosach.

Uwagę Indianina przykuł błysk metalu: dziewczyna ścisnęła w dłoniach swój wielki pistolet!

- Nie strzelaj, Elizabeth, nie jestem uzbrojony.
- Obudziłeś się? - zwróciła się w jego stronę.

Zachichotał cicho.

- To wcale nie jest śmieszne, Czarny Sokole.
- Przyjaciele mówią po prostu: Czarny, a kochanki nazywają mnie: Sokół.
- Nie należę do żadnej z tych kategorii. Jestem panią tego domu, a ty moim gościem.

Gdy wstała, Sokół zobaczył kawałek czerwonego jedwabiu wystający spod grubego szlafroka. A więc kryła się przed nim!

- To się wkrótce zmieni, Elizabeth.
- Wiem. Jak tylko poczujesz się trochę lepiej, natychmiast stąd odejdziesz, pozostawiając po sobie tylko złe wspomnienie.

- Zawsze tak walczysz z uczuciami?
- Nie walczę, tylko umiem nad nimi panować.

Wstała i pospieszyła ku drzwiom, lecz głos Indianina zatrzymał ją w pół drogi:

- Strzegłaś mnie.

Zrezygnowana zwróciła się w stronę Czarnego Sokoła. Była posłuszna wypowiedanym przez niego słowom, tak samo jak spojrzeniom. Miał nad nią władzę i musiała się z tym pogodzić. To chyba jakiś szalony los postawił na jej drodze mężczyznę, który posiadał klucz do przeszłości i mógł uwolnić zamknięte tam emocje.

Dziewczyna ścisnęła mocno broń, aż pobieleły jej palce,

modląc się w duchu o siłę, która pozwoliłaby odeprzeć atak zmysłów. Ściągnęła pod szyję szlafrok, zakrywając najmniejszy nawet fragment ciała i podeszła do leżącego.

Potrzebowałeś pożywienia i lekarstwa. Dałam ci jedno i drugie.

- Poglaskałaś mnie po twarzy.

- Sprawdzałam tylko, czy nadal masz gorączkę. Bałam się zostawić cię samego w tym stanie.

- Wciąż płonę, Elizabeth.

Pochyliła się i położyła mu dłoń na czole.

- Gorączka minęła.

- Nie, wciąż płonę.

Zdrową ręką objął ją za szyję i poglaskał. Elizabeth zaczęła oddychać szybko, broń upadła na łóżko.

Czarny Sokół wsunął drugą rękę pod szlafrok dziewczyny, aż zamknęła oczy i jęknęła.

- Płoniemy tym samym ogniem, Elizabeth.

Jedwab okrywający jej piersi nie stanowił żadnej przeszkody. Odślonił je i ciepłe dłonie pozwoliły sobie na to, czego tak długo wzbraniała innym mężczyznom.

- Pragniesz mnie, Elizabeth, tak samo jak ja ciebie.

Poruszył w niej każdy nerw. Czuli przyływ gorąca, niemal gotowa wybuchnąć.

- Nie - wyszeptwała.

Delikatne dłonie nadal ją uwodziły, czarowały i obezwładniały. Elizabeth przywołała w pamięci obraz Marka Latona.

- Nie!

Zerwała się na równe nogi i szczelnie otuliła szlafrokiem. Czarny Sokół leżał oparty o poduszki i wyglądał jak bożek z brązu, oczekujący należnego mu hołdu.

Poszukała wzrokiem pistoletu - wciąż lśnił na prześcieradle.

- Przyniosłam broń, żeby jej użyć przeciw twoim wrogom. Ale strzeż się, gdyż nie zawaham się użyć jej również przeciwko tobie.

Wybiegła z pokoju, przyciskając pistolet do piersi, i zatrzasnęła głośno drzwi. Czarny Sokół uśmiechał się w mro-

ku; ogarnęły go dwie sprzeczne namiętności. W tej chwili żądza walki przegrywała z pragnieniem kobiety. Zdobędzie ją. Musi ją zdobyć!

Tymczasem na górze Elizabeth zrzuciła brzydki, gruby szlafrok i przewiesiła go niedbale przez poręcz fotela na biegunach. Zapaliła lampkę i przejrzała się w lustrze. Wzięła piersi w dłonie, a potem przesunęła wolno palcami wzdłuż ciała, które tęskniło do innych rąk - rąk Czarnego Sokoła.

Z głębokim westchnieniem rzuciła się do biurka i wyciągnęła dziennik, który przez ostatnich siedem lat był jej powiernikiem.

Pisała gwałtownymi pociągnięciami pióra, stawiając litery podobne do żołnierzy maszerujących przez pustynię.

Obcy, który tu przyszedł, wskrzesił we mnie namiętność, choć już myślałam, że umarła. Czarny Sokół jest tak samo zuchwały jak ptak, którego imię nosi. Stanął z nożem naprzeciw mnie, uzbrojonej w pistolet. Od pierwszej chwili wiedziałam, że jesteśmy z jednej gliny, a serca biją nam tym samym, gorącym rytmem. Niebiosy, miejcie nas w opiece!

Zamknęła dziennik i poszła spać. Przez całą noc Elizabeth nawiedzały wizje ciemnych dłoni błędzących po jej ciele.

- Nie poddam się - powiedziała do siebie rano, upinając włosy w kok i zakładając najskromniejszy kostium. Nie licząc opuchniętych warg i błyszczących oczu, wyglądała normalnie. Miała nadzieję, że koledzy w pracy tego nie zauważą. Wiedziała, że nikt nie ośmieli się o nic zapytać, zresztą nie pozwoliłaby na taką poufalskość.

Jak zwykle zjadła śniadanie i pijąc kawę, przeglądała poranną gazetę. Początkowo miała zamiar wyjść, nie zaglądając nawet do pokoju Czarnego Sokoła, ale po namyśle uznała, że byłoby to z jej strony niegrzeczne. A na złe maniery nie pozwoliła sobie nigdy, nawet wówczas, gdy Mark Laton zdruzgotał jej świat i zmusił, aby wróciła do Missisipi.

Spojrzała na zegarek. Miała jeszcze najwyżej pięć minut.

Wzięła tacę i zaniosiła na górę. Indianin wychodził właśnie z łazienki, ubrany w dżinsy.

- Piszą, że nie żyjesz - poinformowała go, stawiając tacę na nocym stoliku.

- Jak zginąłem? - Podniósł do ust filiżankę i spojrzał ponad jej krawędzią na Elizabeth.

- Zastrzelono cię z winchesteru. Szeryf Wayne Blodgett znalazł w lesie koło twojego domu zakrwawioną koszulę. Kula utkwiała w drzewie, a łuskę znaleziono w krzakach.

- Wiedzą, kto mnie zabił?

- Nie. Jest wiele sprzecznych wiadomości, a najciekawszą historię opowiadają Walter Martin i Bobby Clayburn. Otóż, polując w lesie na węże, widzieli, jak zabili ciejacyś długowłosi bandyci, zapakowali ciało do worka i zabrali ze sobą. Rzecz jasna, Martin i Bobby byli zbyt przerażeni, żeby cokolwiek zrobić, mogli tylko przyglądać się z ukrycia.

- Walter Martin i Bobby Clayburn zostali przekupieni przez budowniczych centrum handlowego. Rozsiewają te pogłoski, żeby osłabić ducha moich ludzi.

- Może im się to udać? W końcu to przecież ty jesteś przywódcą.

- Znajdą się inni na moje miejsce i poprowadzą ludzi.

Tamci nic nie wskórają.

- Jesteś pewien?

- Chickasawowie nie przegrali żadnej bitwy od czasów, kiedy De Soto chciał zrobić z nas niewolników. Nasze nieoficjalne hasło brzmi: Jesteśmy niepokonani! - uśmiechnął się. - Nie przegramy, Elizabeth.

- Czy mam komuś powiedzieć, że żyjesz?

- Nie. To byłoby zbyt niebezpieczne. Ludzie nie poddadzą się, nie uwierzą tak łatwo w moją śmierć. A w końcu przecież za parę dni i tak się ujawnię.

Elizabeth zajęła się tacą: ułożyła sztućce, wygładziła serwetkę i przestawiła szklanekę z sokiem, żeby utrzymać ręce i myśli z dala od Czarnego Sokoła.

- Nie wiem, co jadasz na śniadanie, przyniosłam więc po trochu wszystkiego.

- Dziękuję, Elizabeth.

- Postaraj się jednak nie przywyknąć do tego. Jak tylko poczujesz się lepiej, będziesz musiał radzić sobie sam.

Jeszcze nigdy żaden mężczyzna nie wydawał jej poleceń milczeniem. Podniosła powoli wzrok i nieomal zachwiała się pod władczym spojrzeniem. Czarny Sokół nie był mężczyzną, który potrzebował słów, by ściągnąć na siebie uwagę. Sama jego obecność sprawiała, że Elizabeth była w stanie zapomnieć o wszystkim. Nie poruszał się i milczał, ale miała wrażenie, że mocno dzierży jej serce, myśli i ciało. Tęskniła doń, przyciągana tajemniczą aurą niebezpieczeństwa.

Włożyła rękę do kieszeni spódnicy, żeby nie widział, jak zaciska pięści.

- Chciałabym, żebyś wiedział, że jestem po twojej stronie, Czarny Sokole. Zawsze czułam wstręt do tak zwanego postępu za wszelką cenę, bez poszanowania środowiska i tradycji. Prawdziwy postęp musi chronić przeszłość i nie powinien stwarzać zagrożeń dla przyszłych pokoleń. Wierzę, że wam się uda.

Uśmiechnął się pogodnie.

- Od pierwszej chwili tam, w piwnicy, wiedziałem, że będę mógł ci zaufać. Oczarował mnie zapach twych włosów i czułem, jak drżysz cała tuż obok mnie. Już wtedy, gdy przyłożyłem ci nóż do gardła, zrozumiałem, że jesteś po mojej stronie. - Przestał się uśmiechać i podszedł bliżej. - Nie możesz mnie wydać, Elizabeth. Walczę z groźnym wrogiem - owi ludzie nie zawahają się skrzywdzić ciebie, tak jak próbowali zniszczyć mnie.

- Nie bój się, potrafię być ostrożna. Poza tym nikt nie odważy się mnie podejrzewać, że ukrywam w domu mężczyznę. Mówią o mnie... - zreflektowała się, że powiedziała za dużo. - Muszę już iść - rzuciła, odwracając się szybko, żeby opuścić pokój.

Czarny Sokół zastąpił jej drogę i chwycił mocno za ramię. Wpatrywał się uważnie w dziewczynę.

- Czarne płótno w dzień i czerwony jedwab w nocy.

Badawcze spojrzenie niemal ją parzyło.

- Oni się mylą. Jesteś namiętna i pełna ognia.

Przysunął się jeszcze bliżej, tak blisko, że ciepły oddech muskał policzek dziewczyny.

- Potrzebujesz pocałunków, Elizabeth.

Myślała, że ją pocałuje - wyglądał w tej chwili, jakby zamierzał zacząć od warg i zakończyć na czubkach palców. Poczula słodki dreszcz oczekiwania; gdzieś w głębi jej ciała narastało pulsujące pragnienie.

Oczy Sokoła pociemniały i Elizabeth miała wrażenie, że patrzy w mroczne otchłanie. Puścił ją nagle i z trudem powstrzymała się, żeby nie upaść.

- Idź, Elizabeth. Idź do pracy i nie zdradź mnie.

Wyszła szybkim krokiem, wiedząc, że mężczyzna ją obserwuje, że został tam, w sypialni, a nade wszystko, że będzie tu nadal, kiedy ona wróci.

Zdażyła do pracy na czas. Gladys, recepcjonistka i telefonistka z pierwszego piętra Banku doliny Tombigbee, spojrzała na koleżankę z zaciekawieniem, ale nic nie powiedziała. Siedem lat temu, kiedy Elizabeth wróciła do Tombigbee, Gladys zasypywała ją pytaniami.

- Myśleliśmy, że wyjechałaś do Yale studiować. Co się stało, że zrezygnowałaś?

- Nic - odpowiedziała Elizabeth, mając nadzieję, że uda jej się uniknąć dalszych pytań.

- Musiało tam być pięknie! A właściwie gdzie jest Yale?

- W Connecticut.

- Jasne, w Connecticut! Tam pewnie pada śnieg na Boże Narodzenie... Moja przyjaciółka, Mavis, pamiętasz Mavis Jarvis, prawda? No więc, Mavis mówi, że jakiś facet poderwał cię tam i porzucił.

W jej głosie nie było złośliwości, wyłącznie ciekawość. Elizabeth nie odpowiedziała.

- To nic przyjemnego, ale jeszcze nie koniec świata. Jest wiele ryb w stawie, jak mówi stare przysłowie. Mój chłopak, pamiętasz go, to Charles Estes, ma kumpla Jerry'ego Mor-

gana. Kiedyś mieszkał gdzieś koło Chicago. Świetny facet, mogą ci go przedstawić.

- Dzięki, ale nie mam ochoty.

Gladys jeszcze parę razy próbowała dowiedzieć się czegoś o przeszłości koleżanki i wciągnąć ją w wir życia towarzyskiego Tombigbee, ale Elizabeth zachowała swój sekret i konsekwentnie nie przyjmowała zaproszeń. Bywała tylko czasem na całkiem niewinnych przyjęciach: na jakiejś słubnej herbatce czy też na uroczystościach w banku i imprezach kościelnych -tam, gdzie w tłumie nie było miejsca na żadną intymność. Nie miała szans na zupełną samotność. Mieszkała przecież w małym południowym miasteczku, gdzie plotki stanowiły jeden z dwóch ulubionych sposobów spędzania wolnego czasu - a drugim było pieczenie mięsa na ruszcie przed domem. Obie te czynności zazwyczaj wykonywano łącznie. Tworzono mity i szargano opinie, gawędząc nad kawałkiem wieprzowiny.

Kiedy więc Elizabeth weszła tego ranka do banku, uśmiechnęła się i wesoło pozdrowiła Gladys, zanim zamknęła się w swym biurze w dziale pożyczek, jakby to był pierwszy lepszy zwykły dzień. Tymczasem pożądanie kierowało jej myśli wyłącznie ku pewnemu indiańskiemu wojownikowi, który ukrywał się w pustej sypialni.

Wyszła z pracy wcześniej niż zazwyczaj. Na ten widok kilka osób, w tym Gladys, uniosło ze zdziwienia brwi.

- Nie do wiary! - wykrzyknęła Gladys. - Dziewczyna, która większą część życia spędza w pracy, nagle wychodzi o normalnej porze. Koniec świata!

- Gdyby rzeczywiście groził nam koniec świata, ty, Gladys, wiedziałabyś o tym pierwsza.

Gladys roześmiała się, chwyciła torebkę i ruszyła ku drzwiom.

- Słuchaj, Elizabeth, nie trzeba się wstydzić tego, że wychodzi się z pracy o normalnej porze. Poza tym jesteś chyba za młoda, żeby przesiadywać w banku do wieczora. Powinnaś od czasu do czasu iść potańczyć z jakimś przystojnym chłopcem.

Elizabeth przywołała w myślach postać Czarnego Sokoła i przez chwilę zawahała się z ręką na klamce. Gladys tylko na to czekała.

- Aha! A więc masz kogoś! - wykrzyknęła. - Właśnie tak myślałam. Kto to jest? Znam go?

Elizabeth wzięła się w garść.

- Mylisz się, Gladys. Moje prywatne życie jest nudne i prozaiczne.

- No wiesz...

Gladys wydawała się tak rozczarowana, że Elizabeth postanowiła być dla niej miła, czego dotąd starała się unikać.

- No, rozchmurz się, Gladys. Może w końcu dam się namówić na spotkanie z twoimi przyjaciółmi.

- Kiedy?

Pomyślała znów o Czarnym Sokole, leżącym w łóżku z nożem pod poduszką.

- Może za parę tygodni, muszę nabrać śmiałości.

Nie mówiła tego, rzecz jasna, szczerze. Nigdy nie brakowało jej odwagi. Nie bała się mężczyzn, ale po prostu nie miała ochoty spotykać się z nimi.

Kiedy wróciła do domu, nie zobaczyła tam Indianina. Dom był cichy i wydawał się pusty. Ogarnęła ją panika.

- O nie! Odszedł - wyszeptała, stojąc bezradnie pośrodku kuchni i przyciskając ręce do piersi.

- Twoja uroda ożywia ten dom, Elizabeth.

Odwróciła się w kierunku głosu. Sokół stał oparty o lodówkę, z nożem u pasa, z pierśią pokrytą skaleczeniami.

- Nie skradaj się tak za moimi plecami.

- Nie skradam się, po prostu cicho wszedłem.

- Wobec tego nie chodź tak cicho.

- Wszyscy Indianie tak chodzą.

Cały dzień była zdenerwowana, a teraz ogarnęło ją rozdrażnienie. Żyła rozsądnie i spokojnie aż do chwili gdy Czarny Sokół wdarł się do piwnicy. Teraz wszystko wywróciło się do góry nogami.

Skierowała się w stronę lodówki, wystukując gniewny rytm obcasami, i otworzyła drzwiczki. Twarz mężczyzny

nie zmieniała wyrazu - nieporuszona i wyniosła, przypominała brązowe oblicze posągu w muzeum.

- Jesteś w moim domu i musisz przestrzegać moich reguł.
Nie odpowiedział.

„Nie rób mi tego!” - chciała krzyknąć, choć stał zupełnie spokojnie.

Powoli odwróciła głowę i spojrzała na Indianina. To był jej pierwszy błąd.

- Nie dasz rady, Elizabeth.

Zatrzasnęła drzwiczki lodówki.

- Do diabła, Sokole!

Złapała go za ramiona, i to był drugi błąd. Ciepło ogarnęło jej dłonie i całe ciało. Zwilżyła wargi, jakby próbowała ugasić ogień.

- Powiedziałaś: Sokole. - Oczy mu pociemniały.

- Przejęczyłam się tylko.

Elizabeth cofnęła ręce, ale Indianin przytrzymał ją i przyciągnął tak blisko, że poczuła go całym ciałem..

- Tylko zakochane kobiety tak do mnie mówiły.

Dotknął jej włosów i wyjął spinki, które upadły na podłogę. Zanurzył dłonie w ciemnych lokach.

Dobrze wiedziała, co będzie dalej; chciała uciec, krzyczeć, ale nie ruszyła się z miejsca. Nade wszystko pragnęła pocałunków; pocałunków właśnie jego, Czarnego Sokola - mężczyzny, który rzucił na nią czar.

- Sokole - szepnęła.

- Chcesz mnie.

- Nie.

- Chcesz mnie tak samo jak ja ciebie.

Objął ją mocniej i oparł o kuchenny blat. Czowała, jak bardzo jest rozpalony, i zakręciło się jej w głowie.

-Ktoś może przyjść.

- Żaluzje są opuszczone, a drzwi zamknięte.

Zsunął jej żakiet, pochylił się i dotknął ustami szyi dziewczyny.

- Masz taką miękką skórę, Elizabeth, stworzoną do pieczot.

Błądzący po jej skórze język wywoływał dreszcze. Bez-
wiednie zarzuciła Sokołowi ręce na szyję, przygarnęła jego
głowę jeszcze bliżej.

- Och, proszę, nie.

- Usta przeczą temu, co mówi do mnie twoje ciało.

Przywarł ustami do warg dziewczyny. Ogarnęła ich gwał-
towna burza namiętności.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

Sokół chciał tylko dotknąć ust Elizabeth, ale w chwili kiedy ją pocałował, zapragnął więcej. Co było w tej dziewczynie, że przyprawiała go o szaleństwo? Pragnął jej jak nigdy przedtem żadnej innej kobiety.

Zapominając o ranach i niebezpieczeństwie, zajął się wyłącznie Elizabeth. Jego usta pieściły wargi dziewczyny, oczekując odpowiedzi. Wkrótce odwzajemniła się pocałunkiem, którego intensywność go zachwyciła. Miał więc rację, była kobietą z temperamentem.

Podniósł ją i posadził na szafce, nie odejmując ust od warg dziewczyny. Ubrana była w jeden z surowych kostiumów będących jej pancerzem, ale pod spodem wyczuł delikatną bieliznę. Dotknął ciepłego, nagiego pasa nad krawędzią pończoch i skąpych, głęboko wyciętych majteczek. Była jak wspaniały skarb, który czeka na odkrywcę. Dotknął ustami szyi Elizabeth - odchyliła głowę do tyłu, poddając się pieszczocie.

- Sokole-powtarzała szeptem.

Wiedział, że go pragnie, że jest gotowa, że należy do niego. Przytulił mocno dziewczynę, wślizgując się miękko między jej kolana.

- Będiesz moja, Elizabeth- powiedział, rozpinając jej bluzkę i koronkowy staniczek. Skóra dziewczyny była ciepła i jedwabista. - Jesteś pięknie zbudowana, Elizabeth, wspaniałe dzieło bogów.

Pieścił ją czule i z podziwem, jakby była cennym i kruchym przedmiotem. Czuł się zaskoczony własnym wzrusze-

niem. Początkowo, gdy Elizabeth już okazała uległość, miał zamiar posiąść ją na kuchennym blacie, szybko i bez głębszych uczuć. Zależało mu tylko na zaspokojeniu pożądania. Teraz pragnął podziwiać i obsypywać pieśczętami dziewczynę, czując, że jest wyjątkowa i cudowna.

Wiedział równie dobrze, jak dobrze znał drogę gwiazd na niebie, że ta kobieta stanie się na zawsze częścią jego życia.

Cały czas jej pożądał. Pochylił głowę i dotknął pachnącego ciała. Jego wargi i język poczęły uwodzić ją umiejętnie i powoli.

Elizabeth odwzajemniała pieśczęty. Coraz bardziej ogarniała ją fala gorąca, a Czarny Sokół miał wrażenie, że trzyma w ramionach rozpalone słońce. Delikatnie gładził uda dziewczyny, aż znalazł to, czego szukał.

- Nie! - Szarpnęła się gwałtownie i zeszywniała nagle. - Przestań, proszę, przestań.

Odepchnęła go nagle.

- Elizabeth?

Uniósł jej twarz i obrzucił uważnym spojrzeniem. Płonęła cała, ale oczy miała przerażone.

- Sokole - ścisnęła go za ramiona, wbijając palce w ciało - nie wolno nam, rozumiesz?

Dlaczego, Elizabeth? - oddychał ciężko, a serce biło mu jak po męczącym biegu.

Niezgrabnie zbierała porzucane ubrania, aż musiał jej w tym pomóc.

- Dlaczego nie? - ponowił pytanie miękkim głosem.

- Dlatego że... - Pochyliła się, zapinając bluzkę, a włosy przesłoniły jej twarz.

Czekał na odpowiedź, czując drżenie ciała dziewczyny.

- Boisz się mnie, Elizabeth?

Nie odpowiedziała. Dotknął jej policzka.

- Nie musisz się bać. Nie mógłbym cię skrzywdzić.

- Nie ciebie się boję. - Dziewczyna podniosła twarz, i zobaczył, jak bardzo jest blada. - Boję się samej siebie.

Sokół zastanawiał się, co mają znaczyć te słowa.

- Nie oczekuję od ciebie poświęcenia, Elizabeth. Pragnę tylko spełnienia i myślałem, że ty też.

- Zrozum, dla mnie to coś więcej niż tylko seks.

Poruszyła się, a Indianin pomógł jej zejść na podłogę.

Przez chwilę jeszcze trzymał Elizabeth w ramionach, badając wzrokiem jej twarz.

- Powiedz mi, o co chodzi.

- Nie, to moja sprawa.

Nigdy dotąd Sokół nie czuł potrzeby poznania ukrytych myśli kobiety. Teraz opanowała go myśl o tajemnicy Elizabeth McCade.

- Co ukrywasz, Elizabeth? Jakie złe duchy cię prześladowają?

Uwolniła się z objęć mężczyzny i podniosła żakiet. Z całej siły próbowała zapanować nad sobą. Założyła marynarkę i zapięła dokładnie wszystkie guziki. Drżącymi rękami ułożyła włosy w kok, ale porzucone spinki leżały wciąż na podłodze.

Sokół podniósł je, jedną po drugiej, i podał w milczeniu dziewczynie.

Nie mówiąc ani słowa, wzięła spinki i wetknęła byle jak we włosy. Powrócił jej rumieniec i drzenie ustąpiło.

- Nigdy już mnie nie dotkniesz.

- Nie dotknę cię... dopóki nie zechcesz.

- Nie zechcę.

Uśmiechnął się i przypinając nóż do pasa, spojrzał na Elizabeth.

- Jesteśmy do siebie podobni, moja droga. Na pewno zechcesz.

Indianin usłyszał, jak dziewczyna wychodzi z kuchni, potem jej kroki zastukały na schodach, a drzwi sypialni zamknęły się z trzaskiem.

Rany bolały go i piekły, ale o wiele bardziej bolało go serce. To nie urażona duma sprawiała mu cierpienie, tylko myśl, że Elizabeth zawiodła się na nim, że ją skrzywdził.

Stał w holu, zastanawiając się nad zachowaniem ich obojga. Jaką tajemnicę ukrywa dziewczyna? Nie znał odpowiedzi na to pytanie, ale wiedział, że musi ją poznać.

W sypialni na górze Elizabeth siedziała przy biurku nad dziennikiem otwartym na dacie sprzed siedmiu lat.

To zakazana miłość - napisane było równym i okrągłym szkolnym pismem. - *Doktor Laton - Mark - jest profesorem, a ja studentką. Tradycja i obyczaje tej szkoły są przeciwko nam.*

Elizabeth oparła brodę na dłoniach i wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Uległa mu; byli z sobą wiele razy. Nauczyciel i ideał. Starszy i bardziej doświadczony, a ona młoda i naiwna. Czytała dalej:

Mark zabrał mnie do restauracji w sąsiednim hrabstwie. Siedzieliśmy przy stoliku w rogu sali i patrzyliśmy na siebie ponad obrusem w biało-czerwona szachownicę.

- *Chcę się z tobą kochać, Elizabeth* - powiedział tym swoim głębokim głosem. - *Nauczę cię miłości* - dodał-

Nie zważał na moje słabe protesty. Właśnie tej nocy po raz pierwszy pojechaliśmy do jego gabinetu w starym budynku, wydziału anglistyki. Rozebrał mnie i położył na sofie. Początkowo bałam się, ale był delikatny i czuły. Był tak samo dobrym nauczycielem miłości jak literatury.

Elizabeth przerzuciła kilka kartek i kontynuowała wspomnienia.

Marzę tylko o Marku i o dniu, kiedy już oficjalnie będziemy razem, kiedy będę nosić obrączkę i nazywać go mężem. Zawsze się śmieje, kiedy o tym opowiadam, i zamyka mi usta pocałunkiem. To wystarcza - jeden pocałunek, jedno dotknięcie i już jestem gotowa być jego gejszą - tak do mnie mówi. Jestem dobrą uczennicą, tak pilną, że nieraz w czasie wykładów zastanawiam się, jak jeszcze mogłabym go zadowolić. Mówi, że jestem stworzona do miłości. Nie mogę zaprzeczyć, o niczym innym już nie myślę.

Elizabeth rzuciła dziennik w ką.

Do diabła z tobą, Marku Latonie!

- Elizabeth? - Sokół zapukał do drzwi. - Nic ci nie jest?

- Odejdź, nie chcę cię widzieć.

Drzwi otworzyły się, Indianin wszedł z tacą pełną jędze-

nia, ozdobioną serwetkami w biało-czerwona szachownicę i zapaloną świecą. Elizabeth zamarła.

- Skąd to wzięłeś?
- Sam przygotowałem. Staralem się, jak mogłem. Jestem gotów do poświęceń dla kobiety, która udzieliła mi schronienia.
- Nie mówię o jedzeniu... ale te serwetki...
- Znalazłem je w szafce z bielizną.

Wiedziała, że reaguje przesadnie, ale nic nie mogła poradzić. Każda rzecz w biało-czerwona szachownicę, w połączeniu z płonąca świecą, zawsze będzie przypominać Marka.

Sokół obserwował dziewczynę uważnie, jakby spodziewał się, że lada moment wybuchnie, i zastanawiał się, w którą stronę uskoczyć. Elizabeth opanowała się jednak i podeszła do niego.

- Dzięki, że zrobiłeś mi kolację. To miło z twojej strony.
- Wystarczy dla nas obojga.

Nie chciała patrzeć na Czarnego Sokoła, nie chciała siedzieć z nim przy stole. Nie zamierzała nawet przebywać z nim w jednym pokoju. Ale nade wszystko nie miała zamiaru przyznawać się do tego. Jakoś przeżyje ten jeden wspólny posiłek.

Wzięła tacę i rozejrzała się po pokoju. Nocny stolik wystarczyłby z pewnością - można przysunąć do niego krzesła. Dziewczyna wolala jednak nie zostawać sam na sam z Sokołem w sypialni.

- Zjemy na dole.

Zeszli więc na dół w milczeniu. Kiedy znaleźli się w pokoju, Elizabeth zgasila świecę i schowała kraciaste serwetki do szuflady staroświeckiej komody, zastępując je białymi. Sokół zauważył to, ale nic nie powiedział, wiedząc, że tak czy owak gospodyni nie wyjaśni mu niczego.

Przysunął krzesło, zaś Elizabeth podziękowała mu grzecznie. Zachowywał się uprzejmie i z dystansem. Trochę bała ją myśl, że są tymi samymi ludźmi, którzy godzinę wcześniej nieomal kochali się na kuchennym blacie.

Dziewczyna spodziewała się, że atmosfera w czasie kola-

cji będzie raczej napięta, ale Czarny Sokół zupełnie ją zaskoczył. Był swobodny i pełen uroku, potrafił interesująco mówić o literaturze, sztuce i polityce.

Poglądy obojga przeważnie okazywały się zgodne. Wydawało się, że jedyną kością niezgody pomiędzy nimi było to, o czym nie rozmawiali - namiętność.

- Widziałem gdzieś tu szachy - powiedział, kiedy kończyli jeść.

- Tak - uśmiechnęła się. - Znając twój zwyczaj myszkowania w cudzych rzeczach, spodziewam się, że możesz wymienić po kolei wszystkie przedmioty w tym domu.

- Mówi się rekonesans, a nie myszkowanie.

Podobało jej się to poczucie humoru. Prawdę mówiąc, podobało jej się wiele cech Indianina - poza tym, co było oczywiste. Uczucie to wciąż ogarniało Elizabeth na nowo, gdy tylko spojrzała na mężczyznę.

- Zagramy partyjkę?

- Co takiego? - zapytała z roztargnieniem.

- Zagramy w szachy, Elizabeth?

Nagle ogarnęła ją wściekłość na Marka Latona za to, że przez niego nie może czuć się całkiem swobodnie w towarzystwie Czarnego Sokoła. Musiała cały czas mieć się na baczności i bardzo ją to męczyło.

- Oczywiście, bardzo chętnie. - Wstała od stołu. - Wierzę, że jesteś godnym przeciwnikiem.

- Jestem zabójczy.

Wiedziała już, jaki potrafił być zabójczy. Zebrali talerze i poszli do saloniku. Pokój był przytulny, pełen wygodnych foteli, kolorowych dywaników i lamp.

- Nigdy nie odsłaniasz okien, Elizabeth? - zapytał Sokół siadając.

- Dlaczego pytasz?

- Czy ktoś mógłby zauważyć, że dom wygląda inaczej niż zwykle?

- Nie. Lubię czuć się swobodnie. Nie martw się, nikt tu nie przyjdzie.

Ustawili pionki i zaczęli grać. Oboje byli wytrawnymi graczami, ale w pierwszej partii Sokół szybko zwyciężył.

- Grasz agresywnie - powiedziała Elizabeth. - Zawsze tak atakujesz?

- Zawsze. Jestem wojownikiem.

- W życiu i w grze, jeśli te wszystkie historie o tobie, które czytałam, są prawdziwe.

- Na ogół tak, chociaż niektóre moje wyczyny trochę ubarwiono.

- Na przykład to, jak wzięłeś w zastaw pieczoną świnie u burmistrza, a stu pięćdziesięciu gości czekało o głódzie?

- Właśnie - zaśmiał się bez troski.

- Nie pamiętam już, o co tam chodziło.

- Nie chciał nawet rozmawiać o naszym projekcie wykorzystania odpadów. A przecież chyba warto dbać o otoczenie.

- Wjechałeś też kiedyś na koniu do sali konferencyjnej miejskiej komisji planowania.

- Tylko w ten sposób mogłem zwrócić ich uwagę. To był taki mały, lokalny problem.

- Nie taki znów mały, jeśli dobrze pamiętam. Próbowałeś ochronić jeden z ostatnich leśnych terenów w okolicy. Zamierzano wyciąć tam drzewa pod budowę jakichś obiektów przemysłowych.

- Jeśli komisja planowania nadal działałaby w ten sposób, wkrótce nie byłoby tu ani kawałka ziemi do życia.

Ustawili pionki i rozpoczęli drugą partię. Sokół znowu bardzo szybko dał dziewczynie mata.

- Nie myśl sobie, że zawsze będziesz tak łatwo wygrywał.

- Ale, jak na razie, wygrywam. Skoncentruj się.

Rzeczywiście, Elizabeth nie mogła myśleć o grze. Uczestniczyła w niej tylko połową swej świadomości. Jej pozostałe myśli skupiały się wokół Indianina. Przyrzekła sobie, że teraz postara się lepiej.

Grali z dzikim zacięciem. Kiedy zagroziła królowi swego przeciwnika, przestali rozmawiać.

W pokoju panowała cisza, przerywana tylko od czasu do czasu stuknięciem marmurowego pionka o blat. Zaczął pa-

dać deszcz i dzwonił lekko o szyby oraz o stary, blaszany dach domu. Wiatr szumiał w koronach sosen.

Czarny Sokół podniósł wzrok znad szachownicy.

- Miło tu, Elizabeth, tak we dwoje.

Nie odpowiedziała, ale jej też było przyjemnie. Po siedmiu latach samotności przyjemnie mieć w domu gościa, z którym można pograć w szachy.

Spojrzenia grających spotkały się ponad szachownicą. Jednocześnie sięgnęli po pionki i ręce obojga zetknęły się nagle.

Znów spojrzeli na siebie. Nigdy jeszcze oczy mężczyzny nie wyrażały tylu uczuć.

- Przepraszam - szepnęła Elizabeth.

- To był chyba mój ruch - rzekł.

- Oczywiście. - Nie ośmieliłaby się przyznać, że zapomniała. Już raz zauważył, że nie może skupić się na grze. Nie da mu następnej szansy.

Skoncentrowała całą uwagę na swoich pionkach. Deszcz padał coraz mocniej i bębnił teraz wściekle o dach. Elizabeth i Sokół rozgrywali partię.

- To chyba szach i mat - powiedział.

- Tak. Remis.

- Masz rację, remis - powtórzył.

Jego oczy przeszywały Elizabeth na wylot.

- Jeszcze jedną partyjkę?

- Nie, późno już.

Dziewczyna zaczęła składać pionki, a on siedział i patrzył. Starła się unikać wzroku mężczyzny. Nagi tors Indianina nadal przecinały skaleczenia, ale rany zaczęły się już zablizniać. Szybko dochodził do zdrowia i wkrótce odejdzie.

- To dzięki tobie, Elizabeth.

- Co?

- Czuję się już dużo lepiej.

- Czytasz w moich myślach?

- Czytam w twojej twarzy. Patrzyłaś na mnie, przyglądałaś się ranom.

Nie zaprzeczyła.

- Masz wprawne ręce - dodał.

Dwuznaczność tych słów była zamierzona, to pewne; Chciała już powiedzieć, że te wprawne ręce to zasługa Marka, ale zamiast tego podeszła ku drzwiom.

- Dobranoc, Czarny Sokole - powiedziała, świadomie wypowiadając pełne imię.

- Słodkich snów, Elizabeth.

Wiedziała dobrze, że sny nie będą słodkie - od dawna już takie nie były. Będą męczące i bolesne, jak zwykle wizje z przeszłości.

Rozebrała się i bez pośpiechu wzięła kąpiel. Łóżko nie wydawało się bezpiecznym schronieniem.

Ubrana w niebieską koszulę stała przy oknie, patrząc na deszcz, porażona wspomnieniami, które sprawiały nieznośny ból. Na dole Sokół kładzie się spać. Może leży już w łóżku, nagi, wyciągnięty w pościeli.

Uczucia, które w sobie wyzwoliła, cisnęły się teraz na zewnątrz jak bystra rzeka, która porywa wszystko na swojej drodze.

Niemal czuła na sobie ręce Sokola i jego usta na swoich. Pragnęła pójść do niego. Od tak dawna nie pożałała żadnego mężczyzny, a teraz chciała tylko jego, Sokoła.

Odeszła od okna i w połowie drogi do łóżka usłyszała dolatujące z przeszłości echo głosu Marka:

„Ufając mi, popełniłaś pierwszy błąd. Zakochując się we mnie - drugi. Nie skrzywdziłem cię, Elizabeth. Zraniłaś sama siebie.”

Stała nieruchomo, miotana niezdecydowaniem i wątpliwościami. Przez siedem lat uciekała i ukrywała się za zaryglowanymi drzwiami domu. Próbowwała znaleźć zapomnienie w pracy. Porzuciła życie towarzyskie. Bezpieczna. Była wreszcie bezpieczna.

Wciąż tłumiała swoje pragnienia, niemal dławiąc się nimi.

- Niech cię diabli! - zaciskając pięści, powiedziała do Marka Latona ukrytego gdzieś w jej podświadomości. - Już raz zrujnowałeś mi życie. Zniszczyłeś moją niewinność, ma-

rzenia, karierę, przyszłość. Nie pozwolę, abyś znów stanął mi na drodze. Nigdy więcej!

Jedwabna koszula szeleściła, kiedy Elizabeth schodziła po schodach. Szła do Sokoła. Powiedział, że następny ruch należy do niej, i właśnie postanowiła go wykonać.

Tym razem była starsza, bardziej doświadczona i o wiele mądrzejsza. Nie oczekiwała miłości, małżeństwa, długiego i szczęśliwego życia we dwoje. Potrzebowała partnera, który zaspokoi jej pragnienia. Dwa, trzy dni - to wszystko, nikt nie będzie cierpiał. Sokół odejdzie, a ona wróci do spokojnego życia.

Spieszyła się, pulsując cała podnieceniem. Bez wahania otworzyła drzwi i śmiało weszła do pokoju.

Deszcz wciąż szturmował do okien, a światło księżycy nie rozjaśniało gęstego mroku. Elizabeth wyteżyła wzrok, szukając Sokoła.

- A więc przyszłaś - powiedział silnym, pięknym głosem, który zdradzał, że nie spał jeszcze.

- Tak.

Teraz, w pokoju, ogarnęła ją niepewność, co ma robić.

- Wiedziałem, że przyjdziesz.

- Wiedziałeś?

- Tak. Już ci mówiłem. Jesteś moja, Elizabeth.

Oczy dziewczyny przywykły do ciemności i zobaczyła, że Sokół wstał. Był wysoki, zgrabny i wspaniały, kiedy tak szedł powoli przez pokój. Drżała, a jej postanowienie zaczęło słabnąć.

- Nie bój się, Elizabeth, chodź!

Wziął ją za rękę i zaprowadził do łóżka.

- Jestem Sokół. Poszybujemy razem w przestworza...

ROZDZIAŁ CZWARTY

Sokół wiedział, że Elizabeth przyjdzie. Czekał na nią, wyciągnięty na łożku i wciąż ubrany w dzinsy i mokasyny. Wypuścił ją z objęć i zapalił lampkę.

- Dlaczego? - zapytała, wskazując ruchem głowy światło.
- Chcę cię zobaczyć.

Zsunął jej lekko koszulę z ramion. Elizabeth miała piękne, kształtne ciało o jedrych mięśniach i jedwabistej skórze. Czarny Sokół bardzo jej pragnął.

- Chciałbym zobaczyć, jak chodzisz, Elizabeth - poprosił miękko.

Poruszała się z wdziękiem kobiety, która wie, że jest piękna, i sprawia jej to przyjemność. Rozcięcie koszuli ukazywało długie, zgrabne nogi. Rozpuściła włosy, które opadły czarną falą, lśniąc w świetle lampy.

Podeszła do drzwi i oparła dłoń na klamce, jakby zamierzała wyjść. Spojrzała na mężczyznę wyczekującego.

- Nie wyjdiesz stąd, dopóki nie dostaniesz tego, czego pragniesz - powiedział.

Odwróciła się powoli.

- Nie, nie wyjdę, dopóki nie dostanę ciebie, Sokole. Ciebie całego.

Oczy zaszyły mu mgłą i oddychał ciężko, kiedy uwodzielsko przesunęła dłońmi wzdłuż ciała. Elizabeth McCade była najbardziej zmysłową kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał.

Nawet ubrana wywoływała wrażenie, jakby był już w niej.

- Lubisz kochać się powoli, bez pośpiechu, czy szaleńczo i szybko? - zapytała.

- I tak, i tak.

Zwilżyła wargi końcem języka i poruszyła ramieniem, tak że wąskie ramiączko zsunęło jej się aż do łokcia. Patrząc na mężczyznę prowokująco, obnażyła piersi.

- To dla ciebie - powiedziała.

Zebrała włosy z szyi i powoli przesypywała między palcami. Sokół nachylił się i lekko, drażniąco dotknął językiem jej piersi. Poczul, że serce dziewczyny bije mocno.

Uśmiechała się, kiedy podniósł głowę.

- Masz magiczne wargi, Sokole.

- To ty jesteś źródłem tej magii, moja piękna.

Zdjął z niej koszulę, która załśniła jak błękitna sadzawka. Ręce i usta mężczyzny wędrowały niespiesznie, dotykając wszystkich wrażliwych miejsc jej ciała.

Przyciągnął dziewczynę bliżej. Płonęła w jego objęciach i miał wrażenie, że stapiają się z sobą.

Wbiła mu paznokcie w ramiona, ale nie czuł bólu. Był szczęśliwy, jakby leciał w przestworza, podobny do swojego ptasiego imiennika, upajając się całą wolnością świata.

Wreszcie Sokół wziął dziewczynę na ręce i zaniósł do łóżka. Z czarnymi włosami rozrzuconymi na pościeli wyglądała egzotycznie, niemal jak Indianka.

Dotknął paska spodni, ale powstrzymała jego dłoń.

- Sama cię rozbiore.

Usiadła i przytuliła się do niego, ogrzewając ciepłym oddechem.

- Wciąż chodzisz z nożem. - Gdy wyciągnęła mu broń zza pasa, ostrze załśniło w świetle lampki.

- Wojownik jest zawsze gotów.

Przesunęła palcami po jego udach.

-Widzę.

Delikatnie pogładził ją po policzku.

- Moja broń jest szybka, potężna i niezawodna, Elizabeth.

- Przekonaj mnie - uśmiechnęła się lekko.

Powiodła dłonią po nagim ciele mężczyzny, a w końcu oplotła palcami jego członek.

- Chodź, Sokole, teraz.

Wszedł w nią jednym miękkim ruchem; ich połączenie było tak doskonałe, że krzyknęli z zachwytu.

- Wiedziałem, Elizabeth, od pierwszej chwili, że to będzie właśnie tak.

- Sokół!

Przycisnęła go mocniej do siebie i obojgiem zawładnął odwieczny rytm. Sokół czuł rozkosz przenikającą na wskroś jego ciało, a z ust wyrwał mu się triumfalny okrzyk w języku przodków. Tulił dziewczynę, szepcząc jej do ucha słowa miłości. Leżała nieruchomo i myślał, że zasnęła. Po chwili uniosła się na łokciu i popatrzyła z uśmiechem.

- Myślisz, że to koniec walki, wojowniku?

Dotknął jej policzka i zanurzył palce w wilgotnych czarnych włosach.

- Masz odwagę mnie wyzwąć?

- Tak.

Sokół uśmiechał się zachwycony. Była taka, jak sobie wyobrażał i jeszcze o wiele wspanialsza. Elizabeth McCade miała wielki temperament. Owej nocy, gdy wpadł do piwnicy, los uśmiechnął się do niego.

Oczy dziewczyny zabłyśły pożądaniem; pieściła go i całowała, szepcząc coś miękko - Sokół zorientował się, że to poezja miłosna. Słowa jednak nie były ważne, póki trwał zatopiony w pieścizotach.

- Jesteś czarodziejką, Elizabeth - powiedział łamiącym się głosem, gdy go dotykała. Poruszył się, żeby wziąć ją pod siebie i pojąć jeszcze raz.

Poczekaj. - Dziewczyna przytrzymała go lekko. Pragnął jej każdym nerwem całego ciała.

- Chcesz mnie? - zapytała, patrząc mu w twarz.

- Bardziej niż spękana ziemia deszczu, bardziej niż jeleń łani, bardziej niż umierający chce żyć.

- Nieźle jak na początek - powiedziała Elizabeth, uśmiechając się promiennie.

Teraz ona przejęła ster i zabrała kochanka w szaloną, zapierającą dech w piersiach podróż, która trwała prawie całą noc.

Zanim świt zaróżowił niebo, dziewczyna podniosła z podłogi koszulę i cicho wyśliznęła się z pokoju. Przy drzwiach dogonił ją głos Sokoła:

- Jesteś moja, Elizabeth.

- Nie, Sokole - powiedziała, obracając się powoli. - To ty jesteś mój.

Zatrzasnęła cicho drzwi, a Sokół zamknął oczy, syty miłości.

Już w holu Elizabeth oparła się o futrynę. Serce mocno kołatało jej w piersi, usta miała obolałe i spuchnięte, w całym ciele czuła mrowienie. „Długo tłumiona namiętność pali jak ogień” - pomyślała.

Przygryzła usta, żeby nie jęknąć na głos. Nie chciała, by Sokół to słyszał. Wołała, żeby myślał, że skorzystała tylko z okazji. Takie zresztą były początkowo jej zamiary. Kiedy schodziła do sypialni, pragnęła tylko fizycznego zbliżenia.

Co się stało? W którym momencie to, co robiła, stało się czymś więcej niż zaspokojeniem pożądania? Czy wtedy, kiedy po raz pierwszy jej dotknął? Kiedy ją posiadł? Kiedy dał jej rozkosz?

Elizabeth wtuliła twarz w dłonie, zginając się wpół. Ten mężczyzna nie był już kimś, z kim mogła się kochać, a potem odejść - stał się obsesją.

Powróciły wspomnienia; jednak jej obecny kochanek to nie Mark Laton. Miał siłę, charakter, szlachetność i dobroć, które były całkiem obce Markowi. To nie Sokoła się bała, czuła obawę przed samą sobą. Przy Marku straciła samokontrolę i pozwoliła wieść się namiętności. Nie wolno jej popełnić tego samego błędu po raz drugi. Zaciskając pięści, powtórzyła słowa przysięgi: Tym razem nie dam się opanować uczuciom. Dostanę to, czego chcę, i odejdę!

Elizabeth zawróciła i dotknęła drzwi.

- Śpij dobrze, mój piękny wojowniku - szepnęła odchodząc.

Następnego ranka przed pójściem do pracy nie zajrzała do jego pokoju. Przypuszczała, że Indianin śpi jeszcze, wyczerpany burzliwą nocą.

Elizabeth natomiast była zbyt podniecona, żeby zasnąć. Jej chód stał się sprężysty, a ruchy nabrały pewności. Kiedy przyszła do pracy, miała wrażenie, że jest w stanie czynić cuda. Zabierając się do porannych sprawozdań, zorientowała się, że nuci coś cichutko.

- Rany boskie! - powiedziała do siebie, wybuchając śmiechem.

Obróciła się na krzesło i spojrzała przez okno. Wszystko przypominało jej kochanka: stary dąb przed budynkiem, pałące słońce, ptak, który nagle poderwał się z gałęzi i poszybował w górę. To był tylko szpak, ale myśli dziewczyny wędrowały wciąż do Sokoła. Spędziła dzień śniąc na jawie. Zastanawiała się, jak ją powita po powrocie do domu, co powie i gdzie będą się kochać. To wszystko, co mogła robić, aż do momentu zamknięcia biura. Myślała nawet, aby udać, że źle się czuje i zwolnić się wcześniej, byle jak najszybciej znaleźć się znów z Sokołem.

- Elizabeth McCade - szepnęła do siebie, kiedy dzień pracy wreszcie się skończył i jechała do domu -jesteś szalona!

Odrzuciła do tyłu głowę i roześmiała się na głos. Tak dobrze być znów szaloną i wolną!

Sokół czekał na nią przy drzwiach.

- Czekałem na ciebie cały dzień - powiedział, przyciskając dziewczynę do ściany, podczas gdy jego dłonie i usta wędrowały już po drżącym ciele Elizabeth.

Upuściła torebkę i kluczyki na podłogę, otaczając go ramionami. Nic ją nie obchodziło: znów była z Sokołem.

Posiadł ją tak gwałtownie, aż oboje na chwilę stracili oddech.

- Marzyłam o tym cały dzień, Sokole - powiedziała, opierając mu głowę na piersi.

- Ja też, Elizabeth.

Zaniósł ją na górę, położył na łóżku i rozebrał z czułością.

Leżała spokojnie, gdy wszedł do łazienki. Usłyszała, że odkręca krany i woda zaczęła napełniać wannę. Usłyszała też brzęk butelek, kiedy szukał płynu do kąpieli.

Przeciągnęła się leniwe, czując jakby tęsknotę i ociężałość. Uśmiechnęła się, gdy wszedł.

- Cudownie jest mieć kochającego niewolnika - powiedziała.

Podszedł wolno, a oczy rozbłyły mu śmiechem. Stojąc przy łóżku, zdjął dzinsy.

- Kto jest tym niewolnikiem, Elizabeth? Ty czy ja?

- Oboje - wyszeptwała, wyciągając ku niemu ręce i wciąż mając w pamięci słowa, które wypowiedzieli pierwszego dnia na schodach piwnicy.

Zaniósł ją do łazienki i złączeni mocnym uściskiem znaleźli się w wannie. Przez chwilę żartowali i przekomarzali się, zanurzeni w pianie, ale wkrótce zabawa przerodziła się w namiętność i kochali się w wodzie.

Później Indianin owinął Elizabeth w ręcznik i zaniósł z powrotem do łóżka. Dotknęła blizn na piersi mężczyzny.

- Wkrótce odejdziesz.

- Tak, mamy już mało czasu.

- Ile?

- Do jutra.

Dziewczyna wstrzymała oddech, gdy ujął jej twarz w dłoń.

- Jutro odejdę, Elizabeth.

Żadne nie wyrzekło ani słowa. Było to zbędne, ponieważ ich ciała mówiły wszystko. Oboje zeszywnieli, usiłując zapanować nad uczuciami, które były jednak silniejsze od woli.

- Sokole! - krzyknęła, obejmując go mocno.

Wgniótł ją w łóżko, przytrzymując ramiona dziewczyny wysoko nad głową.

- Powiedz, że mnie pragniesz, Elizabeth!

- Tak, Sokole, tak, tak!

Wieczne cienie wydłużyły się i wzeszedł księżyc, lecz Sokół i Elizabeth nie zwrócili na to uwagi. Na niebie pojawiły się gwiazdy, jedna po drugiej, a ich blask odbijał się

w szybach, ale spleceni w uścisku kochankowie zajęci byli tylko sobą.

Okolo północy odwiedził ich gość; podkrał się cicho do kuchni i wszedł po schodach. Zawahał się przez chwilę na progu i wśliznął do sypialni przez uchylone drzwi.

Sokół zakrył dłonią usta dziewczyny i błyskawicznie sięgnął po nóż. Rozejrzył się w ciemności, szukając cienia, błysku tkaniny, czegokolwiek, co mogło dać informację o przeciwniku.

Niczego jednak nie zauważył. Usłyszał tylko cichy szelest kroków, który go zaalarmował, i instynktownie poczuł, że nie są sami.

Przybrawszy pozycję dogodną do ataku, Indianin powiedział, wciąż z ręką na ustach Elizabeth:

- Trzymam nóż wycelowany prosto w twoje serce. Jeden ruch, a zginiesz.

Uwolnił Elizabeth i z nożem gotowym do rzutu włączył lampkę.

Wielki kocur podszedł do kosza pod oknem i zaczął układać się do snu.

- Dlaczego nie powiedziałaś, że masz kota, Elizabeth?

- To nie mój kot, to włośczęga, który tu czasem zagląda.

- Ale jak się dostaje do środka? Przez dziurę w kuchennych drzwiach?

- Tak.

- Masz miękkie serce dla włośczęgów, prawda? - Sokół uśmiechnął się lekko.

- Tylko dla kotów, psów i ptaków. Zwłaszcza dla ptaków.

- Poglaskała go po włosach.

- Dla jakich ptaków?

- Dla sokołów.

Pocałował ją lekko, wstał i włożył dzinsy.

-Co robisz? - zapytała.

- Idę się rozejrzeć.

Nie potrzebowała pytać, dlaczego. Kot go zaniepokoił i wzbudził podejrzenie, że ktoś jeszcze mógłby zakraść się do domu pod osłoną ciemności.

- Bądź ostrożny, Sokole.
- Czekaj tu na mnie, Elizabeth. Zaraz wrócę. - Wyłączył lampę i zniknął.

Poruszał się szybko i pewnie jak duch. Elizabeth objęła ramionami kolana. Jutro Sokół odejdzie, tak samo cicho i zwinnie jak teraz. Nie zostawi po sobie żadnego znaku, poza tym, co w niej zostawił. Ten ślad był nie do zatarcia. Zastanawiała się, jak zdoła przeżyć odejście Sokola. Będzie jednak musiała. Dał jej wielką rozkosz; najlepszy sposób, żeby go nagrodzić, to pozwolić mu spokojnie odejść. Postawił sprawę jasno: łączy ich tylko seks.

Najwyraźniej nie chciał się wiązać, zresztą ona też nie. Żałowała, że nie spędzą razem jeszcze kilku dni, choć wtedy mogłaby się w nim zakochać, a to byłaby katastrofa. Wspomnienie miłości do Marka sprawiało zbyt wielki ból.

Objęła mocniej dłońmi kolana i czekała. Czekala na powrót Sokola z ciemności, aby jeszcze raz wzbić się z nim w przestworza; tam, gdzie nie ma samotności i lęku.

Sokół tymczasem pozostał na zewnątrz dłużej, niż wymagał tego rekonesans. Upewnił się, że ani w domu, ani nigdzie w pobliżu nikogo nie ma. Wciąż jednak odwlekał powrót do Elizabeth, choć wiedział, że to nie ma sensu. Od początku był zdecydowany odejść. Elizabeth nie należy i nigdy nie będzie należeć do niego.

Był wojownikiem - chociaż nie ruszał w bój uzbrojony w łuk i strzały jak ongiś jego przodkowie, wciąż walczył z tym samym wrogiem, który chciał zniszczyć jego ziemię i mógł zniszczyć jego lud. Teraz walka była o wiele bardziej wyrafinowana, a nieprzyjaciel bardziej nieuchwytny. Polityka to nieczysta gra, a ten, kto walczy przeciw bogatym i możnym, naraża się na niebezpieczeństwo. Z żadną kobietą nie mógł dzielić życia, które wybrał - zawsze na granicy zagrożenia, zawsze wystawiony na cel.

Okrążając dom, Indianin myślał o wrogach. Walka o ziemię przodków wkrótce się zakończy. On i jego ludzie muszą zwyciężyć, ale będą następne bitwy i nowi nieprzyjacieli.

Współczesny człowiek jest samolubny i chciwy. W pie-

kielnej pogoni za pieniędzmi i władzą stopniowo i systematycznie niszczy świat, w którym żyje, nie myśląc zupełnie o przyszłych pokoleniach: o tym, jakim powietrzem będą oddychać, jaką pić wodę i jakie dziedzictwo otrzymają.

Przodkowie Czarnego Sokoła walczyli o lepszy, piękniejszy świat, aby ludzie mogli żyć w harmonii z przyrodą. Musiał kontynuować ich dzieło. Zamierzał być silny i walczyć nawet samotnie, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Mimo przysięgi, którą się związał, pragnienie Elizabeth nie dawało mu spokoju. Będzie musiał zostawić ją jutro, w przeciwnym razie już nigdy nie zdoła odejść.

- Elizabeth McCade, zaczarowałaś mnie - powiedział na głos i pospieszył z powrotem do sypialni.

Następnego ranka Elizabeth zadzwoniła do banku i powiedziała, że jest chora.

- Gładys - powiedziała - połącz mnie, proszę, z Quentinem z działu pożyczek.

- Co się stało, Elizabeth? Dlaczego nie przyszałaś do pracy?
- Obawiam się, że coś złapałam.
- O, to niedobrze. Zaraz cię połączę.

Sokół uśmiechał się do Elizabeth sponad olbrzymiego omletu. Kiedy odłożyła słuchawkę i razem z nim usiadła do jedzenia, wziął dłoń dziewczyny i położył sobie na piersi.

- Co takiego złapałaś, Elizabeth?
- Gorączkę.
- To chyba zaraźliwe.
- Czy wszyscy Indianie są tacy zadowoleni z siebie - zapytała ze śmiechem - czy tylko ty?
- Wszyscy Chickasawowie. Jesteśmy wspaniali i płodni.
- Nie wymawiaj tego słowa.
- Chickasaw? - drażnił się z nią.
- Nie, tego drugiego.

Sokół spokojnym ruchem odsunął talerz i wstał.

- Możesz być trochę bardziej precyzyjna, Elizabeth? - zapytał, wyciągając do niej rękę.

Zaplotła mu ramiona na szyi i i oparła głowę o pierś.

- Już wiesz - szepnęła.
- Ach, tak. - Rozpiął jej szlafrok i zaczął pieścić piersi. -
Czy to masz na myśli?

- Więcej.

- To? - Doświadczony ręce dotykały jej wszędzie. -I to też?

Zdjął szlafrok z dziewczyny i posadził ją na stole. Jednym szybkim ruchem wszedł w nią i oboje zatracili się na chwilę. Czas się zatrzymał. Sokół wiedział, że musi odejść, i Elizabeth zdawała sobie z tego sprawę. Ale choć przez moment ich miłość przeczyła tej nieubłaganej prawdzie.

Został aż do zachodu słońca. Byli w pokoju na dole. Elizabeth leżała na łóżku, a Sokół, z nożem za pasem, stał gotowy do odejścia.

Wpatrywali się w siebie. Każde z nich chciało coś powiedzieć, ale brakowało słów. Właściwie już się pożegnali. Cały dzień spędzili żegnając się na tysiąc różnych sposobów. Byli wyczerpani fizycznie i psychicznie.

- Nie zapomnij pistoletu - powiedziała w końcu, przerywając długą ciszę.

- Nie zapomnę.

Stał jednak wciąż przy łóżku, patrząc na nią ciemnymi oczyma. Znow zapadło milczenie i Elizabeth zamrugła, walcząc ze łzami.

Sokół pogłaskał ją czule po policzku.

- Elizabeth...

- Idź już - powiedziała. - Idź.

- Masz rację, tak będzie lepiej.

Ruszył ku drzwiom. Patrzyła, jak się oddala, i nie wytrzymała.

- Sokole!

Odwrócił się i stanął, nieruchomy jak posąg z brązu.

- Wszystkiego dobrego - szepnęła.

- Dziękuję, Elizabeth - powiedział i odszedł.

Rzuciła się na zmiętą pościel, zbyt wyczerpana, żeby się ruszyć, zbyt zrozpaczona, żeby płakać. Tak więc skończyło się już. Sokół należał do przeszłości.

* * *

Sokół wziął swoją broń z kuchennego schowka. Kiedy zobaczył tam niklowany pistolet z długą lufą, już prawie chciał wrócić na górę. Ale wiedział, że to byłby błąd. Przygoda z Elizabeth dobiegła końca- i nie mógł pozwolić sobie na powroty. Musiał iść naprzód - do walki - i nawet ta ciemnowłosa kobieta nie mogła odwieść go od wyznaczonego celu.

Wychodząc z piwnicy do ukrytego korytarza, który go tu przywiódł, obejrzał się ostatni raz.

- Do widzenia, Elizabeth McCade - powiedział, zanurzając się w zrujnowanym tunelu, który miał zaprowadzić go do domu.

Elizabeth przeczytała w prasie i wysłuchała w telewizji wiadomości o kochanku. „Czarny Sokół żyje” - brzmiały nagłówki w gazetach dzień po tym, jak opuścił jej dom. Było nawet zdjęcie, na którym siedział na swoim czarnym ogierze, udzielając dziennikarzom wywiadu.

- Będziemy walczyć do końca o to, w co wierzymy. Nie walczymy tylko o swoje sprawy, ale o sprawy wszystkich ludzi. Walczymy o zachowanie przeszłości i o bezpieczną przyszłość.

Obejrzała wywiad w popołudniowym dzienniku i jeszcze raz w wieczornym. Obraz Czarnego Sokoła wypełnił pokój, zupełnie jakby Indianin wyłonił się z telewizyjnego ekranu i powrócił tutaj. Siedząc na kanapie, Elizabeth zacisnęła pięści i zagryzła wargi. Pragnęła jego powrotu. Pragnęła, żeby porzucił walkę i na zawsze pozostał przy niej - kochający niewolnik w jej sypialni.

- Elizabeth McCade - powiedziała na głos -jesteś kobietą samolubną i zdeprawowaną.

Po tej krótkiej przemowie, która miała przywołać ją do porządku, wstała i zaczęła chodzić po pokoju. Dlaczego po odejściu Czarnego Sokoła cierpiała bardziej niż po stracie Marka Latona? Nie chciała o tym myśleć. Musiała zapomnieć.

Wyłączyła telewizor i poszła na górę z zamiarem kontynuowania notatek w dzienniku, ale pisanie nie pomagało. Tylko jeden człowiek - Sokół - mógł ukoić jej tęsknotę. Ale ukochany nie należał już do niej.

Ubrana w niebieską koszulę, tę samą, którą jeszcze niedawno z niej zdejmował, położyła się do łóżka. Miała wrażenie, że za chwilę umrze z żalu i samotności.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Od chwili gdy Sokół odszedł, letnie dni ciągnęły się bez końca. Elizabeth liczyła godziny, dni i tygodnie.

Było jej bardzo ciężko. Życie stało się nudne i bezsensowne. Wszystko, co dotąd dawało jej poczucie bezpieczeństwa - praca, powroty do domu, unikanie towarzystwa, izolacja od świata - teraz stało się nie do zniesienia.

Była niecierpliwa i pełna dziwnej, nowej energii, która zdawała się mieć źródło w jej sercu. Przeglądała gazety, szukając jakiegoś zajęcia, jakiejś rozrywki, czegokolwiek, co pozwoliłoby jej wyjść na chwilę z domu. Nagle zamarła. Przeczytała, że na rynku w miasteczku odbędzie się spotkanie zatytułowane „Postęp za wszelką cenę”, na którym miał przemawiać Czarny Sokół.

Drżącą ręką odłożyła gazetę. To, co zamierzała zrobić, było szalone, a nawet niebezpieczne. Pójdzie na zebranie - bynajmniej nie z poczucia obowiązku. Nie kierują nią żadne bezinteresowne motywy. Pójdzie tam, żeby zobaczyć się z Sokółem.

Indianin dostrzegł Elizabeth stojącą na uboczu. Była ubrana w prosty kostium, z włosami upiętymi w gładki kok. Nigdy nie pragnął tak bardzo żadnej kobiety. Stał na trybunie, jakby nic się nie stało, spokojnym głosem kontynuując przemówienie, ale wszystkie jego uczucia i myśli uleciały. Wyobraził sobie, że trzyma dziewczynę w ramionach, wyjmując z włosów spinki i ściągając z niej surowy kostium, pod którym na pewno kryje się podniecająca, koronkowa bielizna.

Skończył mówić i dostał burzliwe oklaski. Zszedł z trybuny i skierował się w stronę Elizabeth. Otoczył go tłum; zadawano pytania, gratulowano, a dziennikarze notowali każde słowo. Kątem oka Sokół dostrzegł, że Elizabeth zwleka z odejściem, czekając na niego.

Wiedział, że się nie myli.

Wreszcie mógł do niej podejść. Stała w cieniu pomnika bohaterów ostatniej wojny, w rogu placu.

- Przyszłaś, żeby się ze mną zobaczyć, Elizabeth.
- Tak.
- Popierasz naszą sprawę?
- Zawsze ją popierałam. Nie trzeba mnie przekonywać, choć ty to potrafisz.

Patrzyli na siebie w półmroku. Tłum wokół nich rzedł, za chwilę zostaną sami.

- Nie chcę, żeby ktoś cię tu ze mną zobaczył, Elizabeth. Moi wrogowie są groźni.

Musnął dłonią jej policzek ruchem tak szybkim, że ledwie zauważalnym, pozostawiając jedynie uczucie ciepła.

- Nie dla twojej sprawy tu przyszłam, Sokole, ale dla ciebie.
- Elizabeth... to koniec, rozumiesz?
- Tak. - Walczyła z pragnieniem dotknięcia jego ust. -

Musiałam cię znów zobaczyć, Sokole, żeby się przekonać, że to nie był sen. - Przygryzła mocno dolną wargę. - To było takie nierealne.

- Nie, kochanie. To naprawdę się stało.

Wzrok mężczyzny jeszcze raz zatrzymał się na jej twarzy i Indianin odszedł. Elizabeth została sama, oparta o pomnik. Chociaż widziała Sokoła i rozmawiała z nim tylko przez chwilę, czuła się tak, jakby spędziła długi czas w ramionach kochanka.

Szukała kłopotów i znalazła je. Wystarczyło jedno spojrzenie, a już straciła głowę. Była gotowa zrobić wszystko, iść na koniec świata i podjąć każde ryzyko, żeby tylko być z nim znowu. Na szczęście wiedział, kiedy odejść; Elizabeth była znów bezpieczna. Wracając do domu zastanawiała się,

dłaczego poczucie bezpieczeństwa obecnie stało się takie przykre.

W domu rozebrała się i rozpuściła włosy. Wzięła prysznic i tarła skórę mocno, aż do bólu, jakby chciała zmyć z siebie każdy ślad Sokoła.

Włożyła najbardziej prowokującą bieliznę, jaką znalazła: małe kawałki czarnej koronki i jedwabiu, głęboko wycięty po bokach, z przodu i z tyłu. Zaczęła chodzić po pokoju.

Koło północy wyczerpana nerwowo mocno zasnęła.

Obudziła się z czyjąś dłonią na ustach.

- Nie krzycz.

Sokół! Zobaczyła go w ciemności. Pochylił się nad łóżkiem, ubrany w tę samą skórzaną koszulę i dżinsy, które miał na sobie w czasie wiecu. Rękojeść noża lśniła w mroku.

Elizabeth wyciągnęła ręce do kochanka. Całowali się bez umiaru i bez litości, jakby właśnie wrócił z wojny; tak długo, że dziewczynie zabrakło tchu.

- Nie chciałem tu wracać, Elizabeth.

- Wiem.

- Ale musiałem przyjść po spotkaniu z tobą.

- To dobrze.

Przycisnęła mocno dłoń do jego piersi - czuła szybkie bicie serca.

- Przyszedłem przez tunel, nikt mnie nie widział.

- Teraz już mi wszystko jedno. Niech nawet cały świat się dowie.

- Nie chcę cię narażać, Elizabeth.

- Cii... - zakryła mu usta dłonią. - Nic nie mów. Nie traćmy czasu na słowa.

Szybko zrzucił ubranie i wśliznął się do łóżka. Stary mebel z trudem wytrzymał ich namiętność. Kochali się przez godzinę, dwie i wciąż nie mieli siebie dość.

Kiedy wreszcie nasycili się miłością, Sokół pogładził włosy Elizabeth i pocałował ją w policzek.

- Jesteś moja - szepnął i odszedł.

Następnego ranka, kiedy Elizabeth wchodziła do banku, Gladys spojrzała na zegar.

- A więc cudów ciąg dalszy! Spóźniłeś się dziesięć minut.

- Utknęłam w korku - odpowiedziała Elizabeth, dziwiąc się, jak łatwo przychodzą jej kłamstwa. W rzeczywistości przespała dzwonek budzika. Obudziła się tylko dzięki opatrności i promieniom słońca, wpadającym do pokoju przez szczelinę między zasłonami. Nie zdążyła nawet zjeść śniadania. Musiała się spieszyć.

Jak zwykle przebiegła koło Gladys i zamknęła się w pokoju. Sokół nie mówił, że wróci, ale to nie ma znaczenia. Teraz Elizabeth pójdzie do niego, tak samo jak on, po kryjomu.

Było jeszcze widno, kiedy wyszła z pracy. Dzięki serii dyskretnych i ostrożnych telefonów udało jej się dowiedzieć, gdzie szukać Indianina. Po pożarze domu Sokół mieszkał na razie w myśliwskiej chatce na skraju lasu.

Pojechała krętą zwirową drogą, która prowadziła w głąb terytorium Chickasawów, na farmę Czarnego Sokola. Był to wielki obszar, porządnie ogrodzony płotem i podzielony palikami na pastwiska. Od powrotu do rodzinnego domu Elizabeth nigdy tu się nie zapuszczała. Czuła się teraz jak więzień, który po raz pierwszy od wielu lat znalazł się na wolności.

Jechała powoli, ale tak, żeby nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi. Czarny Sokół nie chciał, by widywano ich razem - ona też.

Rozglądała się pilnie dookoła, a kiedy była już pewna, że nie zabłądzi, wróciła do domu.

O dziesiątej Elizabeth ubrała się starannie i rozpuściła włosy. Wzięła pistolet i zeszła do piwnicy. Czarny Sokół pokazał jej ukryte przejście. Wyciągnęła obluźowaną cegłę, która zasłaniała zamek, otworzyła drzwi i weszła do tunelu. W środku było ciemno i wilgotno. Przez chwilę dziewczyna miała wrażenie, że się dusi.

Odetchnęła głęboko i ruszyła przed siebie. Nic nie mogło jej powstrzymać, zresztą nagroda warta była poświęcenia.

Elizabeth wydawało się, że szła godzinami, zanim dotarła do końca korytarza. Odważnie wydostała się na powierzchnię, strzepnęła ze spódnicy kurz i paprochy i spróbowała zorientować się, gdzie jest.

W ciemności wszystkie drzewa wyglądały jednakowo. Dookoła był las i nie mogła dostrzec żadnej drogi.

- Bez paniki - szepnęła. - Dasz sobie radę.

Spojrzała w górę i określiła kierunek marszu według położenia księżyca. Nigdzie nie było ani śladu Indianina. Prawdę mówiąc, nie spodziewała się, że znajdzie jakiegokolwiek ślady. Sokół nie należał do tych, którzy je zostawiają.

Znalezienie chaty zajęło Elizabeth pół godziny. Kryjąc się w cieniu drzew, szła przed siebie. Była już prawie przy drzwiach, gdy usłyszała znajomy głos dobiegający z tyłu.

- Nie ruszaj się!

Powoli odwróciła się w stronę, z której dochodziły słowa.

- Sokole, to ja, Elizabeth.

Szybki jak wiatr chwycił ją w ramiona i zaniósł do chaty. Zamknął drzwi kopnięciem i postawił dziewczynę na podłodze.

- Niebezpiecznie jest się tu zakradać.

- Jeśli to ma być powitanie, Sokole, to niezbyt mile.

Serce waliło mu mocno. Nie był w nastroju do słownych potyczek.

- Dlaczego tu przyszedłeś?

- Musisz pytać?

- To jest niebezpieczne. Nie powinnaś była.

- Jestem już dorosła, Sokole, i mam broń.

- Jak tu trafiłaś?

- Przez tunel.

Ogarnęła go wściekłość, że Elizabeth ryzykowała życie, żeby tu przyjść. Jak zawsze w chwilach wzruszenia zaczął mówić narzeczem Chickasawów. Przeklinał los, który postawił mu na drodze tę kobietę. Bał się, że może związać go ze sobą na zawsze i odciągnąć od celu, który sobie postawił.

- Bądź tak dobry i wymyślaj mi w moim ojczystym języku.

- Elizabeth, nie przeklinam ciebie, ale los, który rzucił nas sobie w ramiona.

Wzjął ją za rękę.

- Ja też. Nie pragnę tego bardziej niż ty. Nie potrzebuję tego, Sokole... Tego, co nas łączy. To takie straszne i cudowne. Jej spokój i godność robiły wrażenie.

- Nie mogę pozwolić ci wejść w moje życie.

Patrzyli na siebie bez słowa. W końcu Elizabeth przerwała ciszę.

- Co teraz zrobimy? - zapytała.

- Odprowadzę cię do domu. Chcą mnie zabić, Elizabeth. Jeśli cię tu zobaczą... Jeśli dowiedzą się, ile dla mnie znaczysz, mogą zagrozić tobie, żeby mnie dostać. Nie chcę tego.

- Ile dla ciebie znaczę, Sokole?

Zapadło długie milczenie; Elizabeth poczuła mrowienie i coś zaczęło dusić ją w gardle.

- Jesteś moja, Elizabeth. Przyszłaś do mojego łóżka, kochałem się z tobą i teraz należysz do mnie.

W tej chwili rzeczywiście pragnęła być jego. Bardziej niż czegokolwiek na świecie chciała wyrzec się przeszłości, zapomnieć o cierpieniu i należeć do tego dzikiego, namiętnego wojownika. Ale nie mogła uciec od wspomnień, nawet dla Sokoła.

- Nie - powiedziała - nie należę do nikogo.

Wyciągnął do niej rękę, ale się odsunęła.

- Dziś będzie tak, jak ja chcę.

Wzięła go za rękę i poprowadziła do krzesła.

- Usiądź.

Usiadł okrakiem na krześle, a Elizabeth odeszła na bok. Spódnica kołysała się wokół jej bioder. Dziewczyna nie miała na sobie zwykłej, prostej spódnicy, którą nosiła na co dzień. Ta była z delikatnego zamszu i otulała miękko jej biodra. Z boku widniał rząd guzików. Lekką bawełnianą bluzkę zsunęła z ramion, odsłaniając piersi.

Elizabeth odłożyła broń na nocny stolik. Odwróciła się do Sokoła i uniosła do góry włosy. Przesunęła językiem po wargach i zaczęła się kołysać.

Sokół był jak zahipnotyzowany miękkim i płynnym mchem jej bioder. Usłyszała natarczywe, egzotyczne tony i zorientował się, że Elizabeth śpiewa.

Nie rozpoznał melodii, ale była to niewątpliwie pieśń miłosna. Dziewczyna poruszała się w takt melodii, powoli zbliżając się do krzesła. Kiedy była tak blisko, że poczuł zapach perfum, ale wciąż zbyt daleko, żeby mógł jej dotknąć, zatrzymała się nagle.

- Chcesz mnie, Sokole?
- Tak.
- Tak jak nigdy nie pragnąłeś żadnej innej kobiety?
- Tak.
- Jestem dziś twoja... A ty mój.

Ściągnęła bluzkę przez głowę i stanęła przed nim z uniesionymi ramionami. Miała na sobie czarny, koronkowy staniczek, który prawie nie zakrywał jej piersi.

Próbował jej dotknąć, ale odsunęła się delikatnie.

- Cierpliwość będzie nagrodzona, mój drogi.

Wszystkie myśli o polityce, walce i czyhających nań wrogach ulotniły się w chwili, kiedy Czarny Sokół znów mógł upajać się ciałem Elizabeth McCade. Kochał niebezpieczeństwo, a teraz prowadził grę najniebezpieczniejszą ze wszystkich: miał romans z kobietą, która pociągała go tak mocno, że była w stanie związać go z sobą na zawsze.

- Słyszysz muzykę, Sokole?

Nie było żadnej muzyki, ale gdy Elizabeth znów zaczęła się poruszać, niemal usłyszał dobiegające z daleka tajemnicze i egzotyczne dźwięki. Guziki, jeden po drugim, wyslizgiwały się z dziurek, zamszowa spódnica zsuwała się powoli, odsłaniając szczupłą talię. Dziewczyna obróciła się i kołysała, aż obnażyła biodra, osłonięte teraz tylko małym kawałkiem czarnej koronki.

Sokół zacisnął pięści i całą siłą woli powstrzymywał się, żeby nie wstać z krzesła. Ta kobieta była kusicielką i czarodziejką, która rzuciła na niego urok.

Odpięła ostatni guzik i spódnica opadła na podłogę. Sokół

każdym swoim nerwem czuł wzrastające pożądanie. Siedział, przyglądając się dziewczynie zafascynowany.

- Teraz jestem twoja - powiedziała Elizabeth tak cicho, że ledwie usłyszał.

Chwycił ją jednym szybkim ruchem i zaniósł do łóżka. Pochylając się popatrzył w twarz ukochanej.

- Skąd znasz te czary, Elizabeth?
- Od innego mężczyzny.
- Chciałbym mu podziękować... a potem go zabić.
- Ja też kiedyś chciałam to zrobić.

Zapragnął dowiedzieć się wszystkiego: kto nauczył ją miłości, kiedy i gdzie, a także dlaczego myślała o zabiciu tego mężczyzny. Ogarnęło go jednak tak silne pożądanie, że nie mógł już dłużej opanować się ani powstrzymywać.

- Elizabeth, mam cię we krwi. Jestem tobą pijany.

Wstał i rzucił ubranie. Chwycił jej staniczek obiema dłońmi i rozdarł z głośnym trzaskiem. Spragniony i zdesperowany ściągnął z niej resztę bielizny.

- Jesteś moją kobietą.

Wszedł w nią, stając się niemal częścią jej ciała.

Kochali się jak szaleńcy. Zacięta walka trwała prawie całą noc. Wyczerpani wreszcie, leżeli wciąż spleceni uściskiem.

- Nie przyszedłbym już do ciebie, Elizabeth.
- Wiedziałam i dlatego sama do ciebie przyszłam.
- Nie chcę, żebyś przychodziła. To zbyt niebezpieczne.

Uniosła się na łokciu i spojrzała mu w twarz.

- Jeśli udało mi się zawładnąć mężczyzną, nigdy już mu się nie podporządkuję, Sokole. Jestem panią samej siebie i robię to, co sprawia mi przyjemność.

- Sprawia ci przyjemność samotne życie w domu na odludziu?

Popatrzyła na niego ze złością.

- Jeśli myślisz, że uda ci się wyprowadzić mnie z równowagi, mylisz się.

Wstała i odszukała swoje rzeczy porzucane na podłodze. Przypomniawszy sobie, że bielizna jest podarta, odło-

żyła ją na bok i ubrała się powoli. Obserwował dziewczynę, leżącą w łóżku. Dobrze wiedziała, że nie jest rozluźniony. Całe jego ciało, od zaciśniętych szczęk do napiętych mięśni, pokazywało, że Sokół, jak przystało na prawdziwego wojownika, wciąż gotów jest do walki.

Spojrzała na niego, opierając dłonie na biodrach.

- Już raz zostałam porzucona, Sokole. To się nigdy nie powtórzy. Dostanę, czego chcę i kiedy chcę, a potem odejdę.
- Przycisnęła prawą dłoń do serca. - To ja odejdę, Sokole. Nie ty ani żaden inny mężczyzna. Ja, Elizabeth McCade, opuszczę cię, kiedy nadejdzie czas.

Ich spojrzenia zderzyły się jak w śmiertelnej walce. Czarny Sokół wstał z łóżka, wspaniały w swej nagości.

Elizabeth patrzyła, jak się ubierał, przyglądając się z przyjemnością jego ciału i płynnym ruchom.

Bez słowa wyciągnął dłoń, a dziewczyna podeszła do niego. Wziął ją na ręce i wyniósł przed dom. Zagwizdał dwa razy. Z ciemności wybiegł ogier tak czarny, że niemal niewidoczny, Sokół zaś wskoczył mu na grzbiet, unosząc z sobą ukochaną.

Cicho i szybko jechali przez gęsty las, a wiatr rozwiewał im włosy. Słyszeli śpiew ptaków. Kiedy dotarli do ukrytego tunelu, Sokół zeskoczył z konia i pomógł zejść Elizabeth.

- Słodkich snów - powiedział na pożegnanie i odjechał.

Przez następne dni oboje z desperackim wysiłkiem próbowali o sobie zapomnieć. Było to jednak niemożliwe - wciąż trawił ich ten sam ogień namiętności.

Którejś ciemnej bezksiężycowej nocy Sokół opuścił posterunek na szczycie urwiska, z którego widać było miasteczko w dolinie, i skierował konia ku tajemnemu przejściu. Odesłał ogiera do domu i zszedł do tunelu.

Biegł przed siebie, trawiony pożądaniem, rozpalony pragnieniem, którego nie mógł już stłumić. Nagle usłyszał szmer. Przywarł do ściany i wyciągnął nóż zza pasa. Wyteżył wzrok i zobaczył zdążającą w jego kierunku ciemną po-

stać. Kiedy się zbliżyła, poznał, że to kobieta. Miała długie, rozpuszczone włosy i zmysłowo poruszała biodrami.

„Elizabeth!” - wykrzyknął w myślach jej imię. Szła do niego. Mimo wcześniejszych ostrzeżeń znowu szła do chaty.

- Elizabeth - odezwał się, zanim jeszcze zastąpił jej drogę, spostrzegłszy błysk śmiertcionośnego magnum. Podbiegła do kochanka, a Sokół zanurzył twarz we włosach dziewczyny.

- Jesteś najbardziej upartą kobietą, jaką znam.

Wyjął z jej drżącej dłoni pistolet i położył na kamieniu wystającym ze ściany.

- Sokole, Sokole - powtarzała, głaszcząc jego twarz i włosy. - Staralam się powstrzymać.

- Ja też.

Patrzyli na siebie w ciemności, próbując odgadnąć wyraz swych twarzy. Ich napiętość wybuchła tak nagle jak letnia burza w górach i zaczęli się kochać. Odgłosy miłości rozbrzmiewały echem w ciemnym, wilgotnym tunelu.

To gwałtowne połączenie pozostawiło ich na chwilę bez tchu. Sokół delikatnie dotknął twarzy dziewczyny.

- Nie przychodź już więcej, Elizabeth. Powróć do ciebie.

Odszedł, zanim zdążyła odpowiedzieć.

- Bądź ostrożny, Sokole - wyszeptała, ale nie odwróciła się już.

Minęło sześć nocy, zanim znów przyszedł. Każdej z nich Elizabeth czekała niecierpliwie, nerwowo chodząc po pokoju i załamując ręce. Śledziła informacje o kochanku w prasie, radiu i telewizji.

Tymczasem na barykadzie rozległy się strzały. Nikt nie był ranny, ale reporterzy powiedzieli, że jeśli wkrótce nie dojdzie do porozumienia, może poleć się krew.

I będzie to krew Sokoła - Elizabeth dobrze o tym wiedziała, ponieważ to on stał na pierwszej linii - zawsze nieustraszony, zawsze przywódca. Czarny Sokół miał stać się celem ataku tamtych.

Szóstej nocy była już tak wyczerpana troską i oczekiwa-

niem, że zasnęła w fotelu, przy zapalanej lampie i włączonym telewizorze.

Obudziła się, siedząc na kolanach ukochanego.

- Jak to zrobiłeś?
- Jak zwykle spałeś jak zabita, Elizabeth.
- Dawno przyszedłeś?
- Jakaś godzinę temu.
- Zmarnowałeś godzinę, pozwalając mi spać?
- Nie zmarnowałem, kochanie.

Roześmiał się, a Elizabeth miała wrażenie, że słyszy najpiękniejszy głos na świecie.

Wiedziała już, mimo wszystkich postanowień, mimo doświadczeń przeszłości, mimo składanych sobie samej przyrzeczeń - znów jest zakochana.

Powstrzymywała łzy, nie chcąc, żeby je zobaczył. Sokół nie był typem przykładowego małżonka. Zresztą nie miała pewności, czy chciałaby, żeby nim został. Kiedyś zaufała mężczyźnie i nie wiedziała, czy zdoła zaufać raz jeszcze. Nawet jeśli teraz był to szlachetny Indianin imieniem Czarny Sokół.

Nie dostrzegł łez ani bólu w jej głosie. Był zbyt zaślepiony namiętnością, która ogarnęła go tak szybko, jak płomień ogarniają las w czasie suszy. Zgasił światło i niecierpliwie cisnął na bok przeszkadzające im ubrania, a potem kochali się na fotelu.

Długo trzymał dziewczynę na kolanach, tuląc jej głowę do piersi. Słyszała spokojne, wolne bicie serca. W końcu pocałował ją jeszcze raz na pożegnanie i wyszedł.

Elizabeth siedziała, wpatrując się w ciemność. Myślała o tym, jak zdoła jeszcze raz przeżyć nie odwzajemnioną miłość.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Następnego ranka Elizabeth obudziła się zmęczona i rozkojarzona. Na szczęście była to sobota, nie musiała więc iść do pracy.

Leżała w łóżku i próbowała sobie wmówić, że wcale nie jest zakochana w Czarnym Sokole. Bezskutecznie przekonywała się, że to tylko pragnienie zmysłów. Była jednak dość inteligentna i wrażliwa, żeby dostrzec różnicę.

Po raz pierwszy od powrotu do domu poczuła potrzebę zwierzeń i czyjejś przyjacielskiej bliskości. Ale jedynym jej przyjacielem był Sokół, a przecież nie mogła powiedzieć: Sokole, kocham cię. Dał jej wyraźnie do zrozumienia, że nie wchodzi w grę żaden trwały związek - łączył ich tylko seks.

- Zdaje się, że znów przegrałam - powiedziała do kota, który przyszedł w nocy, a teraz siedział w swoim koszyku pod oknem i lizał łapki. Niefrasobliwie poruszył ogonem.

Elizabeth wstała i podeszła do toaletki. Wzrok jej padł na dziennik. Sięgnęła po niego, ale cofnęła rękę: Nie była już tamtą kobietą, która szukała pociechy w pisaniu. Możliwe, że Sokół jej nie kocha i być może nigdy nie pokocha tak bardzo, żeby się z nią związać. Ale nauczył ją jednej rzeczy: doceniać walkę o lepsze życie.

Zeszła na dół i przygotowała śniadanie, po którym poczuła się lepiej. Wyjęła ze skrzynki na listy poranną gazetę i odszukała wiadomości o barykadzie. Indianie wciąż stawiali opór. Po strzałach, które padły w poprzednim tygodniu, do zwolenników budowy przyłączył się policjant. W małym

dodatku do artykułu pisano o grupie indiańskich kobiet, które w szkole drukowały odezwy informujące ludzi z miasteczka o celu walki.

Elizabeth odłożyła gazetę. Przyznawała słuszość protestującym. Była głęboko przekonana, że trzeba chronić przed zniszczeniem las w dolinie Tombigbee i uznawała prawo Chickasawów do ziemi nadanej im na mocy traktatu zawartego w początkach ubiegłego wieku.

Nagle podjęła decyzję. Zostawiając nie umyte naczynia, wybiegła z kuchni, chwyciła torebkę i wsiadła do samochodu. Pojechała w kierunku indiańskiej szkoły, ale tym razem nie w poszukiwaniu Sokoła, lecz nowego sensu życia. Była już zmęczona ukrywaniem się w domu i własnym poczuciem bezpieczeństwa; postanowiła włączyć się znów do życia.

Mała szkoła stała wśród dębów i włoskich orzechów. Przed budynkiem z napisem „Administracja” znajdowało się kilka samochodów. Elizabeth zaparkowała i odważnie weszła do środka. Siedem pochylonych nad stołem kobiet omawiało ostatnią akcję informowania ludzi o wydarzeniach. Miękkie, melodyjne głosy mieszały się z sobą. Wydawało się, że mówiące nie zauważyły wejścia Elizabeth, żadna nie podniosła nawet głowy.

- Czegoś tu brak - odezwała się jedna z nich, wysoka i szczupła. - W tej odezwie nie ma ognia i zaangażowania.

- Poprośmy Czarnego Sokoła, on potrafi mówić z przekonaniem - zaproponowała młoda dziewczyna, na oko piętnastoletnia, z dwoma czarnymi warkoczami, które opadały jej na plecy.

- Nie. On i tak jest bardzo zajęty. A poza tym chyba ma ostatnio jakieś kłopoty. Czasem wydaje mi się...

Pozostałe Indianki odwróciły się w stronę Elizabeth i siedem par oczu spojrzało pytająco. Zapadła kłopotliwa cisza. Dziewczyna podeszła bliżej i uśmiechnęła się do nich.

- Dzień dobry, jestem Elizabeth McCade.

Kobiety nie poruszyły się i nie odpowiedziały. Na ich twa-

rzach malowała się nieufność. Nie onieśmieliło to jednak Elizabeth.

- Przyszłam, żeby wam pomóc - powiedziała, wyciągając rękę w przyjaznym geście.

Szczupła kobieta, bez wątpienia przewodząca grupie, podeszła i podała Elizabeth rękę.

- Jestem Susan Mincohouma. -Przytrzymała dłoń Elizabeth, uważnie patrząc jej w twarz. - Pochodzę z rodu wodza, który umiał doceniać przyjaciół spoza plemienia. Jeśli mówi pani szczerze, to witamy. - Uwolniła dłoń Elizabeth i odsunęła się, a twarz jej przybrała surowy wyraz. - Ale jeśli jest pani szpiegiem przyslanym przez tych, którzy chcą odebrać nam ziemię, przeklniemy panią.

Nie jestem szpiegiem.

- Czy może pani to udowodnić? - zapytała Susan.

Pozostałe kobiety milczały.

- Nie jest pani jedną z nas. Nigdy nie widziałam pani na wiecach ani o pani nie słyszałam. Jest pani obca.

Elizabeth odetchnęła głęboko. Był tylko jeden sposób, żeby przekonać tę kobietę.

- Czarny Sokół mnie zna.

Wszystkie kobiety wstrzymały oddech.

- Jestem znajomą Czarnego i on mi ufa.

Elizabeth zamilkła i czekała, dając im czas na podjęcie decyzji. Kobiety poszeptały między sobą przez chwilę, a potem Susan podeszła i znów podała jej rękę.

- Jeśli Czarny Sokół pani ufa, my też zaufamy. Cieszymy się, że pani przyszła. Bardzo potrzebujemy pomocy.

- Proszę tylko powiedzieć, co mogłabym robić, Susan.

- Co pani potrafi?

- Ukończyłam filologię angielską. Umieć dość dobrze pisać i trochę znam się na drukowaniu. Mam samochód i dużo wolnego czasu. Nigdy nie przemawiałam publicznie, ale mogę się nauczyć.

Susan wręczyła Elizabeth tekst odezwy, nad którą właśnie pracowały.

- Niech pani to przeczyta, Elizabeth. Brzmi chyba trochę nijako. Może uda się pani wydobyć z tego więcej ognia.

Elizabeth pomyślała o Sokole i uśmiechnęła się lekko.

- Rozpalanie ognia to moja specjalność.

Wzięła odezwę i zabrała się do pracy.

Czarny Sokół rozgniewał się, ale był również przerażony. Zirykowało go to, że Elizabeth z rozmysłem naraziła się na niebezpieczeństwo. Bał się, że może spotkać ją coś złego. Wyszedł z chaty i postać chwilę na podwórzu, aby się upewnić, że nikt go nie śledzi. Poza szumem wiatru w koronach sosen nic jednak nie było słyhać.

Ruszył pieszo przez las. Wiedział, że marsz zajmie mu więcej czasu, ale idąc nie był tak widoczny jak na koniu. Szedł szybko, klucząc między drzewami. Zanim wszedł do tunelu, rozejrzał się jeszcze raz, czy nikogo nie ma w pobliżu.

Stracił nogą obluzowany kamień, który z głośnym stukiem spadł w dół. Zaklął cicho w ojczystym języku. Nie chciał zdradzić swojej obecności nawet najmniejszym szelestem.

Znalazł Elizabeth w sypialni - szczotkowała właśnie włosy.

Przez chwilę przyglądał się jej z ukrycia. Była dumna i silna. Odważna, zdecydowana i pełna ognia kobieta, która nigdy nie może się znudzić, zawsze gotowa zachwycać i zaskakiwać mężczyznę. Kiedy tak stał, oparty o ścianę w holu, poczuł ukłucie w sercu.

Musiał pozwolić jej odejść. Dla dobra ich obojga musiał położyć kres temu związkowi.

Podszedł do Elizabeth i przyciągnął ukochaną mocno do siebie. W pierwszej chwili zeszytniała, gotowa do walki. Kiedy zorientowała się kto to, jej ciało rozluźniło się i oparła mu głowę na piersi. Poczuł nagle pożądanie. Potrzebował tej kobiety; pragnął jej namiętności, szaleństwa, jej upajającej magii. Chciał się w niej zatracić i nigdy już nie wracać do rzeczywistości i złego, bezmyślnego świata.

Wiedział jednak, że to samolubne uczucia. Teraz musiał przekonać ukochaną, by trzymała się z dala od niego.

Odwrócił ją w ramionach i zwrócił jej twarz ku sobie. - Ilekroć cię dotykam, ogarnia mnie pożądanie.

- Nie odmawiam ci przecież - odrzekła z uśmiechem.

Uważnie spojrział w oczy dziewczynie. Był jej bardzo spragniony, ale przecież musiał być silny.

- Elizabeth, dlaczego przyjechałaś dziś do szkoły?

- Skąd o tym wiesz?

- Susan Mincohouma mi powiedziała.

- Dlaczego?! - wybuchnęła. - Czy mówi ci o wszystkim, czy tylko o mnie?

- W tej walce nie ma miejsca na tajemnice, Elizabeth.

Wszyscy moi ludzie informują mnie o tym, co robią. Wiem o wszystkim, co się dzieje na ziemi Chickasawów.

- To nie ma nic wspólnego z tobą, Sokole - powiedziała miękko i wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać go po policzku. - Nie pojechałam tam, żeby się z tobą widzieć ani żeby być blisko ciebie. - Znów się uśmiechnęła. - Jeśli chcę być z tobą, mam inne sposoby.

Przysunęła się bliżej, dając mu do zrozumienia, jakie sposoby ma na myśli. Sokół walczył z pokusą.

- Elizabeth - powiedział, wbijając jej palce w ramiona - musisz trzymać się z daleka ode mnie. Nie chcę, żebyś mieszała się w moje sprawy.

- Dlaczego? Jeśli ty się nimi zajmujesz, dlaczego nie mogę, i ja?

- W tym tygodniu zaczęły dziać się niedobre rzeczy.

- Co się stało?

- Dwaj z moich braci znaleźli w swoich zagrodach zabite krowy. Gdybym nie strzegł moich, zabito by je także. A wczoraj siostrze ledwo udało się uskoczyć spod kół jakiegoś samochodu.

- Nie boję się. Dałeś mi odwagę, Sokole. Odwagę, aby opuścić dom na odludziu i rozpocząć życie na nowo.

- Wiem, że jesteś odważna, Elizabeth, ale musisz znaleźć sobie inne zajęcie. Zrozum, jestem wciąż na muszce. Akty przemocy nie były przypadkiem, skierowano je przeciw mo-

jej rodzinie i moim bliskim. Nie chcę, żebyś narażała się na niebezpieczeństwo.

- To mój wybór. Tak samo jak ty wierzę, że trzeba szanować to, co odziedziczyliśmy, i chronić przyrodę wokół nas. Postanowiłam coś zrobić w tej sprawie.

Podniosła głowę, podkreślając tym gestem swój upór, i spojrzała na mężczyznę.

Sokół wiedział, że powiedziała to, co myśli. Był pewien, że Elizabeth zrobi, co zechce, i nie uda się jej przekonać. Była uparta i dzielna. Istniała tylko jedna możliwość, żeby ją powstrzymać.

- Nic z tego nie będzie, Elizabeth.

Wypuścił ją z objęć i odsunął się; jego głos stał się teraz twardy i zimny.

- Z czego nic nie będzie?

- Z tego, co chciałaś teraz zrobić.

Syknęła gniewnie, a jej policzki zabarwił ciemny rumieniec. Sokół miał ochotę objąć i tulić ukochaną, ale zapanaował nad sobą.

- To koniec, Elizabeth. Wszystko między nami skończone.

- Tu nie chodzi o seks, Sokole. Chodzi o godność, obowiązki i odwagę.

Z trudem oparł się pokusie dotknięcia dziewczyny; nie wolno mu było jednak pozwolić sobie teraz na brak zdecydowania - od tego mogło zależeć jej życie.

- To tylko seks, Elizabeth, sam seks. Pamiętasz, jak spotkaliśmy się wtedy, po wiecu?

Zacisnęła pięści i patrzyła na niego.

- Jesteśmy do siebie podobni, Elizabeth. Znam cię tak samo dobrze jak ty mnie. To namiętność nami kieruje.

- Mów za siebie, Sokole. Ja panuję nad sobą.

- Naprawdę?

Porwał dziewczynę w ramiona i zamknął jej usta pocałunkiem. Ciało Elizabeth było napięte, jak gdyby miało wybuchnąć. Sokół całował ją długo, doprowadzając wciąż bliżej i bliżej chwili, gdy nie będzie już odwrotu. Dotarł niemal do krawędzi i dopiero wtedy wypuścił z objęć ukochaną.

-Naprawdę, Elizabeth? - zapytał, celowo nadając głosowi kpiące brzmienie.

-Niech cię diabli, Sokole.

Tego właśnie chciał, jej gniewu. Udało mu się osiągnąć to, co zaplanował. Nie uważał się jednak za zwycięzcę. Czuł się raczej jak wąż, który pełza brzuchem po ziemi.

- Trzymaj się z daleka, Elizabeth. Z dala od mojego życia i łóżka.

Miał już odejść, kiedy usłyszał, jak dziewczyna woła go po imieniu.

- Sokole!

Odwrócił się i zobaczył, że stoi niemal naga, ubrana tylko w koronkowy staniczek, pas i pończochy. Na nogach wciąż miała pantofle na wysokich obcasach. Zacisnął zęby, próbując oprzeć się gwałtownej żądzy.

- Myślisz, że pozwolę się znów opuścić?- Zbliżyła się do niego powoli, oświetlona tylko blaskiem lampki przy łóżku i miękkim połyskiem bielizny. - Myślisz, że pozwolę jeszcze jednemu mężczyźnie odwrócić się ode mnie i odejść?

- Elizabeth - powiedział łamiącym się głosem.

Leniwym ruchem uniosła do góry włosy i przesypała wolno między palcami, aż opadły na ramiona i, podobne do czarnej chmury, zasłoniły piersi.

- Sokole...

Jego postanowienie słabło. Jednym skokiem znalazł się przy ukochanej i po chwili trzymał ją w ramionach. W ich połączeniu był gniew i desperacja, cierpienie i głęboka tęsknota, a także coś pięknego i niezniszczalnego - miłość.

Elizabeth czuła to, gdy nadeszła pora rozstania. Wielkie łzy płynęły jej po policzkach, ale nie zapłakała. Zebrała wszystkie siły, żeby pożegnać ukochanego. Tym razem to ona, Elizabeth McCade, mówiła: żegnaj, to ona odchodziła.

Kiedy nasycili się miłością, Sokół w milczeniu długo trzymał ukochaną w ramionach. Wreszcie odszedł tym samym tajnym przejściem, które go tu przywiodło.

Elizabeth oparła się mocno o drzwi, dotykając czołem futryny. Nie próbowała nawet ocierać łez.

W tunelu Sokół stał z opuszczoną głową. Pożegnanie z Elizabeth było jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakich kiedykolwiek udało mu się dokonać. Po raz pierwszy w życiu postąpił przeciw sobie. Był wprawdzie wojownikiem i musiał walczyć o wszystko to, co wymagało walki. Ale w zwycięstwach czaiła się teraz jakaś pustka - bez Elizabeth całe jego życie było straszliwie samotne.

W końcu zdecydował się na powrót do domu. Nie zwyciężył jeszcze. Wciąż miał wiele do zrobienia.

Po jego odejściu Elizabeth próbowała pokonać głęboką depresję. Nieszczęśliwa miłość do Marka Latona odmieniła kiedyś jej życie. Ale związek z Sokolem nie był przecież nieszczęśliwy - i właśnie się zakończył. Dziewczyna postanowiła, że tym razem nie będzie unikać ludzi, uciekać ani kryć się przed życiem. Teraz chciała czuć się szczęśliwa. Miała zamiar stawić czoło wydarzeniom. Nie może poddać się woli Sokola lub jakiegokolwiek mężczyzny. Postanowiła, że odtąd sama będzie decydować o swoim życiu, a jeśli wybierze niebezpieczeństwo, będzie to wyłącznie jej sprawa, a nie jego.

W poniedziałek zaprosiła Gladys na lunch. Poszły do małego baru w pobliżu banku.

- Dziękuję, że przyszedłś, Gladys.
- Czemu miałabym nie przyjść?
- Widzisz, przez ostatnich siedem lat żyłam samotnie.

Nie możesz chyba powiedzieć, że byłam bardzo przyjacielska - Elizabeth uśmiechnęła się.

- Nie, tego nie mogę powiedzieć. Ale jesteś z pewnością bardzo tajemniczą kobietą, jedną z najbardziej intrygujących osób, jakie znam. - Gladys pochyliła się do przodu, opierając łokcie na stoliku. - Nie masz nawet pojęcia, ile się mówi o tobie w banku... i ile dziewczyn z pierwszego piętra oddałoby pół życia, żeby wiedzieć, o czym teraz rozmawiamy.

- Kiedy wrócimy, Gladys, możesz potwierdzić wszystkie, nawet najbardziej fantastyczne plotki.

- Mówią, że w Connecticut prowadziłaś bardzo tajemnicze życie, a i tu, w Tombigbee, masz jakiś sekret.
- Tak. Co drugi czwartek zamieniam się w czarownicę, a w weekendy staję się wampirem - powiedziała Elizabeth z kamiennym wyrazem twarzy.
- Jesteś niesamowita, Elizabeth! - Gladys śmiała się do łez.
- Dajmy spokój żartom. Naprawdę działałam w indiańskim ruchu samoobrony.
- Dobry Boże! Czy to nie jest niebezpieczne?
- Nie sądzę. A poza tym są sprawy na tyle istotne, że warto dla nich ryzykować. Myślę, że to właśnie jedna z takich rzeczy.
- Aten ich przywódca.... Wielki Sokół....
- Czarny Sokół.
- Rany! To jest facet! Sama bym się do nich przyłączyła, gdyby spojrzął na mnie ze dwa razy.
- Elizabeth ścisnęła pod stołem dłoń. Czarny Sokół nie należał już do jej życia i musiała o tym pamiętać.
- Jeśli rzeczywiście chciałabyś pomóc, możesz wybrać się tam ze mną dziś wieczorem.
- Niestety, dziś nie mogę, mam randkę. Ale może następnym razem? Naprawdę chciałabym pomóc. Nie jestem taka postrzelona, na jaką czasem wyglądam.
- Zrobione. - Elizabeth wzięła rachunek i zwróciła się znów do Gladys. - Zauważyłam, że od czasu do czasu robisz na drutach. Nauczysz mnie?
- O, to nic trudnego, z chęcią cię nauczę. Ale właściwie po co ci to?
- Pewnie myślisz, że jeśli prowadzę tak podniecające i tajemnicze życie, brak mi wolnego czasu? - roześmiała się Elizabeth.
- No właśnie.
- Potrzebne mi jest jakieś... hobby. Coś nowego.
- „Cokolwiek - myślała. - Cokolwiek, co wypełniłoby straszne godziny samotności, teraz, kiedy Sokół odszedł.”

Tej nocy, siedząc w szkole przy staroświeckiej maszynie drukarskiej, Elizabeth usłyszała odgłos końskich kopyt. Poczuli, jak gdyby prąd elektryczny przeszył jej ciało. Czarny Sokół! Przycisnęła dłoń do bijącego mocno serca i starała się opanować. Przecież jeśli nawet ktoś przyjechał na koniu, wcale nie musiał to być właśnie on. Wielu mężczyzn w okolicy jeździło konno. Drzwi otworzyły się z głośnym trzaskiem i Elizabeth zerknęła w tamtą stronę. To był Czarny Sokół! Stał w drzwiach, wyglądał gniewnie i ponuro jak burzowa chmura. Podszedł do dziewczyny bez słowa.

Miała nadzieję, że nie zauważył, jak bardzo była poruszona. Musiała być teraz silna, żeby przeciwstawić się uczuciu.

- Cześć! - uśmiechnęła się pogodnie. - Nie za późno na konne przejażdżki?

- Powiedziałem ci, żebyś tu nie przychodziła.

- Jak widzisz, nie słucham poleceń.

Omiótł spojrzeniem cały pokój.

- Gdzie inne kobiety?

- Poszły do domu, późno już.

- Zostałaś tu sama?! - zapytał podniesionym głosem.

- Przecież widzisz.

Złapał ją mocno za ramiona i przyciągnął do siebie. Widziała, jak gwałtownie zaciska zęby z wściekłości.

- Elizabeth, i co ja mam z tobą zrobić?

Uniosła głowę i rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

- Zdaje się, że wszystko już zrobiliśmy, nieprawdaż?

Trzymał ją przez chwilę, a potem nagle wypuścił z objęć.

Nadal był poważny, ale w oczach zabłyśły mu isierki humoru.

- Wolałem, jak siedziałaś zamknięta w domu, za zasłoniętymi oknami. Przynajmniej byłaś bezpieczna, - Wolnym krokiem podszedł do maszyny i obrzucił dziewczynę gniewnym spojrzeniem.

- To dlatego, Sokole, że lubisz nad wszystkimi panować. Zawsze chcesz być dowódcą.

Podeszła do niego, podniosła wzrok i oparła dłonie na biodrach.

- Nie pozwolę, abys mną rządził. Nie wygrasz ze mną tak łatwo.

- Nie chcę z tobą walczyć, Elizabeth.

- Właśnie że chcesz. Zacząłeś tego dnia, kiedy przyszedłeś do mojej piwnicy i postawiłeś mi ultimatum.

Patrzyli na siebie w napięciu. Policzki Elizabeth zarumieniły się, a Sokół oddychał ciężko. Nagle przyciągnął ją do siebie.

- Chciałbym, żeby wszyscy moi wrogowie mieli tyle seksu co ty, Elizabeth... i byli tacy ulegli.

Jego oczy stały się czarne jak noc, kiedy pochylił się i pocałował dziewczynę mocno w usta. Próbowwała bronić się przed ogarniającymi ją uczuciami pożądania i miłości, ale było to tak samo niemożliwe, jak wyrzec się własnego imienia. Z cichym westchnieniem poddała się chwili.

Pocałunek stał się teraz czuły i tak zniewalający, że oboje niemal osunęli się na podłogę. Indianin przesunął dłońmi w górę jej ud, aż dotknął brzegu pończoch i zanurzył palce w miękkim ciele.

- Nie, Sokole. - Elizabeth odepchnęła go z całej siły. - Nie chcę, byś rządził mną poprzez seks. Raz mi się to zdarzyło i nigdy się nie powtórzy. - Ręce jej drżały, kiedy dotknęła ust.

Sokół odsunął się, a z jego twarzy i całego ciała biło napięcie.

- Przepraszam, Elizabeth. Nie miałem zamiaru tobą rządzić. - Nogą przyciągnął krzesło i usiadł na nim okrakiem.

- Nie zrezygnujesz, prawda?

- Nie. - Podeszła z powrotem do maszyny i zaczęła ładować papier. - Co teraz będzie, Sokole?

- W końcu zwyciężymy.

Elizabeth uśmiechnęła się blado.

- Mimo wszystko.

- Burmistrz i rada miejska mają za sobą prasę i używają jej dla poparcia projektu budowy. Kiedy w grę wchodzi miejsca pracy albo podatki, ludzie zaczynają się interesować. W tym przypadku wszyscy starają się odsunąć na drugi

plan kwestię zasadniczą: teren, na którym tamci zamierzają budować, nie należy do miasta i jest własnością Chickasawów.

- A władze miejskie wciąż nie chcą rozmawiać z tobą na ten temat?

- Nie. Liczą na to, że z czasem większość mieszkańców poprze budowę, a my się wycofamy.

Zapadło milczenie i słychać było tylko stukot maszyny, na której Elizabeth drukowała ulotki. Nagle wyłączyła kopiarke i odwróciła się do Sokola.

- Wiem, jak ich zmusić, żeby cię wysłuchali - powiedziała.

- Jak?

- Weź mnie jako zakładniczkę.

- Co takiego? - Sokół zerwał się z krzesła.

- Gdybyś miał zakładnika, mógłbyś zmusić burmistrza i radę miejską do negocjacji.

- I myślisz, że mógłbym posłużyć się tobą, żeby wygrać naszą walkę?

- Nie w sensie dosłownym, rzecz jasna. Nie byłabym przecież naprawdę zakładniczką. Ale oni nie muszą o tym wiedzieć. - Uśmiechnęła się, zachwycona swoim planem. - To doskonały pomysł. Nie wiem, dlaczego wcześniej nie przyszedł mi do głowy.

- Nie!

- Nie musisz tak krzyżeć.

- Nie będę chował się pod spódnicą.

- Nie mówię o tobie, Sokole. Próbuję cię tylko przekonać, że mógłbyś skorzystać z mojej pomocy dla dobra wszystkich Chickasawów.

- To byłoby tchórzostwo, a wojownik nie może być tchórzem.

- Jesteś najbardziej upartym człowiekiem, jakiego znam.

- A ty najbardziej niemożliwą dziewczyną.

Stali blisko, naprzeciw siebie. Elizabeth uniosła głowę, a Sokół pochylił się tak, że ich twarze niemal się stykały.

- Nie wiem, dlaczego cię ko... - umilkła w pół słowa.

- Co mówisz?

- Powiedziałałam właśnie - odetchnęła głęboko - że nie wiem, dlaczego zawracam sobie tobą głowę.

Wpatrywał się uważnie w dziewczynę. Czuł bijący od niej żar, pozostał jednak niewzruszony. Elizabeth umiała kochać i przegrywać, to on ją tego nauczył.

Uśmiechnął się w końcu.

- Zawracasz sobie mną głowę, ponieważ jesteś Elizabeth McCade. - Podeszedł do stołu i wziął jej torebkę. Otworzył ją i wyjął pistolet. - I ponieważ masz broń.

- Tak, mam. Pamiętaj, Sokole, że potrafię dać sobie radę. Włączyła maszynę i spojrzała na niego przez ramię.

- Już czas, żebyś poszedł.

- Zostaję.

- To nie jest konieczne.

- Elizabeth, jeśli już upierasz się przy tej niebezpiecznej pracy, zrobię wszystko, co będę mógł, żeby cię ochronić. Boję się tylko, że mogę być zajęty przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Elizabeth milczała przez chwilę, myśląc o tym, o czym wiedziała, że nie będzie jej dane: mieć Sokoła w swoim łóżku i w życiu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Przyjrzała mu się uważnie: wspaniały, szlachetny i zmęczony, bardzo zmęczony. Wiedziała, że spędził wiele godzin na barykadzie, osobiście czuwając nad wszystkim. Musiał być zupełnie wyczerpany, psychicznie i fizycznie. Poza tym przemawiał i udzielał wywiadów. Próbował też namówić władze miejskie do negocjacji. Musiał także zajmować się swoją farmą.

Elizabeth wyłączyła maszynę. Chciała mu pomóc, a nie przysparzać kłopotów. Wzięła torebkę.

- Jestem ci wdzięczna, że dbasz o moje bezpieczeństwo. Dziękuję, że przyszedłeś, Sokole.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Elizabeth.

Księżyc był w pełni i świecił jasno, oświetlając samochód i czarnego konia, który cierpliwie oczekiwał swojego pana. Elizabeth poszła w stronę samochodu, ale zawróciła. Podeszła do Sokoła i pogłaskała go po policzku.

- Uważaj na siebie - wyszeptła.

Przykrył jej dłoń swoją i mocno przycisnął.

- Elizabeth... Elizabeth... - powiedział głosem pełnym bólu, który łamał jej serce.

- Pocałuj mnie, Sokole. Ostatni raz. A potem odjedź jak najszybciej.

Nachylił się i pocałował usta dziewczyny. Przywarła do niego, walcząc ze łzami, które same napływały do oczu. Nie chciała, żeby zobaczył, jak płacze - ani teraz, ani kiedykolwiek.

Jak zawsze pograżyli się w pocałunku bez reszty, nie dbając o to, co działo się wokół. Nie zauważyli człowieka, który obserwował ich zaczajony w pobliskim lesie.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Był to ogromnie wyczerpujący tydzień dla Elizabeth. Codziennie po wyjściu z biura wykonywała różne inne prace. Rozdawała ludziom w miasteczku ulotki. Odkryła też, że potrafi przemawiać. Poprzedniego wieczoru poproszono ją, żeby opowiedziała w Klubie Rotariańskim o swym udziale w ruchu protestujących Indian.

Nic dziwnego więc, że w sobotę rano czuła się słaba i było jej niedobrze. Ubrała się, ale myśl o jedzeniu przyprawiała ją o mdłości. Wzięła robótkę i z trudem powlokła się na dół. Dla towarzystwa włączyła telewizor, usiadła na najwygodniejszym fotelu w saloniku i rozpoczęła żmudne dzieło dziergania i prucia.

Nie znosiła tej pracy. Gladys cierpliwie uczyła ją ściegów, ale Elizabeth poważnie wątpiła, czy kiedykolwiek zdoła zrobić cokolwiek poza długim rzędem oczek, przypominającym powykrzywianego węża.

- Jeśli ta płatanina kiedykolwiek stanie się szalem, będzie to prawdziwy cud - mruknęła do siebie.

Myślała, żeby spróbować czegoś innego, na przykład malowania. Nie miała zdolności plastycznych, ale wydawało się jej, że mazanie pędzlem po zagruntowanym na biało płótnie może uspokoić nerwy. Użyłaby wyłącznie czarnej farby, bo kolor ten ostatnio najbardziej odpowiadał jej nastrojowi.

Nagle uwagę jej przykuł telewizor:

„Przerywamy program, żeby nadać specjalne wydanie wiadomości. Na barykadzie wybuchła walka.”

Elizabeth zerwała się z fotela. Robótka i druty upadły na podłogę.

„Wciąż brak szczegółowych informacji - mówił reporter - ale otrzymaliśmy nie potwierdzoną wiadomość, że Czarny Sokół, przywódca Chickasawów, został zastrzelony.”

Elizabeth wybiegła z pokoju, zostawiając za sobą długą nić włóczki. Drżącymi rękami chwyciła torebkę i kluczyki. Jechała jak szalona przez miasteczko, przekraczając wszystkie ograniczenia prędkości. Kiedy dotarła do barykady, zobaczyła obraz zupełnego chaosu. Ludzie biegali tam i z powrotem, słychać było nawoływania i okrzyki, przepychano się nawzajem.

Wpadła w sam środek tłumu.

- Proszę mnie przepuścić!

Jakiś policjant z komisariatu w Tombigbee złapał ją za ramię, kiedy próbowała prześliznąć się pod liną, którą ogrodzono teren.

- Tędy nie wolno, proszę pani.

- Muszę tam wejść.

- Nikt nie może tam wejść, proszę pani.

- Ale ja muszę widzieć się z Sokołem!

- Teraz nikt nie może się z nim widzieć.

Elizabeth była bliska omdlenia. Złapała policjanta za rękaw.

- Czy on... - Słowa uwięzły jej w wyschniętym gardle.

To było zbyt straszne, żeby o tym myśleć, a co dopiero mówić.

Nagle rozległ się głośny tętent końskich kopyt.

- Elizabeth, odejść! - krzyknął Sokół.

Wyrwała się policjantowi i podbiegła do jeźdźca, który pochylił się i porwał ją w ramiona. Koń, nie zwalniając biegu, przesadził barykadę i pogalopował w stronę lasu.

Jechali długo, aż znaleźli się daleko od miasta. Sokół zatrzymał konia, zeskoczył i pomógł zsiąść Elizabeth.

- Oszalałaś? - Przyciągnął ją do siebie. - Dzisiaj postrzelono dwóch ludzi. Barykada to nie miejsce dla kobiet.

- Myślałam, że nie żyjesz. - Dziewczyna zawisła w jego ramionach.

Sokół przytulił ją delikatnie, czule szepcząc w swym oj-

czystym języku uspokajające słowa. Stali tak przez chwilę i Elizabeth powoli doszła do siebie. Podniosła głowę i lekko dotknęła jego policzka.

- Jesteś bezpieczny - szepnęła. - Tylko to chciałam wiedzieć.

- Tak, jestem bezpieczny.

Wymawiając te słowa, Sokół wiedział, że kłamie. Zdawał sobie sprawę, że stoi twarzą w twarz z najgroźniejszym wrogiem - z miłością, która niepostrzeżenie zakradła się do jego serca, aby już tam pozostać na zawsze. Był zakochany w Elizabeth McCade.

Stojąc tak pośród cichego lasu, myślał o tym, że jest nieodrodnym synem swego ojca. Wielki Sokół, jeden z największych wodzów w historii Chickasawów, był zawsze gotów do walki w obronie swojego plemienia, dopóki nie pokochał kobiety. Odtąd nie obchodziło go już nic poza Dovey i gromadką dzieci, które im się rodziły jedno po drugim. Historia ich miłości krążyła między ludźmi jak legenda. Długo opowiadano o tym, jak słodka Dove usidliła Wielkiego Sokoła.

Miłość sprawiła, że wielki wódz zrezygnował z walki. Teraz, kiedy Elizabeth dotykała twarzy Czarnego Sokoła i wpatrywała się weń ciemnymi oczami, miał chęć zrobić to samo. Ale był bardziej wojowniczy niż ojciec i miał więcej wrogów. Nawet gdyby zdecydował się podzielić swoje życie między miłość i walkę, nie wolno mu narażać Elizabeth na niebezpieczeństwo i niepewny los.

- Co teraz będzie?

Elizabeth odsunęła się o krok, przerywając ich fizyczną bliskość. Sokół pragnął, żeby równie łatwo można było zerwać więzy uczucia.

- Akty przemocy, do których doszło dzisiaj, przekreśliły ostatnią szansę na rozmowy z władzami miasta. Będziemy musieli zwrócić się o pomoc do kogo innego.

- Do kogo?

- Do ministra do spraw Indian. Miałem nadzieję, że uda się tego uniknąć, ale nie mogę ryzykować.

Elizabeth była już spokojna i myślał, że szok minął. Do

tego momentu obejmował dziewczynę, ale teraz cofnął dłonie. Dotykanie jej było bardziej niebezpieczne niż spotkanie z wyborowym strzelcem, uzbrojonym w karabin.

- Ale póki nie przyjedzie...

Elizabeth przygryzła wargę. Znał dobrze ten ruch. Wiele razy widział, jak to robiła wtedy, kiedy ukrywał się w jej domu. Oznaczało to, że walczy z uczuciami.

- Co zrobisz, zanim on przyjedzie? Reporter z telewizji mówił, że była strzelanina. Ktoś może zginąć.

- Na szczęście już od kilku dni na barykadzie jest policja. Próbowali zapobiec takim zdarzeniom. Złapali tego strzelca.

- Kto to był?

- Rzekomo niezależny radykał. Zaprzecza jakimkolwiek powiązaniom ze zwolennikami budowy i z władzami miasta.

- Czy to ten sam człowiek, który spalił twój dom i próbował cię zabić?

- Jeszcze nie wiadomo.

Znów przygryzła wargę. Sokół chciał ją uspokoić.

- Myślę, że ten sam. - Położył jej rękę na ramieniu. - To się już skończyło, Elizabeth.

Podniosła głowę i spojrzała mu głęboko w oczy.

- Jesteś tego pewny, Sokole?

Zawahał się przez chwilę. Te słowa były dwuznaczne i oboje o tym wiedzieli. Mówili o czymś więcej niż tylko o walce Indian z władzami miasta. Mieli na myśli także swoją walkę i ich związek, który tak szybko stanął w ogniu, że oboje nieomal spłonęli.

- Tak - potwierdził. - To już koniec. Zabiorę cię do domu.

- Co z moim samochodem?

- Przyślę jednego z moich braci, odwiezie ci go, gdy będzie wracać z barykady.

Otoczył ramieniem talię dziewczyny i spojrzał w oczy.

Budziło się w nim gwałtowne pragnienie, żeby położyć ją na miękkim dywanie mchu i jeszcze raz posiąść. Walczyła pokusą długą chwilę, zwyciężyło jednak poczucie godności.

Byłby samolubny i nie w porządku, gdyby wykorzystał Elizabeth w ten sposób. Nie stawiałaby oporu - znał ją dość do-

brze, aby być tego pewnym. Ale mógłby wzbudzić jej nienawiść, a tego nigdy by sobie nie darował.

Pomógł dziewczynie wsiąść na konia i sam wskoczył z tyłu. Pogalopowali w stronę domu.

Przez kilka następnych dni gazety i wiadomości telewizyjne były pełne informacji o barykadzie. Strzelec - Garden Hogan - nadal wypierał się jakichkolwiek powiązań politycznych. Osadzono go w więzieniu i do miasteczka powrócił spokój, a ludzie odetchnęli z ulgą. To było długie, gorące i szalone lato.

Wszyscy potrzebowali spokoju i ożywczego chłodu jesieni.

Elizabeth pilnie śledziła bieg wydarzeń. Minister do spraw Indian miał przybyć wkrótce i spodziewano się rychłego rozwiązania konfliktu.

Jedynie wiadomości o Sokole czerpała z prasy i telewizji.

Nie przychodził już do szkoły, nie bywał na zebraniach, w których uczestniczyła dziewczyna. Jeśli nawet czasem mu się to zdarzało, zawsze wychodził ukradkiem, żeby go nie zauważyła.

Rzecz jasna, nie przychodził także do niej ukrytym przejściem. Kilka razy Elizabeth miała ochotę pójść do jego chaty. Potrzeba ta nawiedzała ją zwłaszcza w nocy, szczególnie wówczas, gdy leżała samotnie w łóżku, tęskniąc do ukochanego. Umiała jednak wziąć się w garść - pierwszy raz od wielu lat panowała nad swoim życiem i uczuciami.

Jednak w połowie września z niepokojem zaczęła liczyć dni...

Usiadła na łóżku i przycisnęła dłonie do ust.

- O, nie - jęknęła. - To niemożliwe!

Zakryła się aż pod brodę i rachowała dni od chwili, kiedy spotkała Sokola, kiedy po raz pierwszy go pocałowała, kiedy po raz pierwszy się kochali. Łzy popłynęły jej po policzkach - historia się powtórzyła.

Drżącymi rękami odsunęła kołdrę i wstała. Podeszła do biurka, wzięła do ręki dziennik i nerwowo przerzucała kartki, aż znalazła zapiski, których szukała.

Słowa zamazywały się przed jej oczyma i dwoiły, powrócił ból, którego już kiedyś zaznała. Spokojnie zamknęła pamiętnik i wbiła niewidzący wzrok w przestrzeń. Jak zdoła przeżyć nadchodzące dni, miesiące i lata bez Czarnego Sokoła? Gdyby choć mogła go zobaczyć, porozmawiać z nim. Na to jednak była zbyt dumna, postawił przecież sprawę jasno: „Nie chcę cię w moim życiu ani w łóżku”. Elizabeth pozostała sama.

Z zamyślenia wyrwał ją dzwonek telefonu - była to Gladys.

- Czytałaś poranną gazetę?
- Jeszcze nie.

Elizabeth przytrzymała słuchawkę ramieniem i schowała dziennik do szuflady.

- Jesteś na pierwszej stronie.
- Dlaczego? Nie zrobiłam przecież nic godnego uwagi.
- Jak to nie! - Gladys zniżyła głos i nadała mu dramatyczne brzmienie. - Przeczytam ci nagłówek: „Kobieta i Sokół”. Jest też wielkie zdjęcie, twoje i Sokoła, z księżycem świecącym romantycznie za plecami. W tle znajduje się coś, co wygląda jak szkoła.

Elizabeth ścisnęła słuchawkę tak mocno, że palce jej pobielaly.

- Kto to zrobił?
- Wiesz, ten nowy, wścibski reporter... John, jak on się nazywa... Ten, który zawsze kręcił się koło nas, kiedy rozdawałyśmy ulotki, jakby próbował wywęszyć jakąś sensację.

Elizabeth jęknęła i natychmiast zatkała dłonią mikrofon.

- Elizabeth, dobrze się czujesz?
- Tak, wszystko w porządku.
- Mam wrażenie, że niezupełnie... Nie jesteś chora?
- Nie. Wszystko się jakoś ułoży.
- Słuchaj, ten reporter jeszcze coś wyszperał. Czy mówi ci coś nazwisko Mark Laton?
- Nie, raczej nie.

„Elizabeth McCade lubi potajemne romanse. Według pewnych źródeł opuściła Yale, ponieważ była kochanką Marka Latona, żonatego profesora”.

- Co jeszcze?
- Jest jeszcze wasze zdjęcie na koniu, jak przeskakujecie barykadę, wtedy gdy wybuchły zamieszki.

- Czy jest jeszcze coś o Marku?

- Nie.

Przynajmniej to było pocieszające. Elizabeth odetchnęła kilka razy głęboko i trochę się uspokoiła.

- Elizabeth, czy mogłabym coś dla ciebie zrobić? Czy na pewno dobrze się czujesz?

- Nie... Tak. Nic mi nie jest, Gladys. Nie martw się o mnie.

- Wiesz, że nie mogę - powiedziała Gladys miękko. - To draństwo podawać do publicznej wiadomości informacje o twoim prywatnym życiu. Ale cieszę się, że masz Czarnego Sokola. Od dawna podejrzewałam, że w twoim życiu jest jednak jakiś wspaniały mężczyzna. Naprawdę się cieszę, Elizabeth.

- Zerwaliśmy z sobą. Między nami wszystko skończone.

- Tak mi przykro.

- Dziękuję, Gladys. Jesteś prawdziwą przyjaciółką.

- Do zobaczenia wkrótce, w biurze. Zapraszam cię na lunch, żeby osłodzić ci trochę te ciężkie dni.,

- Cudownie, dziękuję.

Elizabeth próbowała wykrzesać z siebie choć odrobinę entuzjazmu. Gladys była dobrą przyjaciółką i nie miała przecież nic wspólnego z serią niedawnych nieszczęść.

- Świetnie, do zobaczenia więc.

Odłożyła słuchawkę, poszła do łazienki i zwymiotowała. Kiedy wróciła do sypialni, na brzegu łóżka siedział Sokół.

- Dzień dobry, Elizabeth.

Otuliła się szlafrokiem i zadrzała.

- Źle się czujesz? - Staął naprzeciw niej.

- Nie. Trochę mi tylko zimno. Chłodno dziś na dworze.

Odwróciła się do niego plecami, usiadła przy toalecie i zaczęła szcztokować włosy. Spojrzała w lustro i zobaczyła swoją twarz, już uspokojoną. Miała nadzieję, że Sokół nic nie zauważy. Za plecami dostrzegła odbicie jego sylwetki.

Znów poczuła się źle. Bolało ją, że nie może z nim być, rozmawiać, tulić się do ukochanego.

- Czytałaś poranną gazetę? - zapytał.

- To dlatego przyszedłeś?

Ich wzrok spotkał się w lustrze. Zauważyła błysk w jego czarnych oczach - znała to już dobrze. Sokół wciąż jej pragnął. Miała więc przynajmniej to.

- Czy to właśnie Mark Laton...?

Sokół trzymał dłoń na rękojeści noża.

Elizabeth załamała się nagle. Nie była już dumna i wyniosła. Zareagowała jak zwykła kobieta.

- Jak śmiesz przychodzić do mojego domu i wypytawać mnie o Marka Latona! Jak śmiesz wchodzić bez pytania do mojej sypialni? Nie masz żadnego prawa, Sokole. Zrezygnowałeś z niego już dawno, w mojej piwnicy!

- Masz rację, Elizabeth.

To rozzłościło ją jeszcze bardziej. Nie powinien, do licha, tak łatwo zrezygnować. Dlaczego nie chciał walczyć? Dlaczego nie pragnął jej dość mocno, żeby podjąć wyzwanie?

Ramiona Elizabeth zadrżały i nagle opuścił ją cały gniew. Sokół nie walczył o nią, ponieważ musiał walczyć o wiele innych, ważnych spraw i ponieważ... nie kochał jej. Postanowiła spojrzeć prawdzie w oczy.

- Czy mógłbyś już wyjść? - Przyłożyła dłoń do czoła.

- Nie przyszedłem tu, żeby się z tobą kłócić, Elizabeth. Chciałem ci powiedzieć, że przyślę moich braci, aby cię strzegli.

- Przyślesz braci, żeby mnie strzegli? - Czowała się tak, jakby to był jakiś zwariowany gangsterski film.

- Tak. Z powodu tego artykułu w gazecie.

- Już nic się nie stanie, przecież tamten człowiek został aresztowany.

- Lepiej mieć się na baczności. Mój najmłodszy brat czeka na dole.

- Nie masz prawa tego robić. Nie wolno ci wdzierać się do mojego domu i wchodzić z butami w moje życie.

- Nie chcę wchodzić z butami w twoje życie, ale muszę dbać o twoje bezpieczeństwo.

- Powiedz bratu, niech wraca do domu. Nie chcę go tutaj. Ani żadnego innego z twoich krewnych. Sama potrafię się obronić.

- Jesteś uparta, Elizabeth.
- A ty arogancki.

Patrzyli na siebie, oboje uparci i zdecydowani postawić na swoim.

- Jesteśmy bardzo podobni, Elizabeth. Zawsze tacy byliśmy.

- Nie.
- Nie?
- Jestem kobietą, a ty mężczyzną.

Uśmiechnął się uwodzicielsko. Przygryzła wargę i zacisnęła pięści, żeby oprzeć się pokusie.

- Wyjdź, proszę - szepnęła.
- Jak mogę wyjść, wiedząc, że jesteś w niebezpieczeństwie, i to z mojej winy?
- Sama dokonałam wyboru.

Spojrzeni na siebie, a po chwili Sokół podszedł i ujął twarz Elizabeth w obie dłonie.

- Uważaj na siebie.
- Oczywiście, obiecuję.

Indianin pozostawił dziewczynę na środku pokoju i zszedł po schodach, tak samo spokojnie i cicho, jak wszedł. Żelazny Sokół, jego najmłodszy brat, czekał przed domem.

- Powiedziałaś jej?
- Tak.
- Zgodziła się na obstawę?
- Nie.

Żelazny Sokół roześmiał się z satysfakcją.

- Tak myślałem. Z tego, co mówiła Susan, wynika, że to bardzo niezależna kobieta.

- Tak czy owak, będziesz jej strzegł.
- Słuchaj, jestem młody, przystojny i całe życie przede

mną. Wcale nie mam ochoty zostać zastrzelony z niklowanego magnum 44. Zwłaszcza przez kobietę!

Czarny Sokół odrzucił do tyłu głowę i roześmiał się także.

- Jest ostra, to prawda, ale będziesz jej strzegł tak, żeby cię nie zauważyła.

- Kochasz ją?

Czarny Sokół nie mógł okłamywać brata. Początkowo miał taki zamiar, ale uznał to za przejaw tchórzostwa.

- Tak, kocham.

- To dlaczego sam jej nie pilnujesz?

- Elizabeth nie może o tym wiedzieć. Nie może dowiedzieć się, że ją kocham. - Zwrócił ku bratu wzburzoną twarz. - Między nami wszystko skończone. Ale ty, braciszku, strzeż jej jak oka w głowie.

Żelazny Sokół chciał coś powiedzieć, lecz zrezygnował, gdyż bardzo dobrze znał brata. Nie było sensu z nim dyskutować: kiedy już na coś się zdecydował, nic nie mogło go powstrzymać.

Elizabeth ledwie zdążyła do pracy. Nie zjadła śniadania i przekroczyła wszystkie ograniczenia prędkości. Teraz kiedy jej prywatne sprawy były na pierwszej stronie gazety, jakie znaczenie mógł mieć mandat?

Żelazny Sokół, jadący za nią poobijanym chevroletem w pewnej odległości, klął głośno.

Co ona sobie wyobraża? To nie wyścigi w Indianapolis!

Powiedział jeszcze kilka słów, za które matka z pewnością by go skarciła, i mocniej nacisnął pedał gazu, żeby nie stracić z oczu dziewczyny. Czarny Sokół zabiłby go chyba, gdyby nie wywiązał się z zadania. A on był za młody, żeby umierać.

Zobaczył przed sobą migające niebieskie światło. W tej samej chwili samochód Elizabeth zniknął za zakrętem.

Do diabła, gdzie tu sprawiedliwość?

Kiedy policjant zbliżał się do samochodu, Żelazny Sokół wpadł na perfidny pomysł. Postara się o jak najwyższy mandat i da go Czarnemu do zapłacenia. To dobrze mu zrobi. Fa-

cet, który odrzuca miłość do takiej kobiety jak Elizabeth McCade, zasługuje na nauczkę.

Otworzył okienko i uśmiechnął się do policjanta.

- Wiem, że popełniłem okropne wykroczenie... - odczytał nazwisko wypisane na tabliczce identyfikacyjnej - ... sierzancie Bradley. Jechałem pewnie setką, a tu jest ograniczenie do sześćdziesięciu.

- Tylko dziewięćdziesiąt pięć.

Sierzant był młody i przyjacielski. Zsunął czapkę z czoła.

- Spiesz się pan?

- Nie, jechałem tylko za jedną piękną dziewczyną. Na pana miejscu wlepiłbym mi mandat.

- Tak?

- No jasne! Zawsze tak jeżdżę. Przydałaby mi się nau czka.

- A więc...

Policjant obrzucił spojrzeniem poobijany samochód Żelaznego Sokola.

- Pewnie ma pan masę kłopotów z tym starym grucho-tem. Tym razem poprzestaniemy na pouczeniu.

- Cholera - mruknął chłopak.

- Słucham?

- Powiedziałem właśnie, że to cholernie uprzejmie z pa-na strony. Bardzo dziękuję, sierzancie Bradley.

- Drobiazg, ale proszę uważać. Dość już mieliśmy tu ostatnio kłopotów. Nie potrzeba nam wypadków drogo-wych.

- Ma pan rację.

Żelazny Sokół potrząsnął dłonią sierżanta Bradleya i od-jechał. Elizabeth McCade była już daleko.

Miał nadzieję, że pojechała do pracy, a nie gdzieś, gdzie nie mógł już jej odnaleźć. Wołał nie myśleć o tym, że mu-siałby opowiedzieć bratu, jak zgubił dziewczynę już pier-wszego dnia.

Odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył samochód Elizabeth za-parkowany przed bankiem. Była więc bezpieczna, przynaj-mniej przez kilka godzin.

Znalazł na parkingu miejsce, z którego mógł wygodnie obserwować auto. Wsiadł ze swojego głuchota i poszedł do sklepu muzycznego zaopatrzyć się w kilka nowych kaset. Jeśli już miał spędzić najlepsze dni swojego życia pilnując kobiety, która nie była nawet jego dziewczyną, musiał przynajmniej mieć jakąś rozrywkę.

Przez kilka następnych dni poznał zwyczaje i tryb życia Elizabeth McCade. Każdego ranka wychodziła na chwilę do furtki, żeby wyjąć ze skrzynki poranną gazetę. Młody Indianin, ukryty w zagajniku otaczającym dom, mógł przez chwilę zachwycać się widokiem dziewczyny brata. Z rozpuszczonymi włosami, otulona w luźny szlafrok, była cudowna. Nic dziwnego, że Czarny Sokół zakochał się w takiej kobiecie. Dlaczegoż jednak nie chciał o nią walczyć! Z pewnością była tego warta.

Wyglądając ostrożnie spomiędzy drzew, Żelazny Sokół zobaczył, jak Elizabeth odwróciła się i spojrzała w jego kierunku. Dostrzegł w niej jakieś napięcie, które go zaniepokoiło. Stał ukryty za drzewem, serce biło mu mocno. Wolał nie narażać się na gniew brata, gdyby go zauważyła. Czekał, wstrzymując oddech, i nasłuchiwał, czy Elizabeth nie nadchodzi. W końcu usłyszał, jak zatrzasnęła drzwi.

Usiadł pod drzewem i zaklął. Po chwili wstał i na nowo zaczął obserwować dom.

Około dziewiątej zorientował się, że coś jest nie w porządku.

Elizabeth powinna była wyjechać już dwadzieścia minut temu, żeby zdążyć na czas do pracy. Na ogół się nie spóźniała.

O dziesiątej Żelazny Sokół był już bardzo zaniepokojony. Co mogło się stać? Czy ktoś wśliznął się do domu w chwili jego nieuwagi? Może Elizabeth leżała już tam w kałuży krwi? Nie chciał nawet myśleć o tej strasznej możliwości.

Zmusił się do zachowania spokoju i zaczął spokojnie rozważać, co mogło się wydarzyć. Może zadzwoniła do biura, że źle się czuje. Albo miała wolny dzień. Postanowił zaczekać jeszcze pół godziny, a potem wejść do środka i spraw-

dzie, co się stało, mając nadzieję, że nie zostanie przyłapany na gorącym uczynku.

Oczekiwanie dłużyło się, minuty płynęły powoli. O wpół do jedenastej przebiegł skrajem podwórza i ukrył się wśród drzew.

Znalazłszy się za domem, zgiął się wpół i ruszył zakosami w stronę kuchennych drzwi pod osłoną krzewów, które dopiero co zdążyły przekwitnąć.

Żelazny Sokół nie był włamywaczem wysokiej klasy, ale posiadał pewne umiejętności w tej dziedzinie i nie potrzebował wiele czasu, by dostać się do domu. Po chwili znalazł się w kuchni.

Stał obserwując i nasłuchując w napięciu. Dookoła wszędzie panowała cisza.

Wyciągnął zza pasa nóż i rozpoczął poszukiwania. W ciągu kwadransa zorientował się, że dziewczyny tu nie ma. Uśpiła jego czujność i zdołała się wymknąć.

Nie wiedział, czego bardziej się boi: niebezpieczeństwa grożącego Elizabeth czy gniewu brata. Schował nóż, wszedł do samochodu i pojechał do Czarnego Sokoła, żeby powiedzieć mu prawdę.

Elizabeth biegła tunelem. Po tym, jak zobaczyła człowieka ukrytego w lesie koło domu, nie miała zamiaru tracić czasu nawet na upięcie włosów. Ubrała się w pośpiechu i zadzwoniła do pracy, że jest chora, co zresztą nie mijало się z prawdą. Ostatnio często źle się czuła, a tego ranka była szczególnie wyczerpana.

Nie miała żadnych wątpliwości co do człowieka za drzewem - był zbyt podobny do Sokoła, żeby mogła się pomylić. Zacisnęła pięści.

Niech cię diabli, Sokole, niech cię diabli!

Jak on śmiał znowu podejmować próbę kierowania jej życiem! Zwłaszcza teraz. Była tak wzburzona, że zapomniała nawet o broni. Zresztą niebezpieczeństwo minęło. Od tamtego czasu na barykadzie był spokój, a w mieście oczekiwano przyjazdu ministra.

Elizabeth chciała, żeby to wszystko jak najszybciej się skończyło. Niech znów będzie tak jak kiedyś. Wszystko, z wyjątkiem jej własnego życia, które już nigdy nie stanie się takie jak dawniej.

Wyszła z tunelu, strzepnęła ze spódnicy brud i gałązki. Była to ta sama spódnica, która kiedyś pomogła jej uwieść Sokoła. Dziś włożyła ją z jakiejś perwersyjnej potrzeby. Chciała, żeby jej pragnął tak jak ona jego. Żeby pragnął i nie mógł jej mieć.

- Elizabeth McCade - powiedziała do siebie na głos, idąc przez las do chaty Sokoła - nisko upadłaś.

Nie spieszyła się; to, co miała mu do zakomunikowania, powinna powiedzieć z zimną, spokojną wściekłością. Nie chciała wpaść na Sokoła z zadyszka, ledwie żywa.

- Ho ho, kogo tu widzimy!

Odwróciła się w stronę, z której dobiegał głos. Nie wiadomo skąd wynurzył się jakiś mężczyzna i zastąpił jej drogę. Był niski, a jego wypukła klatka piersiowa przypominała beczkę. Miał przekrwione oczy; kilkudniowy zarost pokrywał mu twarz. Czuć było odeń mocny zapach alkoholu.

Przycisnęła ręce do brzucha, żeby powstrzymać atak mdłości. Musiała zachować spokój.

- Kim pan jest? - zapytała.

- Kim jestem? Kim ja jestem? - Splunął na ziemię, prosto pod jej nogi. Zmusiła się, żeby nie okazać strachu.

- Dziwka Czarnego Sokoła chce wiedzieć, kim jestem! - Roześmiał się, a Elizabeth zadrżała. Podszedł do niej i spojrzał dzikim, złym wzrokiem. - Nie jestem indiańską kochanką, to pewne.

Elizabeth klęła w duchu, że nie zabrała broni. Sokół wiele razy ostrzegał ją przed niebezpieczeństwem. I, niestety, miał rację. Popełniła straszny błąd, myśląc, że już po wszystkim.

Jedyne, co jej pozostało, to zachować zimną krew.

- Nie mam nic przeciwko panu. - Wyciągnęła do niego ręce w pojednawczym geście. - Każdy człowiek ma prawo mieć własne poglądy. Jeśli nasze się nie zgadzają, nie znaczy to jeszcze, że jesteśmy wrogami.

- Wrogami? Wrogami! - Dziki śmiech mężczyzny zabrzmiał echem po lesie. - Cholera, nie jesteśmy wrogami.

Zbliżał się do niej, nie przestając mówić. Elizabeth znów zmusiła się do zachowania spokoju. Nie wolno jej okazać lęku. Może jeśli nie da po sobie poznać, że się boi, ten człowiek odejdzie.

- Jestem mścicielem. Tak jest, oto właśnie, kim jestem. Jestem mścicielem, a ty ofiarą.

Nawet gdyby dobrze się czuła, nie dałaby rady złoczyńcy. Odwróciła się więc i zaczęła uciekać.

Dogonił ją i chwycił za nogę. Elizabeth upadła krzycząc i poczuła brudną rękę na swoich ustach. Próbowwała się bronić, kopała, drapała i gryzła. Jeśli miała być ofiarą, nie dostanie jej łatwo.

- Uspokój się, dziwko.

Wbiła mu zęby w rękę i mocno trzymała.

- Dam ci nauczkę!

Pierwszy cios wylądował na jej brzuchu. Elizabeth walczyła z całych sił, póki nie osłabła. Las zaczął blednąć, a słońce przygasło. Resztką świadomości dostrzegła, że napastnik stoi nad nią w rozkroku.

- Śliczny prezent dla tego podżegacza!

Elizabeth jęknęła, kiedy podniósł ją z ziemi. Była obolała i pobita. Mężczyzna niósł ją dokądś i miała wrażenie, że trwa to bardzo długo. Nie wiedziała, co z nią zrobi. Ból stał się nie do zniesienia i wszystko inne było obojętne.

Nagle puścił ją; od uderzenia o twardą ziemię Elizabeth szczęknęły zęby, a ból przeszył całe ciało. Zanim zemdlą, usłyszała jeszcze słowa napastnika.

- Jest twoja, Czarny Sokole!

ROZDZIAŁ ÓSMY

Sokół był właśnie na północnym pastwisku i nadzorował załadunek bydła przeznaczonego na sprzedaż, kiedy zobaczył, że nadjeżdża jego brat. Żelazny Sokół zaparkował samochód pod dębem, wysiadł i zaczął biec.

Czarny w jednej chwili zorientował się, że coś jest nie w porządku. Wskoczył na konia i pogalopował na spotkanie chłopcu.

- Co się stało?
- Zgubiłem Elizabeth!

Czarny zeskoczył z konia i złapał brata za ramiona.

- Jak to zgubiłeś?
- Chyba zauważyła mnie dziś rano w lesie. Kiedy zorientowałem się, że nie pojechała do pracy, zacząłem się denerwować. Zawsze była tak punktualna.

Chłopak zamilkł, a Sokół puścił go, próbując zebrać myśli.

- Co dalej?

Przed chwilą włamałem się do domu, żeby sprawdzić, co się dzieje. Nie ma jej tam. Samochód stoi w garażu, ale ona się wymknęła... Przepraszam.

- To nie twoja wina.

Sokół zmusił się do zachowania spokoju. W ciągu ostatnich dni nic się nie wydarzało. Nie było powodu, żeby martwić się zawczasu.

- Elizabeth jest przekorna. Pewnie cię zauważyła i zadzwoniła do jakiejś przyjaciółki, żeby po nią przyjechała. Jest teraz w pracy i śmieje się, że wystrychnęła nas na dudka.

Chciał wierzyć w to, co mówi, ale nie potrafił. Od chwili

kiedy pojawił się brat, Sokół wiedział, że stało się coś złego. Czuł to wyraźnie - miał wrażenie, że słyszy, jak Elizabeth go woła.

Wskoczył na konia.

- Zadzwoń do banku i sprawdź, czy ona tam jest. A potem przyjedź do mojej chaty.

- Dokąd jedziesz?

- Znam pewne miejsce... - Dalsze słowa porwał wiatr, gdy Czarny Sokół gnał przez pastwisko w stronę lasu.

Zapewne Elizabeth przeszła przez tunel - tam trzeba zacząć poszukiwania. Pędził najszybciej, jak mógł, i po kwadransie dotarł do korytarza. Wszędzie wokoło znalazł jej ślady: odciski stóp, połamane gałązki, a nawet pasemka czarnych włosów zaplątane w dolnych gałęziach drzewa.

- Elizabeth...

Bezwiednie wymówił na głos imię dziewczyny i usłyszał posępne echo, rozbrzmiewające wśród cichego lasu. Szybko podążał za śladami. Kiedy dostrzegł jeszcze inne, zsiadł z konia i ukląkł na ziemi. Tego ranka musiał tu być jakiś potężnie zbudowany mężczyzna. Był niedbały i nieuważny. Trawę zaśmiecały niedopałki, a pod sosną leżały trzy puste butelki po whisky.

Niedaleko od chaty ślady obu osób się spotkały. Indianinowi serce zamarło i oddychał z trudem. Znaki były tak wyraźne, że mógł nieomal zobaczyć przebieg walki, która się tu rozegrała. Ukląkł, a na dłoniach została mu krew.

Podniósł głowę ku niebu.

- Jeśli do krew Elizabeth, przysięgam, że znajdę tego człowieka, gdziekolwiek by się ukrył.

Nagle dostrzegł ją przed sobą na polanie. Leżała przed chatą, z nogą podwiniętą pod siebie, włosy miała w nieładzie.

- Elizabeth!

Wyciągnął nóż i pobiegł zakosami do dziewczyny. Jeżeli człowiek, który na nią napadł, znajdował się jeszcze w pobliżu, Sokół musiał być ostrożny, ponieważ tamten mógł go trzymać na muszce.

Kiedy znalazł się już przy ukochanej, ukląkł i wziął ją na rękę.

- Elizabeth... Elizabeth.

Była brudna, posiniaczona, zalana krwią. Delikatnie badał jej ciało, wciąż powtarzając najdroższe imię. Wyczuł tętno - słabe, ale było.

- Sokole! - zawołał brat, wysiadając z samochodu, i podbiegł do nich.

- To przeze mnie, Żelazny Sokole!

- Nie.

- Tak. Właściwie to tak, jak gdybym sam jej to zrobił. - Czarny Sokół zanurzył twarz we włosach dziewczyny. - Nie potrafiłem jej opuścić. Rozsądek nakazywał to zrobić, ale serce nie pozwoliło.

- To nie twoja wina. Prędko, zanieśmy ją do samochodu. Trzeba jechać do szpitala.

Nagle chłopak zauważył kartkę leżącą na ziemi obok ciała dziewczyny.

Pomagając podnieść Elizabeth, Żelazny Sokół ukradkiem schował papier do kieszeni. Brat i bez tego miał teraz dość problemów.

Chłopak prowadził auto jak szaleniiec, a Czarny Sokół trzymał dziewczynę w ramionach.

Wyglądał jak wykuty z marmuru.

„Niech Bóg ma w opiece człowieka, który zrobił to Elizabeth” - pomyślał Żelazny.

Czarny Sokół nie chciał opuścić dziewczyny nawet w gabinecie lekarskim. Brat położył mu dłoń na ramieniu i powiedział:

- Daj spokój, teraz możemy tylko czekać.

Wydawało się, że minęły całe godziny, zanim znów pojawił się lekarz.

- Który z panów jest jej mężem?

- Mężem? - zdziwił się młodszy Sokół.

Czarny wystąpił naprzód.

- Elizabeth to moja dziewczyna. - Pytanie, które chciał zadać, uwięzło mu w gardle.

- Jest pan jej krewnym? - Lekarz zwrócił na niego przenikliwy wzrok.

- Ona nie ma krewnych, ma tylko mnie.

Przybliżył się jeszcze o krok. Był coraz bardziej zdenerwowany. Miał ochotę złapać lekarza za kłapy, potrząsnąć nim i krzyknąć prosto w twarz: czy ona żyje? Zamiast tego powiedział tylko:

- Jestem za nią odpowiedzialny.

- Ma wstrząs i kilka poważnych zewnętrznych obrażeń, ale na szczęście żadnych złamań ani wewnętrznych krwotoków.

- Czy była...

- Napastowana seksualnie? Nie, dzięki Bogu. - Lekarz bawił się stetoskopem, patrząc Sokołowi w twarz. - Została ciężko pobita, ale nie powinna stracić dziecka.

- Dziecka?

- Nie wiedział pan?

- Nie, nie wiedziałem.

- Zrobimy jeszcze, rzecz jasna, dokładne badania. Ale na podstawie tego, co już wiem, przypuszczam, że oboje, matka i dziecko, wrócą do zdrowia.

- Kiedy będę mógł ją zobaczyć?

- Odzyska przytomność dopiero za kilka godzin, ale jeśli pan chce, proszę zajrzeć do niej teraz.

Lekarz wyszedł, a Czarny Sokół położył rękę na ramieniu brata.

- Dzięki za pomoc, Żelazny Sokole.

- Przecież po to ma się braci.

- Jedź już do domu.

- A ty?

- Zostanę tu, póki Elizabeth nie odzyska przytomności.

Później odnajdę człowieka, który to zrobił.

Chłopak ścisnął na pożegnanie ramię brata i wyszedł ze szpitala.

Nie pojechał jednak do domu, ale do szeryfa Wayne'a Blodgetta. Jeśli tylko będzie mógł coś zrobić, postara się, że-

by Czarny Sokół nie musiał tropić człowieka, który napadł na Elizabeth.

Po wyjściu brata Sokół poszedł prosto do pokoju dziewczyny. Leżała w łóżku, a z jej ramienia wystawały jakieś rurki. Rozrzucone na poduszce włosy otaczały nienaturalnie bladą i nieruchomą twarz.

Usiadł na brzegu łóżka i wziął Elizabeth za rękę.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? Dlaczego nie powiedziałaś mi o dziecku?

Pomyślał o tym, jak wiele razy i na wiele sposobów się kochali - po to, żeby mógł stać się cud, który spoczywał teraz w łonie Elizabeth. Odczuwał głęboką miłość, radość i dumę jednocześnie.

Później jednak ogarnął go smutek. Jakże musiała cierpieć Elizabeth, przekonana, że on nie zechce tego dziecka!

Jak bardzo była silna i odważna!

Czy wiedziała już o ciąży, kiedy Sokół przyprowadził brata, by jej strzegł? Musiała wiedzieć.

„Nie masz prawa - powiedziała wtedy. - Wyrzekłeś się go.”

A on potwierdził, że stracił to prawo. Mylił się jednak. Przycisnął jej dłoń do ust.

- Nigdy się ciebie nie wyrzekłem, Elizabeth, nigdy.

Pochylił się i patrzył na dziewczynę. Nieprzytomna, wyglądała teraz tak bezbronnie i krucho. Trudno było uwierzyć, że to ta sama kobieta, która stawiała mu czoło uzbrojona w pistolet.

- Zawsze cię kochałem, Elizabeth, i zawsze będę cię kochał!

Czarny Sokół nie wiedział, jak długo siedział przy łóżku dziewczyny, trzymając ją za rękę. Miarą czasu nie były dla niego minuty i godziny, ale słaby oddech ukochanej.

- Sokół? - powiedziała miękko, słabym głosem, próbując unieść głowę.

- Ciii... nie ruszaj się. Jestem przy tobie.

Ścisnęła jego dłoń.

- Nie zostawiaj mnie samej.

- Nie zostawię.

Zamknęła oczy i zasnęła. Wstał i zaczął chodzić po pokoju. Wkrótce... Wkrótce Elizabeth na dobre odzyska przytomność, a wtedy on odnajdzie mężczyznę, który to zrobił.

W biurze szeryfa Żelazny Sokół pokazał kartkę znalezioną przy Elizabeth i opowiadał o napaści. *Czarny Sokole, nie, co do ciebie należy, nie jest przede mną bezpieczne* - taka była treść pogroźki.

- Ten sam charakter pisma co na kartce, którą znalazłem w nocy, kiedy spłonął dom - powiedział Wayne, gdy pojechali, żeby obejrzyć miejsce napadu. Szeryf zapakował do oznakowanych plastikowych woreczków butelki po whisky, niedopałki papierosów, strzępy tkaniny i nitki. - Założę się, że to ten sam człowiek.

- A ten, który siedzi w więzieniu?

- To nie on spalił dom Sokoła. No i z pewnością nie mógł zrobić tego. - Wayne wyprostował się i pomasaował sobie krzyż. - Jestem już za stary i za gruby do tej roboty.

Żelazny Sokół roześmiał się tylko.

- Nie żartuj. Wciąż jesteś najlepszym detektywem w tym kraju. - Nagle spowaźniał. - Myślisz, że uda ci się znaleźć tego bandytę, zanim Sokół to zrobi?

- Jeśli Czarny zaczął poszukiwania przede mną, na pewno nie. Ale tak czy owak, spróbuję.

- Wolałbym, żeby jeszcze nie zaczął...

Dopiero następnego ranka Elizabeth odzyskała przytomność. Kiedy się poruszyła, Sokół wciąż siedział przy łóżku, trzymając ją za rękę.

- Sokole? - powiedziała trochę już mocniejszym głosem.

- Jestem tu, Elizabeth.

Przez długą chwilę wpatrywała się w niego bez słowa. Nie mógł rozszyfrować wyrazu jej twarzy, ale w ciemnych oczach dostrzegł ból.

- Dlaczego tu jesteś? - Cofnęła rękę, a jej głos stał się chłodny i pełen dystansu.

- Prosiłaś, żebym został.

- Teraz proszę, żebyś odszedł.
- Elizabeth...
- Proszę, idź. Nie chcę cię widzieć.

Sokół nie wiedział, czy ma usłuchać, czy może się sprzeciwić. W końcu zdecydował się być posłuszny, przynajmniej na razie. Teraz nie wolno jej denerwować.

- Idę, Elizabeth. Ale wrócę.

Spokojnie wyszedł z pokoju. Zatrzymał się za drzwiami i oparł głowę o futrynę. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył brata.

- Jak ona się czuje?
- O wiele lepiej.
- Jesteś wykończony. Powinieneś pojechać do domu

i trochę odpocząć.

- Nie mam czasu na odpoczynek.

Żelazny Sokół położył bratu dłoń na ramieniu.

- Nie rób tego.
- Muszę.
- Pozostaw to prawu.
- Pomszczę Elizabeth!

- Czy nie dość już było przemocy, Sokole? Pomyśl, że mszcząc się na tym człowieku, schodzisz do poziomu tamtych.

- Nie próbuj mnie przekonywać. Są pewne rzeczy, które mężczyzna musi zrobić. - Oparł dłonie na ramionach brata i uśmiechnął się słabo. - Nie martw się, braciszku. Wszystko będzie dobrze.

- Pozwól mi iść z sobą.

- Nie. Jesteś potrzebny tutaj, żeby opiekować się Elizabeth. Nie wpuszczaj nikogo obcego do pokoju.

- Mam nadzieję, że ją uprzedziłeś.

- Nie. I lepiej, żeby cię nie widziała. Jest dumna i uparta.

- Zdaje się, że trafiła kosa na kamień. - Chłopak uśmiechnął się lekko.

- Daj mi kluczyki. Wrócę do domu twoim samochodem.

Żelazny Sokół wiedział, że przegrał. Nie mógł już powstrzymać brata.

Znalazł na korytarzu krzesło i przyniósł je pod drzwi pokoju Elizabeth; usiadł i rozpoczął wartę.

Pod wieczór Sokół znalazł swoją zwierzyńkę. Ślad widać było wyraźnie, gdyż mężczyzna zachowywał się lekkomyślnie i nierozważnie. Teraz zapłaci za wszystko, co zrobił.

Sokół, ukryty w cieniu wzgórza, siedząc na koniu, obserwował człowieka, który rozpałał właśnie ognisko. Z tego, jak poruszał się złoczyńca, Indianin wywnioskował, że tamten jest pijany.

Sokoła na chwilę zaślepiła wściekłość, ale zaraz wziął się w garść. Zawsze, kiedy walczył, panował nad sobą. Po paru minutach odzyskał zimną krew. Odczekał, aż człowiek przykucnie przy ogniu, z dala od swojego winchesteru. Wtedy śmiało wjechał w krąg światła.

- Dobry wieczór, Walterze.

Walter Martin cofnął się o krok i upadł do tyłu. Sokół podjechał bliżej, tak blisko, że Walter znalazł się niemal pod kopytami konia.

-Czego chcesz? - zapytał piskliwym ze strachu głosem.

-A jak myślisz, Walterze?

-Ja... ja tego nie zrobiłem.

-Czego nie zrobiłeś?

-Ta twoja kobieta... Nie zrobiłbym nic takiego.

-Czego byś nie zrobił?

-No, wiesz...

-Nie wiem. Powiedz mi. - Sokół zeskoczył z konia tak szybko, że przeciwnik nie miał nawet czasu się cofnąć. Indianin chwycił go za kołnierz i rzucił na ziemię. - Powiedz mi, Walterze... co zrobili z Elizabeth McCade?

Pojmany z przerażeniem wpatrywał się w Sokoła i nerwowo przełykał ślinę.

- Czy urządzili zasadzkę i splugawili tę kobietę swoimi brudnymi rękami? Pobili ją, poranili i zagrozili życiu jej dziecka? Mojego dziecka! Czy to zrobili, Walterze? Zrobili to?

Sokół nie podniósł głosu, a jego twarz nie zmieniła wyrazu, ale w tej chwili Walter Martin wolałby znaleźć się w gnieździe grzechotników.

-Proszę, nie rób mi nic złego.

-Dlaczego nie, Walterze? Dlaczego nie miałbym zrobić tego samego, co ty zrobiłeś Elizabeth?

Walter poruszył ustami, ale nie wydał żadnego dźwięku. Sokół popatrzył na swego przeciwnika i żądza zemsty opuściła go nagle, a jej miejsce zajęła chłodna determinacja. Chwytał linę zawieszoną u siodła.

-Co robisz? - zapytał mężczyzna płaczliwym głosem, kiedy Indianin wykręcił mu do tyłu ramiona i związał lassem.

-Pojedziesz ze mną, Walterze. Nie jesteś wart tego, aby dotknąć cię nawet palcem. Ale z pewnością otrzymasz to, na co zasłużyłeś.

Walter Martin opuścił ramiona z ulgą, gdy Sokół skończył krępować go liną i przerzucił przez grzbiet ogiera.

- Napad z pobiciem, usiłowanie zabójstwa, podpalenie - wyliczał oskarżenia Indianin, wsiadając na konia.

To Martina widział z winchesterem w rękę tamtej nocy, kiedy spłonął dom; to Walter wołał wtedy w lesie: „Mam go!” Sokół wiedział, że schwytał wreszcie inicjatora wszystkich ataków.

Nie wiedział, czy motywem Waltera była nienawiść do całego plemienia Chickasawów, czy tylko do niego. I nie chciał tego wiedzieć. Lepiej było nie zagłębiać się w chorą, pogmatwaną duszę tego człowieka. Należało pozostawić go, wraz z jego życiem, prawu.

- Mam nadzieję, że zamkną cię na długie lata - dodał jeszcze, gdy zbliżali się do miasteczka.

Elizabeth leżała w mroku szpitalnego pokoju. Nie widziała Sokoła od rana, od chwili kiedy poprosiła go, żeby wyszedł.

- Nie martw się, maleństwo. Będę dbać o ciebie najlepiej, jak potrafię.

Po policzku spłynęła jej najpierw jedna, potem druga łza. Otarła je zdecydowanym i gniewnym ruchem. Tym razem obejdzie się bez płaczu. Będzie silna; samotne kobiety muszą być silne.

Drzwi otworzyły się i wszedł Sokół. Elizabeth całkowicie stłumiła nadzieję. Nie wierzyła już w bajki!

- Elizabeth!

Sokół zbliżył się do łóżka, ale nie wziął jej za rękę i dziewczyna poczuła się bardziej samotna niż po tysiącu pożegnań. Mocno ścisnęła dłonie i modliła się w duchu o siłę.

- Czarny Sokole.

Powitała go skinieniem głowy, celowo używając pełnego imienia.

Powiedział kiedyś, że kochanki nazywają go: Sokół. Nośiła wprawdzie jego dziecko, ale nie byli już kochankami.

- Schwytałem człowieka, który cię pobił.

- Złapałeś go? - Z trudem opanowała drżenie; nie chciała okazać słabości.

- Tak. Nazywa się Walter Martin i jest teraz w rękach szeryfa.

- To dobrze. Dziękuję, So... Czarny Sokole.

Zauważyła, że oczy mu pociemniały, gdy dostrzegł jej pomyłkę.

Nie dał jednak po sobie poznać, czy te próby zachowania dystansu go dotknęły. Jego kamienna twarz drażniła dziewczynę.

- Dla ciebie, Elizabeth, znalazłbym go nawet w piekle.

- Dziękuję, że wpadłeś, żeby mi o tym powiedzieć. Teraz, kiedy wiem, że jest za kratami, czuję się o wiele bezpieczniej.

Sokół podszedł jeszcze bliżej. Elizabeth zacisnęła kurczowo dłonie na brzegach prześcieradła i modliła się, żeby jej nie dotknął. Wiedziała, że jeśli to zrobi, cała siła i zdecydowanie pierzchną. Podszedł tak blisko, że dostrzegła wokół jego oczu zmarszczki zmęczenia, i zatrzymał się nagle.

- Szybko dochodzisz do zdrowia, Elizabeth.

- Tak.

- Jesteś silna. To dobrze.

- Tak, jestem silna. - Bezwiednie położyła dłoń na brzuchu. - Zostaw mnie teraz samą.

- Zaopiekowałaś się mną kiedyś, Elizabeth, teraz ja chciałbym zaopiekować się tobą.
- Nie potrzebuję cię.
- Ale ja potrzebuję ciebie.
- Przykro mi, ale nie jestem dość silna, żeby unieść czyjeś uczucia, wystarczą mi własne. Chcę z tego wyjść i jakoś uporać się z życiem.

Oczy Indianina były bardzo ciemne, kiedy szybkim ruchem pochylił się nad dziewczyną i ujął jej twarz w dłonie.

- Nasze życia są złączone, Elizabeth.
- Nie - szepnęła, choć serce mówiło jej coś innego.

Pocałował ją tak czule, że niemal chciała zmienić zdanie.

Przypomniała sobie jednak bolesne przeżycia z przeszłości i odwróciła głowę.

- Odejdź, proszę.
- Jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, odejdę. Ale wróć. Wróć, kiedy wyzdrowiejesz, Elizabeth, obiecuję.

Drzwi się zamknęły, a ona wbiła wzrok w ścianę. Sokół powiedział kiedyś, że rządzą nim namiętności. Czy przyrzekałby tak gorąco, gdyby wiedział o dziecku?

Sokół odesłał brata do domu i sam objął wartę u drzwi. Nawet jeśli człowiek, który napadł na Elizabeth, znajdował się teraz w więzieniu, Indianin chciał mieć pewność, że dziewczyna jest zupełnie bezpieczna. Nie tylko ona, ale i dziecko -jego dziecko!

- Nie możesz tu tkwić całą dobę- zaprotestował Żelazny Sokół.

- Wyjdę tylko na spotkanie z ministrem. Daj mi znać, kiedy przyjedzie, a potem sam przyjdź, żeby mnie zmienić. I nie kłóć się ze mną!

Chłopak miał właśnie ten zamiar, jednak ugryzł się w język i usłuchał prośby brata. A raczej polecenia. Sokół nigdy nie prosił, on wydawał rozkazy.

Kiedy młodszy brat wyszedł, Czarny Sokół usiadł na krześle i zaczął obserwować korytarz.

Elizabeth szybko dochodziła do zdrowia. Tak twierdził lekarz, a także wszystkie pielęgniarki, które się nią opiekowa-

ły. Zawiadamiały Sokoła, gdy zasypiała, a wtedy wślizgiwał się do pokoju i siadał przy łóżku dziewczyny. Czasem trzymał ją za rękę, czasem głąskał leciutko po twarzy.

Spała - jak zawsze - kamiennym snem. Nie wiedziała, że przez cały czas ma przy sobie własnego anioła stróża, jakkolwiek Sokół nigdy się za niego nie uważał. Wiedział tylko, że musi strzec kobiety, którą kocha. Musiał ją ochraniać i zasłużyć na zaufanie.

Zbliżał się dzień wyjścia Elizabeth ze szpitala. Sokół rozmawiał na korytarzu z Gladys:

- Jesteś dobrą przyjaciółką, Gladys.

- Ty też, Czarny. Cieszę się, że mogliśmy się poznać, choć żałuję, że w tak przykrych okolicznościach. Nie mam pojęcia, dlaczego Elizabeth nie chce się z tobą widzieć.

- Mówi czasem o mnie?

- Nie. Zupełnie tego nie rozumiem. Opowiedziałam jej o wszystkich moich ukochanych, ale ona zachowuje się, jakbyś w ogóle nie istniał.

-Jest bardzo dumna - mówiąc to, Sokół sam nie mógł ukryć dumy.

- Myślę, że sama robi sobie na złość.

- Nie. Ona jest silna. Zawsze była silna.

- Dzięki Bogu. W przeciwnym razie musiałyby spędzić tu znacznie więcej czasu.

- Odwieszysz ją jutro do domu?

- Tak. Obiecałam ci to i mam zamiar dotrzymać słowa, nawet gdybym musiała ją związać i przemocą zaciągnąć do samochodu. Upiera się, że da sobie radę sama, ale powiedziałam jej, że to nie ma sensu. - Gladys poklepała Sokoła po ręce. - Nie martw się, przywiozę Elizabeth zdrową i całą. Nie powiem jej, co zamierzasz.

Późną nocą, kiedy Elizabeth już spała, Sokół wszedł do pokoju. Przez chwilę stał w drzwiach, obserwując ukochaną. Jej skóra odzyskała dawną karnację, a sińce niemal zniknęły.

Podszedł bliżej i pochylił się nad łóżkiem. Przesunął palcem wzdłuż jej ciała, od piersi do uda.

- Jesteś kobietą z ognia, Elizabeth McCade - wyszeptał.

Położył się obok dziewczyny i objął ją mocno. Westchnęła miękko i otoczyła go ramionami.

- Sokół? - wymamrotała przez sen, przytulając mocno policzek do jego szyi.

- Jesteś moją dziewczyną. Moją.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Elizabeth obudziła się w środku nocy z przekonaniem, że nie jest sama. Na moment ogarnęła ją panika. Nie podnosząc głowy, wysunęła ostrożnie rękę spod kołdry i sięgnęła w stronę nocnego stolika. Kiedy trzymała w dłoni chłodną kolbę pistoletu, poczuła się bezpieczna.

Szybkim ruchem usiadła na łóżku i wymierzyła broń w ciemność.

- Nie ruszaj się, bo strzelam! - zawołała.
- Nic ci nie grozi, Elizabeth. Nikt cię nie skrzywdzi.

Jej oczy przywykły do ciemności i odnalazły właściciela głosu.

Siedział na krześle po przeciwnej stronie pokoju. Zapaliła światło i odłożyła broń.

- Co robisz w mojej sypialni, Sokole?
- Czuwam przy tobie.

Dostrzegła nagły błysk w oczach ukochanego. Zdała sobie sprawę, że ma na sobie skąpą koszulkę z czerwonej koralonki i szybko nakryła się aż pod brodę. .

- Nie potrzebuję cię tutaj i nie chcę. Wyjdź, proszę.
- Twoje ciało mówi, że chcesz, abym został.
- Idź do diabła, Sokole.

Wstał i podszedł do jej łóżka.

- Nie zbliżaj się do mnie - powiedziała Elizabeth, unosząc rękę. - Nie dotykaj mnie, proszę. Nie potrafisz być silna, kiedy mnie dotykasz.

Nie posłuchał jej.

- Każdej nocy dotykam cię, kiedy śpisz.

Zadrżała, ale nie ze strachu. Na myśl o dłoniach Sokola błędzących po jej ciele zapomniała o przeszłości, o dziecku, o wszystkim poza płonąca w niej namiętnością.

- Od kiedy tu jesteś? - zapytała w końcu.

- Odkąd wróciłaś ze szpitala. Przychodzę tu każdej nocy od dwóch tygodni, Elizabeth.

- Dlaczego? Przecież nic mi nie grozi. Schwytałeś człowieka, który na mnie napadł.

Sokół usiadł na brzegu łóżka. Przywarł biodrem do jej uda i poczuła ciepło silnego męskiego ciała. Odsunęła się trochę.

- Tak, schwytałem go. Nie skrzywdzi cię już więcej, obiecuję.

- Dlaczego więc tu jesteś? Trzymam się z dala od twojego życia i łóżka, pamiętasz?

- Nigdy nie opuścisz mojego życia, Elizabeth, nosisz moje dziecko.

Wstrzymała oddech.

- Skąd o tym wiesz?

- Lekarze w szpitalu mi powiedzieli. - Pochylił nad nią wzburzoną twarz. - Czy chciałaś ukryć to przede mną?

- To moje ciało i moje dziecko.

- To nasze dziecko - powiedział łagodnie. - Czekałem, aż wyzdrowiejesz, żeby z tobą porozmawiać. Miałem zamiar odłożyć to do rana, ale skoro już się obudziłaś...

Uśmiechnął się i Elizabeth poczuła, że mięknie jej serce.

Kiedy Sokół się uśmiechnął, wydawało się, że cały świat się uśmiecha. Tylko... to nie był już jej Sokół. Przygryzła mocno wargę.

Pobierzemy się. Odbuduję dom, a ty pomożesz go urządzić. Będzie tam specjalny pokój dla dziecka. I mnóstwo miejsca dla następnych, które urodzą się po nim. -

- Po nim? Po nim! - Elizabeth próbowała zapanować nad furią w głosie. Wyrwała się z rąk mężczyzny i odsunęła na drugi koniec łóżka. - Jak zwykle znów wydajesz polecenia!

Wzrok Sokola błędził po jej ciele. Przykryła się po szyję i wpatrywała w ukochanego.

- Według ciebie wystarczy, jak stwierdzisz, że to chło-

piec, a Pan Bóg usiądzie i posłucha. Myślisz, że jeśli tylko wspomnisz o małżeństwie, ja od razu, co tchu, pobiegnę do ołtarza. Otóż bardzo się mylisz. Sama potrafię ułożyć sobie życie i jeśli kiedykolwiek wyjdę za mąż, będę miała po temu poważne powody. Z pewnością nie dlatego, że jakiś indiański wojownik chce mieć syna.

- Elizabeth...

Przysunął się i wziął ją w ramiona. Wiedziała, że opór nie ma sensu. Obojętnie, co przyniesie przyszłość, zawsze będzie go pragnęła, gotowa odpowiedzieć na najłżejsze dotknięcie.

-To nie jest tak. - Sokół ujął jej twarz w dłonie, zmuszając dziewczynę, żeby na niego spojrzała. - Kocham cię, Elizabeth, i bardzo pragnę.

-Nie - szepnęła, gdy ręce ukochanego ześliznęły się wzdłuż jej ramion. - Mówisz tak z powodu...

Pochylił się i musnął ustami jej piersi.

- ...z powodu dziecka.

Kołdra zaszeleściła, kiedy przechylił się, żeby zgasić światło.

- Nie mogę... Nie... - szeptała, kiedy zaczął powoli wodzić ustami po jej ciele. - Sokole... Sokole...

Tylko on mógł sprawić, że Elizabeth przestała nagle panować nad sobą, a tygodnie oczekiwania wzmocniły jeszcze jej pragnienie.

Złączyli się w gorącym uścisku.

Kochali się jak dawniej, z prostotą i mocą. Jednak teraz ich miłosnej fascynacji towarzyszyły jeszcze czułość i przywiązanie, które zdominowały namiętność.

Tymczasem mrok się przeredził i pokój rozświetliła bladoróżowa poświata. Kiedy nadeszło spełnienie, wykrzyknęły nawzajem swoje imiona. Później Sokół trzymał ukochaną w ramionach i gładził jej włosy, cicho powtarzając:

- Kocham cię, kocham cię, kocham...

Elizabeth rozpaczliwie pragnęła w to uwierzyć, ale w przeszłości otrzymała bardzo bolesną lekcję. Wiedziała też, że Sokół jest wojownikiem. Poświęcił swoje życie tylko jednej

sprawie: walce o dobro swojego plemienia. Wiedziała o tym od samego początku.

Tylko że teraz... z dzieckiem Sokoła, które rosło w jej łonie, o wiele trudniej było się z tym pogodzić. Elizabeth przesunęła dłonią po nagich plecach kochanka. Nie zmarnuje ostatnich godzin, bowiem już nigdy się nie powtórzą. Nie wolno jej do tego dopuścić. Musi uzbroić się w siłę.

Usnęli spleceni uściskiem. Elizabeth pozwoliła sobie na tę ostatnią przyjemność, wiedząc, że wkrótce nadejdzie ranek.

Kiedy wstała, czekał już na nią na dole.

- Zrobiłem ci śniadanie.

- Nie, dziękuję. Rano sam zapach jedzenia przyprawia mnie o mdłości.

- Przepraszam, nie pomyślałem o tym. Chyba nie przyzwyczałem się jeszcze do roli przyszłego ojca:

Elizabeth zdziwiła się, jak łatwo przyszedł mu te słowa.

Właściwie wyglądał nawet jak zadowolony przyszły ojciec, kiedy tak stał w kuchni, z patelnią jajeczniczy w ręku. Ale ona przecież wiedziała lepiej. Zmusiła się, żeby być realistką.

- Czarny Sokole, co do zeszłej nocy, to...

Zastygł w napięciu, kiedy usłyszał, jak wymawia jego imię.

- Tak - powiedział szybko. - Co do ostatniej nocy... - Odstawił patelnię i podszedł do dziewczyny. Nie dotknął jej, wiedząc, że na to nie pozwoli. - Kocham cię, Elizabeth.

- Nie musisz mi tego mówić tylko dlatego, że jestem w ciąży. Potrafię stawić czoło rzeczywistości.

- To, co przeżyliśmy ostatniej nocy, to była...

- ...wyłącznie namiętność - przerwała mu. - To jeszcze jedno bardzo piękne pożegnanie.

Chwycił ją za ramiona i odwrócił twarzą do siebie.

- Elizabeth, nie jestem zaślepiony namiętnością- Chciałbym, żebyś mi zaufała i uwierzyła, że cię kocham.

- Słuchaj, Sokole, dziecko jest twoje i co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Nie będę samolubna, pozwolę ci go widywać... albo ją. Ale nie chcę żadnych nierealnych dekla-

racji wierności, których nie możesz dotrzymać i nie dotrzymasz. To nie byłoby w porządku ani wobec mnie, ani wobec ciebie.

- To nie są fałszywe deklaracje..Nie powiedziałem tego tylko z powodu mojego syna.

- Chciałabym ci wierzyć, Sokole, ale nie mogę.

Zauważył, że znów użyła zdrobniałego imienia i to dodało mi odwagi. Przygarnął ukochaną do siebie, aż oparła mu głowę na ramieniu.

- Moja kochana, uparta Elizabeth. Udowodnię, że cię kocham.

- To się nie uda.

- Dlaczego?

- Dostałam okrutną nauczkę, Sokole, a kobieta nigdy nie zapomina ciężkich chwil i bolesnych doświadczeń. - Podniosła na niego wzrok. - Znam cię dobrze. Masz walkę we krwi. Ten spór o ziemię wkrótce się zakończy, ale przyjdą nowe. Znowu pochłoną cię jakieś ważne sprawy i będziesz musiał stawić czoło następnym problemom.

Wyswobodziła się z jego ramion, odsunęła o krok i spojrzała na kochanka.

- Nie chcę, żebyś przeze mnie zaniedbał swoje obowiązki i przyglądał się z bezpiecznej odległości, jak inni podejmują za ciebie ryzyko.

- Pozwól, Elizabeth, że sam dokonam wyboru.

- No właśnie. Ale poczęcie dziecka nie było twoim wyborem. - Odwróciła się plecami, żeby nie zobaczył łez, które załśniły jej w oczach.

- Wybrałem ciebie. Poczęcie dziecka zawsze jest możliwe, kiedy w grę wchodzi namiętność, szczególnie jeśli to taka namiętność jak nasza.

Elizabeth poznała z jego głosu, że się uśmiecha, ale nie zrobiło to na niej wrażenia.

- Kocham cię, Elizabeth - dodał miękko.

Odwróciła się i spojrzała mu w twarz.

- Od kiedy mnie kochasz, Sokole?

- Pewnie już od chwili, kiedy spotkałem cię w piwnicy z pistoletem wymierzonym przeciw nieznanemu intruzowi.

- Od kiedy? - Wysunęła do przodu podbródek, gotowa przeciwstawić się kłamstwu.

- Zdałem sobie sprawę z tego, że cię kocham, gdy przyjechałaś na barykadę, w dniu, kiedy wybuchła strzelanina.

- Ale czekałeś aż do tej chwili... kiedy dowiedziałeś się o dziecku i musiałeś na to jakoś zareagować.

Sokół zaczął coś wyjaśniać, ale przerwała mu, podnosząc dłoń.

- Nie mów, proszę, nic, co mogłoby być kłopotliwe dla nas obojga. Wiem, co robię. Nie pasuję do twojego życia, nigdy nie pasowałam i teraz też nie. Jesteś wojownikiem, a nie ojcem rodziny.

- Elizabeth, będę o ciebie walczył, ale muszę poznać przeciwnika. Jakaż to straszna rzecz przydarzyła ci się w przeszłości i teraz przeszkadza mi kochać?

- Daj spokój, Sokole.

- Nie mogę. I nie dam za wygraną. Spójrz na mnie. - Uniósł jej twarz. - Czy nie rozumiesz, że nie mógłbym cię skrzywdzić? Czy myślisz, że mógłbym cię opuścić? - Łagodnie pogładził jej ściągniętą twarz. - Powiedz mi, o co chodzi. Zaufaj mi, Elizabeth.

- Nie mogę. - Odwróciła się od niego i chwyciła torebkę. - Wychodzę. Nie chcę, żebyś tu był, kiedy wrócę z pracy. Pozwolę ci widywać dziecko, Sokole, ale nie masz już wstępu do mojej sypialni.

Patrzył, jak odjeżdża, a potem spokojnie posprzątał w kuchni. Nie spodziewał się takiego oporu z jej strony. Kiedy dobrze się zastanowił, gotów był nawet przyznać Elizabeth rację, iż zdecydował się na małżeństwo z powodu dziecka. Wiedział jednak, że to nieprawda. Być może dziecko ostatecznie o tym zadecydowało. Albo też napaść na Elizabeth uświadomiła mu, ile dziewczyna dla niego znaczy. Obojętne, co było przyczyną, Sokół wiedział, że nie zdoła dalej żyć bez tej kobiety. Musiał teraz zastanowić się, jak przekonać ją o swojej miłości.

Kiedy kuchnia była już posprzątana, wrócił do sypialni i usiadł na krześle przy oknie, żeby spokojnie pomyśleć. Egzotyczny zapach Elizabeth unosił się w powietrzu, a cały pokój przesycony był jej obecnością.

- Elizabeth, dlaczego mnie nie chcesz? - powiedział na głos, pogrążony w głębokim smutku. Jego wzrok spoczął na okładce dziennika, który leżał na nocnym stoliku.

Podszedł i wziął do ręki notatki dziewczyny. Co przeżyła w przeszłości? Jakie złe doświadczenia spowodowały, że nie chciała nawet myśleć o ich wspólnym życiu?

Obrócił pamiętnik w dłoniach. Czuł wielką pokusę, żeby go przeczytać. Może wtedy mógłby lepiej zrozumieć Elizabeth i pozyskać jej miłość.

Odłożył dziennik - nie mógł w ten sposób pogwałcić czyjejś prywatności. Należało zrobić tylko jedno: odnaleźć mężczyznę, którego kiedyś kochała. Tylko w ten sposób mógł dowiedzieć się prawdy.

Elizabeth wróciła do domu z przeświadczeniem, że nie zostanie tam Sokoła. Wszędzie czuło się przeraźliwą pustkę, która odbijała się echem w sercu dziewczyny.

- O, gdyby to była prawdziwa miłość - westchnęła, wchodząc na górę.

Była bardziej zmęczona niż zwykle. Sądziła, że to z powodu ciąży i niedawnego pobytu w szpitalu, który nadwreżył jej siły. A może złamane serce było przyczyną braku energii? Czy można umrzeć z powodu złamanego serca?

Weszła do sypialni, zdjęła żakiet i spódnice. Wyciągnęła się na łóżku i zobaczyła na nocnym stoliku karteczkę.

Obiecuję, że wrócę. Sokół

Przycisnęła papier do ust, złożyła starannie i wsunęła między kartki dziennika. Myślała o tym, iż wszystkie ważne wydarzenia jej życia znajdują tam swój koniec. W obecnym stanie ducha była przekonana, że to prawda.

* * *

Sokół miał szczęście, gdyż Mark Laton wciąż jeszcze pracował w Yale i wyraził zgodę na spotkanie.

W czasie długiego lotu na północ Indianin próbował wyobrazić sobie tego człowieka i własne uczucia, gdy stanie twarzą w twarz z tamtym. To przecież Laton nauczył Elizabeth sztuki miłości.

- Źle się pan czuje? - zapytała stewardesa.

- Nie, nie. Wszystko w porządku. - Sokół wyciągnął się wygodnie w fotelu i nadał swej twarzy rozluźniony wyraz.

- To dobrze. Pragniemy, aby nasi pasażerowie dobrze się czuli na pokładzie samolotu. Życzę miłego lotu.

Stewardesa uśmiechnęła się grzecznie. Na tabliczce wypisane miała imię „Maggie”.

Jedyną miłą rzeczą było to, że zbliżał się do celu podróży. Wolałby jednak odbyć ją konno. Przecisnął się przez tłum na nowojorskim lotnisku, wynajął samochód i pojechał do New Haven.

Mark Laton czekał już w umówionym miejscu, naprzeciw najeżonej wieżami neogotyckiej budowli, na Placu Pamięci w Yale. Mimo że jesienne powietrze było tu znacznie chłodniejsze niż w Missisipi, Czarny Sokół wolał spotkać się z przeciwnikiem na otwartej przestrzeni; miał nadzieję, że dzięki temu poczuje się swobodniej.

Mark Laton był niższy, niż Sokół sobie wyobrażał, i o wiele starszy. Co Elizabeth widziała w tym mężczyźnie? Dłonie zwinęły mu się bezwiednie w pięści, ale zdołał się opanować.

Nie mógł sobie pozwolić na emocje, sprawa była zbyt poważna.

- Dzień dobry, profesorze Laton.

Sokół usiadł na ławce, nie podawszy mężczyźnie ręki. Mógł posłużyć się podstępem, żeby uzyskać interesujące go informacje, ale nie był hipokrytą.

- Dzień dobry, profesorze Czarny Sokole.

- Tylko: Czarny Sokole.

- Czuję się zaszczycony, że przyjechał pan aż z Missisipi, żeby ze mną porozmawiać.

- Pański artykuł o Boecjuszu jest bardzo znany. Każdy student literatury powinien go przeczytać.

- Ma pan rację. O pocieszeniu, jakie daje filozofia Boecjusza nie straciło nic ze swojej aktualności.

Ten człowiek był zarozumiały i łasy na pochlebstwa. Im szybciej Sokół załatwi swoją sprawę, tym lepiej. Wstał, żeby mówić nad profesorem.

- Od czasu do czasu każdy spotyka się z przeciwnościami. - Sokół pozwolił, żeby Mark Laton nabrał pewności siebie i wtedy zadał cios. - Niech mi pan opowie o znajomości z Elizabeth McCade.

Laton odrzucił do tyłu głowę, jakby go spoliczkowano. Oczy mu się zwężyły.

- Jeszcze jeden cholerny dziennikarz?

- Nie. To sprawa osobista. Nazywam się Czarny Sokół i oczekuję od pana odpowiedzi.

- Ale... Powiedział pan, że jest nauczycielem literatury.

- To pan tak myślał. Tylko mimochodem wspomniałem o literaturze.

- Jest pan pozbawiony skrupułów.

Mark Laton wstał i zbierał się do odejścia, ale Sokół chwycił go za kołnierz. Mark wyglądał teraz jak robak nadziany na haczyk.,

- Jestem zdenerwowany - powiedział Indianin - i jeśli nie otrzymam odpowiedzi, nie ręczę za siebie.

- Proszę mnie puścić.

- Pod warunkiem, że zacznie pan mówić.

Mark zmierzył wzrokiem Indianina i przestał stawiać opór.

- Co chce pan wiedzieć?

- Wszystko.

Laton opadł na ławkę i zaczął opowiadać o tym, jak uwiódł najzdolniejszą studentkę na roku. Czarny Sokół z trudem zachował spokój, słuchając opowieści o tym, jak Mark uczył Elizabeth sztuki kochania. Widział jego twarz niewyraźnie, przez czerwoną mgłę gniewu.

Laton zerkał od czasu do czasu na przeciwnika, żeby zorientować się, co go czeka.

- Dość! - Głos Indianina zabrzmiał jak rozkaz. - Proszę powiedzieć, dlaczego wyjechała.

- Ponieważ nie mogłem się z nią ożenić. - Mark wypiął pierś i zmienił temat. - Wie pan, kochała mnie.

- A pan ją kochał?

- Nie.

Sokół schwycił Marka za przód koszuli i przyciągnął do siebie.

- Kłamiesz! Żaden mężczyzna, który był z Elizabeth, nie mógł nie zakochać się w niej. - Indianin z trudem zapanował nad sobą. - Elizabeth powiedziała, że chciała cię kiedyś zabić. Jeśli nie powiesz mi prawdy, sam to zrobię.

- To było dawno...

Sokół czekał; czuł, że Laton zdecydował się w końcu powiedzieć prawdę.

- Któregoś dnia przyszła do mnie po wykładzie. Była nienaturalnie podniecona. Policzki miała koloru róż, które pną się w altance przed budynkiem. Odczekała, aż wszyscy studenci wyjdą i usiadła w pierwszym rzędzie, naprzeciw katedry. Pamiętam, jak niewinnie i dziewiczo wtedy wyglądała. Zapraǳnąłem jej bardziej niż jakiegokolwiek kobiety w moim życiu.

Sokół siedział nieruchomo. „Nie wolno ci pozwolić, żeby opanowały cię uczucia - mówił do siebie w duchu. - Nie teraz, kiedy prawda jest w zasięgu ręki.”

- Powiedziała mi, że spodziewa się dziecka. - Mark zrobił przerwę na głęboki oddech, załamując nerwowo ręce. Kiedy opowiadał, dawne grzechy znów stanęły przed nim jak żywe i poczuł się bardzo stary. - Ogarnęła mnie panika - ciągnął. - Otworzyłem szufladę biurka i wyciągnąłem obrączkę. „Jak mogę się z tobą ożenić? - zapytałem. - Jestem już żonaty.” Zbladła i myślałem, że zemdleje. Było mi jej żal, ale wiedziałem, że nic nie mogę zrobić. W grę wchodziła przecież moja praca i całe moje życie. „Musiałś wiedzieć - powiedziałem. - Nie mogłaś być aż tak naiwna.” Ale ona nie

miała pojęcia, że jestem żonaty. - Głos mu się załamał i umilkł.

- Co dalej? - rzucił Sokół głosem podobnym do świstu bata.

- Myślę, że tak naprawdę to... kochałem Elizabeth. Przez chwilę nawet pomyślałem, żeby z nią uciec; rzucić pracę, rozwieść się z żoną i zacząć nowe życie - westchnął. - Nie miałem odwagi. Zamiast to zrobić, wyśmiałem ją. „Popelniłaś dwa straszne błędy - powiedziałem. - Pierwszy, gdy mi zaufałaś, a drugi, kiedy zaszłaś w ciążę.”

Nagle ramiona mu opadły, usiadł i wbił wzrok w przestrzeń.

- Co wtedy zrobiła? - dopytywał się Sokół.

- Została na uczelni, ale przestała chodzić na moje wykłady. Rzecz jasna, ja też unikałem spotkań. Po tym wszystkim nie mogłem już sobie pozwolić na kontynuowanie tego związku.

Sokół powstrzymał się od komentarza. Cokolwiek by powiedział, nie mogło to być dostateczną karą dla tego człowieka.

- Myślę, że skończyła studia. Mówiono o niej na wydziale. Podobno stała się kompletnym odludkiem - dodał Mark.

- A co się stało z dzieckiem?

- Nie wiem.

- Nosila twoje dziecko i nie wiesz, co się z nim stało?

- To nie była moja sprawa. Dałem jej to wyraźnie do zrozumienia.

- Nie zasługujesz nawet na to, żeby cię zabić. - Sokół wstał i spojrzał z góry na przeciwnika. - Myślę, że wyrzuty sumienia nigdy cię nie opuszczą i będą dla ciebie najcięższą karą.

Mark spojrzał na Sokoła, a jego twarz rozjaśniła się nagle.

- Nie ma pan pojęcia, jaka to ulga móc wreszcie komuś o tym opowiedzieć. Ciężko mi to przez te wszystkie lata. - Wstał i spojrzał na Sokoła - nareszcie jak mężczyzna. Jego pochylone ramiona uniosły się lekko. - Zachowa pan tajemnicę?

- Wszystko pozostanie między Elizabeth, panem i mną.

- Kiedy zobaczy się pan z nią, proszę jej powiedzieć, że żałuję.

Sokół wolałby nie mówić Elizabeth o spotkaniu z Markiem, nie chciał nawet, żeby pamiętała o jego istnieniu. Rozsądek jednak mówił mu, że nie będzie mogła zapomnieć, jeśli nie przebaczy.

-Może powinien pan sam jej to powiedzieć.

-Pewnie ma pan rację.

Twarz Latona odzyskała normalny kolor i Sokół dostrzegł w niej cień godności, która musiała kiedyś zrobić wrażenie na Elizabeth.

-Myślę, że nie ma sensu, żebym podawał panu rękę.

-Nie. Między nami nic się nie zmieniło.

-Chciałbym pana o coś zapytać. Co pana łączy z Elizabeth?

Kocham ją. Będę jej strzegł i kochał ją do końca moich dni. A kiedy pogodzi się z przeszłością, poślubię ją.

Elizabeth była zaskoczona tym, że Sokół tak łatwo usunął się z jej życia. Nie widziała go już prawie od tygodnia. Powróciły do niej myśli o przeszłości, o poprzedniej ciąży, o innym mężczyźnie, który ją opuścił.

- Nie - powiedziała do siebie, wchodząc do domu i stawiając torebkę na stoliku w przedpokoju - to nie w porządku. Przecież Sokół to całkiem inny człowiek niż Mark Laton.

Powoli zdejmowała żakiet. Wydawać się mogło, że tylko spokojne i metodyczne wykonywanie codziennych czynności pozwoli jej zachować spokój. Jeśli mogłaby wypełnić czymś życie, może zdołałaby wziąć się w garść. Dotknęła włosów i wpięła spinkę. Jakiś kosmyk wymknął się niesforne, a nie znosiła luźnych kosmyków.

- Wyjmij spinki, Elizabeth. Lubię cię z rozpuszczonymi włosami.

Na dźwięk tego głosu aż podskoczyła i odwróciła się - Sokół stał oparty o futrynę drzwi do saloniku, jak zwykle zabójczo przystojny.

- Co tu robisz?

Nagle wziął ją na ręce i zniósł do piwnicy. Po chwili znaleźli się w tunelu. Elizabeth słyszała, jak bije jej serce. Walczyła z sobą. Głos rozsądku nakazywał zaprotestować, ale serce mówiło co innego.

Gdy dotarli do wyjścia, delikatnie postawił ją na ziemi. Czarny koń czekał posłusznie, Indianin wskoczył mu na grzbiet, posadził dziewczynę przed sobą i okrył kocem, który miał przytroczony do siodła. Wiatr gwizdał w uszach Elizabeth, kiedy pogalopowali przez las.

Sokół brał ją w niewolę. Nie wiedziała, dokąd ją wiezie, i nie myślała o tym. Wiedziała w tej chwili tylko jedno: należą do siebie. I jeśli nawet okazała teraz słabość, to przecież była tylko kobietą. Jutro będzie silna, obiecała sobie.

Jechali długo po wysokich wzgórzach, przez lasy, które jesień pomalowała złotem i szkarłatem. Tuląc się do piersi ukochanego, Elizabeth czuła spokojne bicie jego serca i było jej dobrze.

Kiedy dotarli do najwyższego punktu nad doliną, Sokół zeskoczył z konia i pomógł zsiąść dziewczynie. Przyciągnął ją do siebie.

Elizabeth ledwo mogła oddychać. W oczach kochanka widziała z trudem powstrzymywane pragnienie. Jeszcze chwila i Sokół rozłoży swój koc pośród skał, a ona... Czy zdoła mu się oprzeć? Czy teraz, kiedy pozwoliła się przywieźć Bóg raczy wiedzieć dokąd, zdoła się opanować? Przygryzła dolną wargę.

Sokół ujął jej twarz w dłonie i uniósł lekko, tak że ich wargi niemal się stykały.

- Pragnę cię bardziej niż kiedykolwiek innej kobiety. Teraz, na tym urwisku, rozpaczliwie pragnę miłości, którą tylko ty możesz dać. Tylko ty, Elizabeth.

Z czułością dotykał jej policzków i ust. Westchnęła i spróbowała się odsunąć.

Chciałbym rozłożyć koc na ziemi i kochać się z tobą, póki oboje nie będziemy krzyczyć z rozkoszy. - Zaciśnął mocniej dłonie.

Nie - wyszeptwała.

- Tak, bo jesteś moja, Elizabeth. Jeśli trzeba, pójdę za tobą aż na koniec świata, ale będę cię miał... na zawsze.

- Proszę, Sokole...

Przyciągnął ją do siebie i obrócił.

- Co widzisz, Elizabeth?

- Widzę wielki las, nie tknięty ludzką ręką.

- Widzisz swoją przyszłość.

- Gdzie jesteśmy?

- W samym środku ziemi Chickasawów. - Przez chwilę tulił ją w milczeniu. - Chcę, żebyś pozostała na zawsze w moim życiu, Elizabeth. Chcę, żeby to była także twoja ziemia. Jesteś moja i chcę, żebyś została moją żoną.

- Dziecko...

- Być może, że to ono otworzyło mi oczy - przerwał jej - ale nie ma nic wspólnego z moją miłością i pragnieniem spędzenia z tobą reszty mojego życia.

- Nie mogę. - Odwróciła się ze łzami w oczach. - Och, Sokole, nie mogę. Czy nic nie rozumiesz? Teraz cieszysz się z perspektywy zostania ojcem i wydaje ci się, że chcesz tego małżeństwa, ale...

- Chcę.

- Znam cię, Sokole, może lepiej niż ktokolwiek, i wiem, że kierujesz się emocjami. - Znów spojrzała w porośniętą lasem przestrzeń. - Zawsze będą jakieś ważne sprawy, które pochłoną cię bez reszty, i spory, w których będziesz musiał wziąć udział. Bez tego wszystkiego nie będziesz sobą, Sokole. - Spojrzała mu w twarz. - Nie chcę cię ograniczać.

Znów ujął jej twarz w dłonie.

- Zmienię swoje życie.

- Nie... Może w tej chwili w to wierzysz, ale nie zrobisz tego.

Dotknęła palcem jego ust, ale szybko cofnęła rękę. Tym razem postanowiła oprzeć się pokusie.

- Dużo mi dałeś, Sokole: cudowne lato miłości, odwagę, żeby włączyć się znów do życia, i nasze dziecko. - Urwała, przyciskając zaborczym gestem dłonie do brzucha. - Odtąd sama będę kierować moim życiem. Nie chcę uciekać i zamy-

kać się w domu na odludziu. I żaden nawet najwspanialszy mężczyzna na czarnym koniu nie będzie mi rozkazywał!

- Pragnę cię, Elizabeth. Potrzebuję cię i kocham.

- Nie wątpię, że mnie pragniesz, Sokole. Ale seks to jeszcze nie wszystko.

- Elizabeth...

- Słuchaj - poczuł, że jej dłonie zeszywniały nagle - raz zaufałam mężczyźnie. Nie mogę... Jeszcze nie potrafię zrobić tego po raz drugi.

Sokół odszedł o kilka kroków i stanął plecami do dziewczyny. Z całej jego postaci biła energia i godność. Na myśl o rozstaniu w Elizabeth coś zamierało.

- Zawsze musisz wszystkim rządzić, Sokole. Nie mogę pozwolić, żebyś kierował moim życiem. Bez względu na to, co do ciebie czuję.

- Co do mnie czujesz, Elizabeth?

Otuliła się mocniej kocem. Poczula nagle, jak październikowy chłód przeszywają aż do kości.

- Nigdy żadnego mężczyzny nie pragnęłam tak jak ciebie. Nocami marzę o twoich pocałunkach, o tym, że trzymasz mnie w ramionach i dotykasz. Tęsknię do ciebie, nawet jeśli rozsądek mówi: nie! - Wyciągnęła do niego rękę. - Kocham cię, Sokole.

- I dlatego chcesz wszystko między nami zniszczyć? - Sokół chwycił dziewczynę mocno za ramiona. - Nie pozwolę na to, Elizabeth.

- No widzisz? Właśnie o tym przed chwilą mówiłam. Zawsze chcesz o wszystkim decydować. - Stanowczym ruchem wyswobodziła się z uścisku. - Tak, raz już miłość zaważdała moim życiem. Ale to się nie powtórzy.

- Nie jestem Markiem Latonem! - W głosie Sokoła brzmiał gniew. - Nigdy nie porzucę cię tak, jak on to zrobił. Nigdy dotąd nie oszukałem cię ani nie zdradziłem.

Elizabeth wstrzymała oddech i zbladła.

- I nigdy nie wyrzeknę się mojego dziecka.

- Skąd wiesz?

Wziął ją za rękę.

- Powiedział mi.
- Widziałeś się z Markiem?
- Tak. Poleciałem, żeby się z nim spotkać.
- Nie miałaś prawa. - Wyrwała ręce i uderzyła go w pierś. - To moje prywatne sprawy, które nie mają z tobą nic wspólnego.
- Właśnie, że mają. - Przyciągnął dziewczynę do siebie i delikatnie przytulił. - Musiałem poznać przeciwnika, Elizabeth. Jak mogę zwyciężyć wroga, którego nie znam?
- To nie jest twój wróg, tylko mój.
- On żałuje. Prosił, żebym ci to powiedział.
- Żałuje? Żałuje! - Elizabeth pokręciła głową rozgoryczona. - Czy on w ogóle ma pojęcie, co ja przeżyłam? Żałuje!
- Ciii... To już się skończyło, kochana. To przeszłość, która nie powróci.

Elizabeth zadrżała. Przeszłość została poza nią. To był inny czas, inny mężczyzna, inne dziecko. Zaciśnęła palce na koszuli Czarnego Sokoła i zapytała:

- Nie chcesz wiedzieć, co się stało z dzieckiem?
- Chodziło mi tylko o ciebie. Musiałem wiedzieć, jak Mark Laton cię zranił, żebym mógł ci pomóc.
- Nie możesz naprawić krzywdy, którą mi wyrządził, Sokole. - Wysunęła się z jego objęć i odeszła na bok. - Byłam młoda, przerażona i samotna. Najpierw pomyślałam, żeby... pójść do jakiegoś lekarza, ale nie mogłam. To było przecież moje dziecko, ciało z mojego ciała. W końcu zdecydowałam się je urodzić. Wiele kobiet samotnie wychowuje dzieci. Wiedziałam, że jakoś sobie poradzę. - Otuliła się mocno deką i zwróciła do niego twarz. - Nigdy nie miałam okazji przekonać się, czy rzeczywiście dałabym radę. Poroziłam, zanim ktokolwiek zorientował się, że jestem ,w ciąży. A Mark nie musiał już się obawiać, że ktoś dowie się o jego nieślubnym dziecku.
- Przykro mi, Elizabeth. Chciałbym móc zamazać twoją przeszłość i wziąć na siebie cały ból.
- Ale nie możesz. Zawieź mnie, proszę, do domu.
- Przywiozłem cię tu, Elizabeth, nie bez powodu. Chcia-

łem, żebyśmy oboje znaleźli się na chwilę z dala od wspomnień. Chciałem, żebyś zobaczyła stąd ziemię moich przodków. Pragnąłem, żebyś wiedziała, jakie będzie dziedzictwo naszego dziecka.

- Pokażesz mu to, kiedy będzie już dostatecznie duże. Nie zabronię ci tego. - Ruszyła w kierunku konia. - Wracam. Możesz zostać, jeśli chcesz.

- Nie pozwolę, żeby moje dziecko rosło bez ojca i bez poczucia rodzinnej więzi.

- W jaki sposób masz zamiar zaprowadzić mnie do ołtarza? Siłą?

- Jeśli trzeba będzie, to siłą.

Elizabeth poczuła, że znów ogarniają pożądanie. Czy kiedykolwiek przestanie pragnąć ojca jej dziecka? Wątpiła w to - nawet gdyby miała żyć sto lat, zawsze będzie pragnęła Czarnego Sokoła, zawsze będzie tęskniła do jego objęć i pieszczot.

- Sokole... proszę-szepnęła.

Pochylił się i czule przesunął ustami po jej wargach.

- Pragnę więcej, Elizabeth, o wiele, wiele więcej, ale jestem gotów zaczekać. Będę czekał, dopóki mi nie zaufasz i nie uwierzysz w naszą wspólną przyszłość. - Wskoczył na konia i pomógł jej wsiąść. - Przyjdiesz do mnie, Elizabeth. Przez cały czas będziesz czuła moją obecność i będziesz wiedziała, że jesteś moja.

- Nie przyjdę.

Pomyślała, że się uśmiechnął, ale nie była pewna. Zapadał już zmrok, kiedy zjeżdżali w dół, a potem skierowali się do domu.

Tym razem Sokół nie zawiózł jej do ukrytego korytarza, tylko podjechał śmiało pod drzwi i wniósł ukochaną do środka.

Zanim ją puścił, zmusił Elizabeth, by na niego spojrzała.

- Wybrałem tę drogę, żeby ludzie zobaczyli nas razem. Niech nikt w okolicy nie śmie wątpić w to, że nosisz moje dziecko. Nie myśl, że pozwolę ci odejść, Elizabeth. Ilekroć spojrzysz, zobaczysz przed domem mojego konia.

- Ale nie zobaczą cię już więcej w mojej sypialni.

Myślała, że ją pocałuje. Przysunął się tak blisko, że zobaczyła światło w ciemnych oczach i poczuła na policzku ciepły oddech. Gdyby ją teraz pocałował, tu, w holu, który pamiętał ich wcześniejszą namiętność, nie zdołałaby się oprzeć.

Po chwili wypuścił ją z objęć i uśmiechając się otulił pledem.

- Zachowaj to. Chcę, żebyś okryła się nim, kiedy będziesz szła spać. - Skierował się ku drzwiom.

- Zaczekaj! - Elizabeth zrzuciła derkę, chcąc ją oddać, ale Sokół nie zatrzymał się już. Drżącą ręką upuściła koc; upadł na podłogę, błyskając tęczą barw. Zaczęła wchodzić po schodach, ale zawróciła w pół drogi i wzięła go z sobą.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Elizabeth spała pod kocem Sokoła. Rano, kiedy się obudziła, pierwsze jej spojrzenie padło na kolorowy indiański pled.

Przyciągnęła go bliżej - pachniał wełną, skórą siodła i sosnowym igliwem. Rozsiewał też jakąś nieokreśloną, męską woń, która przypominała jej Sokoła.

Wstała z łóżka, złożyła koc i schowała na najwyższej półce szafy. Nie mogła jednak wymazać z pamięci obrazu kochanka. Co robi teraz? Czy leży jeszcze w łóżku, wspaniały w swej nagości, czy też jest już na barykadzie, całkowicie pochłonięty walką?

Wyszła przed dom, żeby wyjąć ze skrzynki gazetę. Nagłówki zapowiadały przybycie ministra do spraw Indian. „Wódz Chickasawów Czarny Sokół spotka się dziś z Robertem Newtonem” - głosił tytuł napisany dużymi literami.

Wróciła do domu i usiadła przy kuchennym stole, żeby przeczytać artykuł.

Reporter dokładnie opisał długą historię sporów Sokoła z władzami miasta. Szczegółowo wymienił wszystkie zainicjowane przez niego prace, zamieścił też zdjęcie przetwórci odpadów, której projektodawcą był Sokół. W artykule znalazły się również wywiady z mieszkańcami miasteczka, którzy podkreślali, że to dzięki wystąpieniom Czarnego Sokoła nauczyli się dbać o otoczenie. Żelazny Sokół nazwał brata wojownikiem lat dziewięćdziesiątych i opowiadał o jego odwadze i poczuciu godności.

Elizabeth odłożyła gazetę. Sokół był taki, jak o nim mówiono.

Był także kimś więcej. Jak łatwo poddała się jego władzy i pozwoliła, żeby złamał jej serce.

Powtórzyła się historia z Markiem Latonem.

Dziewczyna nalewała sobie właśnie drugą filiżankę herbaty, kiedy zadzwonił telefon. Była to Gladys.

- Cześć! Mam zamiar spędzić tę piękną sobotę w miłym towarzystwie. Wybierzmy się razem po zakupy, a później zapraszam cię do „JP” na coś pysznego. Co ty na to?

Elizabeth miała już zamiar odmówić, ale po namyśle przyjęła zaproszenie. Nie chciała znowu stać się odludkiem.

Spędziły na zakupach prawie całe przedpołudnie, a potem usiadły na tarasie „JP” i zamówiły melbę. Kiedy Gladys delectowała się bitą śmietaną i czekoladą, Elizabeth postanowiła zdradzić jej swój sekret.

- Gladys, chciałabym ci coś powiedzieć.

- Mam nadzieję, że to coś ważnego. Ostatnio zrobiło się tak nudno, że trudno wytrzymać.

- Jestem w ciąży.

- Co takiego?

- Spodziewam się dziecka.

- Moje gratulacje. - Gladys przechyliła się przez stół i uściśniła dłoń Elizabeth. - W takim razie pewnie wkrótce ślub?

- Nie.

- Nie?

- Sama będę wychowywać dziecko. Czarny Sokół ma swoje życie, a ja swoje.

Gladys usiadła na krześle i twarz jej się ściągnęła.

- A co on o tym myśli?

- Mówi, że chce się ze mną ożenić.

- Mam wrażenie, że to rozsądny mężczyzna.

- Nie mogę go w ten sposób usidlić.

Gladys wzięła ją za rękę.

- Elizabeth, on cię kocha.

- Skąd wiesz?

- Spotkałam go, kiedy leżałaś w szpitalu. Czy wiesz, że cały czas czuwał pod twoimi drzwiami? Zawsze, kiedy spałaś, wchodził do pokoju, siadał przy łóżku i trzymał cię za rękę. Jak bardzo się o ciebie martwił!

- Nie powiedział mi o tym.

- Mnie też zabronił mówić.

- Zawsze wszystkim wydaje polecenia.

Gladys puściła dłoń przyjaciółki i usiadła wygodnie, a jej twarz przybrała wyraz skupienia.

- Pytał, czy czasem o nim mówisz.

Elizabeth nie odpowiedziała.

- Serce mu pękało. Chciał być z tobą szczerzy. Chciał, żebyś go potrzebowała i pragnęła.

- Pragnie dziecka, to wszystko.

- Jak możesz być taka pewna?

Elizabeth odwróciła twarz.

- A co będzie, jeśli się mylisz? - Gladys nie dawała za wygraną. - Pomyślałaś o tym? Odrzucasz przecież nie tylko wasze szczęście, ale także chcesz pozbawić dziecko ojca.

Włożyła do ust dużą łyżkę bitej śmietany z czekoladą i połknęła, milcząc surowo. Elizabeth bawiła się widelcem.

Elizabeth, nigdy nie kwestionowałam twojego zdania, ale tym razem wątpię, czy masz rację. Czarny Sokół jest dobrym, uczciwym i szlachetnym człowiekiem. Wierz mi, znam się na mężczyznach wystarczająco dobrze, żeby umieć to docenić.

- Temu nie przeczę.

- Posłuchaj - powiedziała Gladys miękko, kładąc rękę na dłoni Elizabeth - może trochę się zagalopowałam. To przecież twoja sprawa i wiesz, co robisz.

- Dziękuję, Gladys.

- Zawsze możesz na mnie liczyć. Chcę, żebyś o tym wiedziała. Pomogę ci zrobić wełniane skarpetki i czapeczki dla dziecka. Niech tam, zrobię ci nawet na drutach ubranko do chrztu. Chcę, żeby moja chrześnica była najładniej ubraną dziewczynką w Tombigbee. Już ją widzę: Sophie Gladys!

- Na pierwsze imię masz Sophie?
- Tak.
- Muszę cię rozczarować, ale to będzie chłopiec.
- Skąd wiesz?
- Sokół tak mówi.

Wieczorem Elizabeth rozebrała się i ułożyła do snu w chłodnej, białej pościeli. Spojrzała na puste miejsce obok siebie i westchnęła. A jeśli Gladys ma rację? Jeśli przekreśla szansę na szczęście?

Poleżała chwilę i wstała. Otworzyła szafę i zdjęła z górnej półki miękki koc Sokola. Wróciła do łóżka, okryła się nim i zasnęła.

Tak znalazł ją Sokół. Stał przy łóżku i podziwiał czarne włosy dziewczyny, lśniące jedwabście na tle skomplikowanego niebiesko-czerwono-żółtego wzoru.

Usiadł ostrożnie i odsunął brzeg koca. Elizabeth miała na sobie cieniutką białą piżamę, która miękko otulała jej ciało. Dotknął palcem piersi - było już widać pierwsze oznaki ciąży. Brodawki powiększyły się i przybrały blad różową barwę. Pochylił się i przywarł ustami do ciała ukochanej - nawet we śnie Elizabeth reagowała na jego dotyk. Sokół przesunął dłonią po brzuchu ukochanej, wyczuwając małą wypukłość, która była jego dzieckiem.

- Dlaczego jesteś taka uparta, Elizabeth? - szepnął, dotykając jej intymnych miejsc.

Uśmiechnęła się przez sen.

Sokół walczył z pokusą. Czuł, że Elizabeth nie odmówiłaby mu - jej namiętność była równie silna jak jego. Przycisnął znów usta do piersi ukochanej i pieścił ją delikatnie.

Kiedy już z trudem mógł nad sobą zapanować, podniósł się i okrył Elizabeth kocem.

- Słodkich snów, kochanie.

Poruszyła się, przeciągnęła leniwie, westchnęła i otworzyła oczy.

- Sokół?

- Cześć, Elizabeth.

Spojrzała na podświetloną tarczę budzika.

- Jest jedenasta, a ty mówisz tylko: Cześć, Elizabeth?

- Mogę powiedzieć więcej. - Usiadł przy niej. - I mogę zrobić więcej, jeśli chcesz.

- Po co przyszedłeś?

- Żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku i upewnić się, że leżysz już w łóżku i odpoczywasz.

- Daj spokój, Sokole. Chcę tego dziecka tak samo jak ty.

- Usiadła, okrywając się kocem. - Dlaczego nie zostałeś w domu? Jest późno i powinieneś odpocząć. Chyba jesteś zmęczony.

- Wracam właśnie ze spotkania z Robertem Newtonem i radą miejską.

- Jak poszło?

- Wygraliśmy, Elizabeth. Tombigbee nie zabierze nam ziemi, bez względu na to, jakie korzyści widziałyby w tym burmistrz.

- Cieszę się, Sokole.

- To już koniec, Elizabeth.

- Koniec jednego sporu. Będą inne.

- Tak, na pewno. - Podniósł jej dłoń do ust. - Dam sobie radę. Dzisiaj zdałem sobie sprawę, że moje życie było dotąd bardzo jednostronne. Kiedy zasiadłem w sali konferencyjnej z tymi wszystkimi dygnitarzami, zupełnie nie mogłem się skupić. Myślałem o tobie, leżącej tu, w łóżku, i zapragnąłem być z tobą, w tobie, dotykać cię i kochać. Byłem dotąd tak pochłonięty sprawami publicznymi, że fiie pamiętałem o najważniejszym: miłości, rodzinie, przyjaciółach.

- Zawsze umiałeś ładnie mówić, Sokole. I przekonująco. Uśmiechnął się do niej.

- Mam zamiar się zmienić i przywrócić równowagę między pracą a wypoczynkiem, między życiem dla innych i dla własnej rodziny.

Nie odpowiedziała, a Sokół pochylił się i pocałował ją w czubek głowy.

- Kolorowych snów, Elizabeth.

Dotknęła rozpalonych policzków i przycisnęła dłonie do piersi. Łza spłynęła jej po twarzy. Z ogromną tęsknotą w sercu powtarzała cicho jedno imię: Sokół...

Elizabeth nie widziała Czarnego Sokola przez tydzień. Wiedziała, że powinna czuć ulgę, kiedy wreszcie pozwolił jej samej decydować o własnym życiu. Była jednak zmar-twiona i zniecierpliwiona, a nawet czuła się porzucona. Przypuszczała, że to ciąża jest przyczyną złego nastroju.

- To wszystko przez ciebie, Czarny Sokole - mruknęła do siebie, ubierając się i przygotowując do sobotnich porządków.

Ze ścierką w dłoni weszła do pokoju obok sypialni. Był już najwyższy czas, żeby pomyśleć o urządzeniu pokoju dziecinnego. Starła grubą warstwę kurzu, która chyba zawsze zbiera się w pustych pomieszczeniach. Przynęła krzesło do okna i weszła na nie ostrożnie. Przede wszystkim należało wyrzucić stare, zniszczone zasłony.

Nagle Elizabeth poczuła, jak chwytają ją w pól czyjeś mocne dłonie.

- Co robisz?! - krzyknął Sokół, stawiając dziewczynę na podłodze.

- Zdejmowałam właśnie zasłony, a ty mi przeszkodziłeś!

- Nie wolno ci narażać życia mojego dziecka, wspinając się na meble.

Patrzył na nią, jakby była szalona. Gdyby nie ogarniający ją nagle gniew, zapewne by się roześmiał.

- Nie wspinam się na meble, stałam tylko na krześle!

- Jeśli chcesz, żeby ktoś wszedł na krzesło, poproś mnie.

Przyjdę i zrobię to z radością.

- Nie będę do ciebie dzwonić za każdym razem, kiedy mam coś do zrobienia. Puść mnie!

- Dlaczego?

- Żebym mogła zdjąć wreszcie te zasłony. Nie chcę, żeby dziecko musiało patrzeć na te okropne, stare szmaty.

- Moje dziecko będzie leżało w kołysce dziadka, we własnym pokoju na farmie.

- Na farmie?
- Będiesz mogła urządzić ten pokój, jak zechcesz.
- Przecież nie masz w chacie pokoju dla dziecka... Zresztą on nie będzie tam mieszkał. Zostanie ze mną.
- Nareszcie zgodziłaś się, że to chłopiec.

Sokół podeszedł do komody, wyjął z szuflady projekt i rozłożył go na podłodze.

- Oto nasz nowy dom. W poniedziałek zaczynamy budowę. Oboje w nim zamieszkamy, Elizabeth. - Rzucił jej wyzwanie zawziętym spojrzeniem.

Elizabeth stanęła przed nim z dłońmi opartymi na biodrach.

- Nie będę słuchać twoich poleceń, Sokole.
- W porządku. - Rzucił projekt na komodę. - Nie będę się z tobą kłócił na temat mieszkania. Jeśli wolisz zostać tutaj, niech będzie, przeniosę się do ciebie. Mogę zajmować się moją farmą, mieszkając w tym domu.

- Przeniesiesz się do mnie?
- To właśnie powiedziałem.
- Już raz pozwoliłam ci tu zamieszkać, no i zobacz, co z tego wynikło.

Uśmiechnął się tylko. Elizabeth podeszła do okna i wyjrzała: kocur próbował schwytać srokę, siedzącą na gałęzi dzikiej wiśni. To zabawne - całe jej życie uległo zmianie, a świat dookoła wciąż był taki sam.

Poczuła na ramionach dłońe Sokoła.

- Spójrz na mnie, Elizabeth - powiedział łagodnie.

Odwróciła się do niego. Odgarnął pasemko włosów z jej czoła i zaczął powoli wyjmować spinki.

- Zawsze tak ciebie widzę... z rozpuszczonymi włosami.
- Przywarł ustami do pulsującego miejsca z boku szyi. - Lubię twój smak, Elizabeth.

- Och, Sokole...

- Czekałem na ciebie. - Odpiął górny guzik bluzki i przesunął ustami wzdłuż piersi dziewczyny. - Czekałem, że przyjdiesz.

- Sokole, to, co było między nami, to tylko chwilowe szaleństwo.

Wciąż całował jej piersi i oddychała z trudem.

- To była wielka namiętność, która nigdy nie powinna była przerodzić się w miłość, nigdy.

- Ale to się stało.

- To jeszcze nie znaczy, że musimy popełnić błąd.

- Nie chcę już dłużej czekać. - Podniósł głowę i spojrzał na nią. - Zbyt wiele tracimy.

- Już raz straciłam dla ciebie głowę. Nie zrobię tego po raz drugi. Teraz muszę poważnie pomyśleć o przyszłości, mojej i dziecka.

Wziął ją za ręce.

- Pozwól mi opiekować się tobą, Elizabeth. Pozwól mi się kochać. Nigdy cię nie zranię ani nie opuszczę, zaufaj mi.

- Odwrócił jej dłonie i ucałował. - Nie martw się, Elizabeth. Wszystko będzie dobrze.

Elizabeth wyswobodziła się z objęć Sokoła.

Jak możesz tak mówić? To nie ty jesteś w ciąży.

- To moje dziecko, Elizabeth. I będę się nim opiekował, będę dbał o was oboje.

- Nie widziałam cię przez tydzień, Sokole.

- Ja...

- Daj spokój - przerwała, unosząc do góry dłoń. - Nie interesują mnie usprawiedliwienia. Mark przynajmniej nie szukał wymówek.

- Elizabeth... - W głosie Sokoła zabrzmiało ostrzeżenie.

Nie potrafiła już dłużej ukrywać uczuć. Cierpienie, lęk, niepewność zawrzały w niej i wreszcie musiały wybuchnąć.

- On przynajmniej nigdy nie udawał, że pragnie czegoś poza moim ciałem. „Masz taki sam temperament jak ja”, czy nie tak właśnie powiedziałeś na samym początku?

- Nie przeczę, że to nas połączyło.

- I nawet teraz, kiedy jestem brudna, ciężarna i nieznośna...

- Jesteś piękna...

- Nawet w czasie domowych porządków myślisz tylko o seksie.

- Powiedz tylko, że mnie nie chcesz, a pójdę sobie. -
Wziął jej twarz w dłonie i uniósł lekko. - Spójrz mi w oczy i powiedz to.

Elizabeth zacisnęła powieki, żeby go nie widzieć, jednak obraz mężczyzny pozostał przed jej oczami: ciemne, przenikliwe oczy i nieustępliwy wyraz twarzy, jakby stał naprzeciw najgroźniejszego nieprzyjaciela.

- Tego nie mogę się wyprzeć: pragnę cię, Sokole, i zawsze będę cię pragnęła. Ale uczyć się z tym żyć. Nie mogę być wciąż bezradna wobec pożądanego. - Po jej policzkach stoczyły się dwie wielkie łzy. - Zawsze, kiedy mi się to zdarza, zachodzę w ciążę.

- Elizabeth... Elizabeth... - Sokół wziął ją w ramiona i kołysał delikatnie, szepcząc kojące słowa. - Nie będziemy więcej o tym dyskutować, kochanie. Zrobię ci herbatę, a ty usiądź sobie w fotelu i popatrz, jak będę... robił wszystko, co jest do zrobienia.

Podniosła głowę.

- Nie potrzebuję...

- Ciii... - Otarł dłonią jej łzy. - Zostaję, Elizabeth - powiedział tonem nie znośnym sprzeciwu.

Jej smutek ulotnił się tak samo nagle, jak przyszedł. Wiedziała, że jeszcze przez kilka miesięcy będzie musiała znosić zmiany nastroju.

- Jeśli uważasz, że uda ci się wytrzymać z nieznośną, starą kobietą w ciąży...

- Jesteś moją kobietą... i kocham cię.

Elizabeth pominęła te słowa milczeniem. Nie miała nastroju do miłosnych wyznań.

- W porządku.

Usiadła w fotelu na biegunach i poczuła się lepiej.

- Zdejmij tylko te kółeczka z haczyków, tam na górze... O, świetnie. Bardzo dobrze, Sokole.

Roześmiała się na jego widok, gdy ze zmarszczonymi brwiami z całej siły skupiał uwagę na prostej czynności zdejmowania zasłon. Czarny Sokół niełatwo da się udomowić. Choć musiała przyznać, że się stara, a to dobry znak.

Został przez cały dzień, aby pomóc w różnych domowych pracach. Elizabeth prawie uwierzyła, że jej życie już zawsze będzie bezpieczne i proste.

Wieczorem siedzieli w kuchni i jedli razem skromny posiłek. Światło zachodzącego słońca odbijało się w szybach.

- Zmień zdanie, Elizabeth.

- Sokole, proszę...

- Wiem, obiecałem, że nie będziemy o tym mówić, ale martwię się tą sytuacją. Muszę być z tobą, żeby móc o ciebie dbać.

- Nie. Mam swoje życie, a ty swoje.

- To nie musi tak być. Zamieszkać ze mną.

- Nie!

- W takim razie przeprowadzę się tutaj. Jeszcze dziś przyniosę moje rzeczy.

- Nie. - Elizabeth wstała, obeszła stół i zanurzyła mu palce we włosach. - To był cudowny dzień. Nie psujmy go jeszcze jedną kłótnią.

- Nie chcę się z tobą kłócić. Chcę tylko poważnie porozmawiać.

- Zawsze się sprzeczamy, Sokole - uśmiechnęła się. - To dlatego, że jesteśmy do siebie bardzo podobni.

- Nie. - Indianin pochylił się i z czułością pocałował Elizabeth w usta. - Jesteś taka delikatna i piękna. Przyjemnie na ciebie patrzeć i miło cię dotykać. Wcale nie jesteśmy podobni.

Po jego wyjściu stała w oknie, patrząc w ciemność. Na przemian snuła plany i sama siebie strofowała za niepoprawne marzycielstwo. Czarny Sokół miał trudny charakter i zawsze pozostanie współczesnym wojownikiem, żyjącym od jednej potyczki do drugiej.

- Och, Sokole... tak chciałabym... - zawiesiła głos.

Nie była już pewna, czego pragnie.

Nazajutrz Sokół odwiedził brata.

- Znasz się na kobietach, Żelazny Sokole. Powiedz, czy popełniłem jakiś błąd?

- Popelniasz same błędy.
- Aż tak źle?

Żelazny Sokół roześmiał się, usiadł koło brata i położył mu dłoń na ramieniu.

- Żartowałem. To tylko taka mała zemsta za to, że zawsze muszę cię słuchać, bo masz rację.

- Jestem najstarszy. Muszę być głową rodziny.

Elizabeth jest uparta. Podejrzewam, że sama ma z tym niemało kłopotów.

- Dlaczego? Przecież chcę jej dobra. Dlaczego nie może tego zrozumieć?

- Ponieważ jest w ciąży i pewnie bardzo się boi.

Sokół wstał i zaczął chodzić po pokoju.

- Sam trochę się boję. Co będzie, jeśli ją stracę?

- Nie stracisz jej. Nie pamiętasz? Od czasów De Soto Chickasawowie nie przegrali żadnej bitwy.

Po wyjściu brata Żelazny Sokół wsiadł do swojego chevroleta i pojechał do Elizabeth. Nawet jeśli ta niespodziewana wizyta ją zaskoczyła, nie dała po sobie tego poznać. Otworzyła szeroko drzwi, jakby był oczekiwanym i mile widzianym gościem.

- Dzień dobry. Może powinienem był zadzwonić.

Uśmiechnęła się do niego serdecznie.

- Bracia Sokołowie mają zwyczaj wpadać bez zapowiedzi. Nawet jeszcze ci nie podziękowałam za uratowanie mi życia.

- Wystarczy, że tak ładnie wyglądasz.

Roześmiała się melodyjnie, a Żelazny Sokół pomyślał, że miło byłoby mieć taką bratową.

- Sokół cię przysłał? - zapytała, prowadząc go do saloniku.
- Nie.

W takim razie usiądź i czuj się jak w domu. Zrobię herbatę.

Wybrał wygodny fotel. Kiedy Elizabeth wyszła z pokoju, bezwiednie przesunął dłonią po poduszkach.

- A to co?

Znalazł kawałek rzemienia. Wyglądał zupełnie jak...

Chłopak uśmiechnął się - był to rzemień od koszuli brata. Jak na staruszka Sokół nieźle sobie poczynął. Może jeszcze była jakaś szansa na to małżeństwo?

Elizabeth wróciła z herbatą i Żelazny Sokół dyskretnie wepchnął rzemień z powrotem między poduszki. Gdy już podała mu filiżankę, chłopak znów usiadł, krzyżując długie nogi.

- Słuchaj, Elizabeth. Powiem od razu, bez owijania w bawełnę, dlaczego przyszedłem. Czy kochasz mojego brata?

- Tak.

- To mi wystarczy. - Odstawił kruchą filiżankę. - Jest uparty i ma w sobie trochę z dyktatora, ale jest także dzielny, lojalny i niezawodny. Nigdy nie przypuszczałem, że kiedykolwiek się zakocha, ale to się stało. On cię kocha, Elizabeth, i chce cię poślubić. Nie przyszło mu łatwo przyznać się do tego.

- Dlaczego?

- To nie jest zwykły człowiek, to legenda. - Żelazny Sokół pochylił się trochę do przodu i opowiedział historię ojca.

- Sokół był pierworodnym synem. Od dzieciennych lat słuchał tych opowieści i postanowił kontynuować legendę, być dla Chickasawów tym, kim był ojciec... i jeszcze więcej - uśmiechnął się. - Nie twierdzą, że nie miał nigdy żadnej kobiety, jest bardzo namiętny. Ale o tym pewnie sama dobrze wiesz.

- Gdybyś nie był takim miłym młodzieńcem, mógłbyś oberwać.

- Byle nie z tego twojego wielkiego pistoletu.

Roześmiali się wesoło. Chłopakowi spodobało się poczucie humoru dziewczyny brata i stwierdził, że oboje byli sobie warci.

- Z tego, co powiedziałem, wynika, jak sądzę, że Sokół nie jest idealnym materiałem na męża. Ale wiem, jak bardzo pragnie ciebie i dziecka. Mam nadzieję, że dasz mu szansę.

- Znów się uśmiechnął. - A jeśli on się nie sprawdzi, zawsze pozostają jeszcze ja.

- Mogę ci tylko obiecać, że dokładnie rozważę wszystkie

za i przeciw i podejmę decyzję, biorąc pod uwagę dobro nas wszystkich.

- Miałem nadzieję, że pojedziemy razem do domu moim niezawodnym chevroletem i подарuję cię bratu, ale myślę, że na razie muszę zadowolić się obietnicą.

Wstał, a Elizabeth uściśnięła mu dłoń.

- Kocham Sokoła i nigdy nie odmówię mu prawa do dziecka.

- I tak by ci nie pozwolił! - Pochylił się i pocałował ją w policzek. - Do widzenia... tymczasem.

Czarny Sokół zjawił się pod wieczór. Elizabeth siedziała na bujanej ławeczce, kiedy podjechał na koniu do werandy. Na tle zachodzącego słońca wyglądał jak piękny bóg. Przycisnęła dłonie do piersi i pomyślała, że jeśli serce może się zatrzymać, to jej właśnie się zatrzymało.

- Dobry wieczór, Elizabeth - powiedział uroczystym tonem.

- Sokole!

Było to wszystko, co mogła wyrzec. Serce podeszło jej do gardła i ledwie mogła oddychać. Bezwiednie przycisnęła obie dłonie do brzucha. Choć było jeszcze o wiele za wcześnie, żeby mogła coś poczuć, wydawało się jej, że dziecko drgnęło, jak gdyby rozpoznało głos ojca.

- Piękny dzień, prawda?

Sokół był wciąż uprzejmy i pełen dystansu. Elizabeth przechyliła głowę i uśmiechnęła się do ukochanego.

- Przyszedłem w konkury, nie masz nic przeciwko temu?

- W konkury?

- Oświadczyć się. Tak to się chyba nazywa.

- Nie sądzisz, że trochę już na to za późno?

- Nie chcę, żeby mój syn myślał, że nie mam dość szacunku dla jego matki.

- A więc... Może zsiądziesz z konia i przyjdiesz tu to mnie?

Dopiero teraz zobaczyła, że trzyma bukiet kwiatów. Były

to naparstnice i margerytki, związane długim kawałkiem wędkarskiej żyłki. Podał jej bukiet.

- To dla ciebie.

- Dziękuję. - Podniosła kwiaty do twarzy. Żaden bukiet nigdy nie wydał jej się tak piękny i cenny jak ten.

- Rosną przy drodze do mojego domu. Jedne i drugie przypominają mi ciebie. Margerytki mają takie same ciemne oczy jak ty, a naparstnice egzotyczną urodę i mocne łodygi.

Roześmiała się.

- Myślisz, że mam mocną łodygę?

- Bardzo mocną.

Usiadł na ławeczce tak blisko, że ich ciała się zetknęły.

Było to naturalne i cudowne; Elizabeth marzyła, żeby nie mieć przeszłości, być dziewczyną, zachwyconą niewinnymi doznaniem pierwszej miłości. Ale była w ciąży, czuła się zagubiona i trochę bała się przyszłości.

- Dziękuję za kwiaty, Sokole.

Wzięła ją za rękę.

- Myślisz, że powinniśmy to zrobić na pierwszej randce?

- zapytała z uśmiechem.

- Nie należę do nieśmiałych. Myślę, że trzymanie się za rękę to nic złego.

Pocałował jej dłoń i długo trzymał przyciśniętą do ust. Elizabeth zadrżała.

- Zimno ci? - Otoczył ją ramieniem. - Może w twoim stanie nie powinnaś siedzieć w chłodzie?

- To niezbyt grzecznie wspominać o moim stanie w czasie naszej pierwszej randki.

- Już nie będę.

Oparł sobie głowę dziewczyny na ramieniu i rozkołysał ławeczkę.

- Tak mi dobrze. Elizabeth.

- Mhm. Człowiek może się do tego przyzwyczaić.

To były piękne, pełne uczucia słowa. Właśnie to chciała usłyszeć. Ale Sokół umiał po mistrzowsku przekonywać i musiała mieć się na baczności.

Omalże nie roześmiała się na głos. Czyż mówiła to sobie

po raz pierwszy? Czyż nie przyrzekła sobie, że będzie ostrożna - tej nocy, kiedy poszła do jego sypialni? I co z tego wynikło?

- Ty nie, Sokole. Ty nigdy nie przywykniesz do spędzania wolnego czasu na werandzie.

- A ty, Elizabeth? Jak chciałabyś spędzić teraz wolny czas?

- Co masz na myśli?

Odwrócił się, żeby na nią spojrzeć.

- Znów się ode mnie oddalasz.

Syknęła gniewnie i próbowała się odsunąć.

- Poczekaj, Elizabeth. Dobrze byłoby, gdybyś mnie wysłuchała.

- Skąd wiesz, co jest dla mnie dobre? - Odepchnęła go, wypuszczając z ręki kwiaty.

- Zawsze wiedziałem, czego pragniesz.

- Kochać się z tobą, prawda? Myślałam, że będzie to miła wizyta. Przyniosłeś mi nawet kwiaty. Ale nie. Zawsze w końcu musisz zamienić każde nasze spotkanie w wojnę płci.

- Nie wyszło mi. - Sokół znów ją obejmował, a jego twarz przybrała zacięty wyraz. - Miałem zamiar dać ci kwiaty, być miły i szarmancki, a potem wsiąść na konia i odjechać. - Zaciśnął dłonie na ramionach Elizabeth. - Między nami zawsze tak będzie. Ani ty, ani ja nie możemy opanować pożądanego.

- Właśnie że ja mogę.

- Dlaczego, Elizabeth? - Pochylił się tak, że niemal dotykał ustami jej ust. - Nie widzisz, co robisz? Oddalając się ode mnie, znów uciekasz przed sobą. Wyrzekając się naszej miłości, znów zamykasz się w domu i stajesz się odludkiem. Robisz znów to samo, co siedem lat temu.

- Jak śmiesz...

- Nie pozwolę ci odrzucić miłości. - Zamknął jej usta pocałunkiem.

Walczyła przez moment, ale w końcu zwyciężyła magia, która zawsze towarzyszyła ich spotkaniom. Objęła ukocha-

nego i przytuliła się mocno. Usta i ręce Sokola wędrowały po ciele dziewczyny, doprowadzając ją do dobrze jej znanego stanu.

- Nie, Sokole... proszę, nie.

- Wróć do mnie, Elizabeth. Jesteś moja, zawsze będziesz moja, nie zaprzeczaj.

- Nie należę do żadnego mężczyzny.

Ostatnim wysiłkiem woli odsunęła się od niego. Pociągający i zamyślony, siedział na ławeczce, wpatrując się w dziewczynę. Miała wrażenie, że przenika oczami jej duszę.

Wstała i przycisnęła ręce do brzucha.

- Idź już, proszę.

Wstał i powoli wsunął jej palce we włosy. Od ciepła tych dłoni poczuła dreszcze.

- Uwielbiam twoje włosy - szepnęła.

Stali tak przez długą chwilę, w końcu Sokół odwrócił się i odszedł.

Elizabeth patrzyła, jak Sokół wsiada na konia. Spojrzał na nią przez moment, wyprostowany w siodle, i myślała, że odjedzie w milczeniu. Jednak ścisnąwszy wierzchowca kolanami, powiedział na pożegnanie:

- Przyjdiesz do mnie, Elizabeth. Jesteś moja.

Ogier pogalopował w dal, zaś Elizabeth opadła na ławeczkę. Dzikie kwiaty leżały rozrzucone na werandzie - tam, gdzie je upuściła. Schyliła się, żeby je pozbierać. Zwiędły już, jak wszystkie polne kwiaty zabrane z ich naturalnego otoczenia.

Sokół był taki sam jak ten bukiet, dziki i piękny. Nie będzie umiał żyć bez swoich lasów i wzgórz, bez walki w obronie środowiska, której przewodził. A co będzie z nią? Czy potrafi żyć w innym świecie? Przez siedem lat ukrywała się w domu na odludziu. Wprawdzie ostatnio, odkąd poznała Sokola, jej życie się zmieniło, ale nie były to duże zmiany. On wciąż wystawiał się na widok publiczny. Czy zdołałaby to wytrzymać? Czy mogłaby czuć się bezpieczna? Powiał chłodny, wieczorny wiatr i Elizabeth zadrżała. Podniosła się z ławeczki, weszła do domu, niosąc zwiędłe kwiaty. W sy-

pialni otworzyła dziennik i włożyła kwiaty między strony. Kartka od Sokoła sfrunęła na podłogę. A może miał rację? Może rzeczywiście, wyrzekając się miłości, znów próbowała uciec przed życiem? Czy naprawdę przeszłość musiała wciąż powracać?

Rozebrała się i położyła do łóżka, zbyt zmęczona, żeby o czymkolwiek myśleć.

Przez następne dwa dni Elizabeth próbowała podważyć słuszność tego, co powiedział Sokół. Nie przychodził do niej. Zapewne był zajęty jakimiś nowymi sprawami, a może przygotowywał jeszcze jeden atak, nie wiedząc, że opór dziewczyny słabł. Znała dobrze swojego kochanka i miała całkowitą pewność, że nie da za wygraną.

Trzeciego dnia, kiedy Elizabeth wróciła z pracy, zastała w skrzynce list. Na kopercie był stempel z New Haven. Od razu rozpoznała charakter pisma, choć nie widziała go od dawna, dokładnie - od siedmiu lat. Dobrze wiedziała, do kogo należą te pajęcze linie i ostre łuki.

Zaniosła list do kuchni i położyła koło pojemników z solą i pieprzem. Zaparzyła sobie kubek herbaty z cytryną i miodem.

Przez długą chwilę wpatrywała się w kopertę. Mark Laton - głos z przeszłości. Kusilo ją, żeby wyrzucić list, nie otwierając go nawet. Nie chciała wiedzieć, co Mark ma jej do powiedzenia.

Kiedy sięgnęła, żeby wziąć jeszcze trochę miodu, zaważdziła o stół zaokrąglonym brzuchem. Niedługo ciąża będzie widoczna.

Pomyślała o Sokole - o tym, jak wyglądał za każdym razem, gdy go odrzucała i kazała mu odejść. Nagle uświadomiła sobie, że Mark nadal jest częścią jej życia, i to przez niego próbuje wyrzec się jedynej mężczyzny, którego kocha, i ojca jej dziecka. Otworzyła powoli list i rozłożyła go na stole.

Najdroższa Elizabeth! - przeczytała. To było podobne do Marka: po tych wszystkich latach znów używał czułych słów. Zawsze był pewien, że ma na nią wielki wpływ. Elizabeth zmusiła się, aby czytać dalej.

Z pewnością jesteś zaskoczona, że piszę do Ciebie po tylu latach, ale czuję potrzebę uporządkowania przeszłości, o ile to w ogóle jeszcze możliwe. Moja droga Elizabeth, postąpiłem wobec Ciebie nikczemnie. Zrozumiałem to dzięki Twojemu przyjacielowi, Czarnemu Sokolowi.

A więc znowu Sokół. Jak zwykle stanął do walki - nawet o nią. Elizabeth uśmiechnęła się z czułością.

Byłaś młoda, piękna i niewinna. Pragnąłem Cię tak bardzo, że niegodziwie Cię wykorzystałem. Zrozumiałem to zbyt późno. Wtedy widziałem w naszym związku tylko wielką, wspaniałą przygodę, która może trwać latami. Wyobrażałem sobie nawet, że mógłbym ukryć Cię w małym domku gdzieś na wybrzeżu i mieć Cię zawsze, kiedy tego zapragnę, zmęczony codziennym życiem żonatego mężczyzny iszacownego profesora.

Kochałem Cię, najdroższa Elizabeth. Nigdy Ci tego nie powiedziałem. Może jeszcze nadal cię kocham...

Ale nie dlatego piszę ten list. Piszę, żeby powiedzieć Ci, jak mi przykro, i prosić o przebaczenie. Przepraszam, że Cię zdradziłem i porzuciłem. Przez te wszystkie lata dręczyło mnie poczucie winy. Mam nadzieję, iż w głębi serca znajdziesz dla mnie przebaczenie, bo sam sobie nie potrafię wybaczyć.

Twój Mark Laton

Elizabeth złożyła list i wsunęła z powrotem do koperty. Zdziwiła się, że nie sprawił jej bólu. Nie czuła cierpienia ani gniewu, tylko nieokreślony smutek i wielką ulgę.

Wstała, żeby wziąć zapalniczki i metalową tacę. Przysunęła list do płomienia i patrzyła na popiół.

„Żegnaj, Mark”.

Kiedy ostatni strzęp zwęglonego papieru spadł na tacę, wrzuciła popiół do zlewozmywaka i polała wszystko wodą, która zabulgotała, zabierając ostatnie ślady przeszłości.

Elizabeth oparła się o szarękę. Ogarnęło ją nagle ogromne

poczucie swobody, które rosło, aż przerodziło się w wielką, rozsadzającą piersi radość.

- Sokole - szepnęła.

Imię odbiło się echem w kuchni.

Rozejrzała się dookoła. W ciemności dom wydawał się pusty, cichy i samotny. Odrzucając miłość Sokola, nie stworzyła sobie wcale bezpiecznego schronienia, lecz zbudowała jeszcze jedno więzienie. Myśląc o przyszłości u boku ukochanego, Elizabeth poczuła, że rozluźniają się krepujące ją pęta. Teraz już będą walczyć razem, wspólnie podejmować każde ryzyko, przeżywać zwycięstwa i radości. To nie Sokół musi się zmienić, ale ona. Wreszcie może to zrobić, jest wolna.

Spokojnie weszła na górę. Nie musiała się spieszyć - dobrze wiedziała, co chce zrobić i dokąd iść.

Sokół był właśnie w stajni, kiedy usłyszał podjeżdżający samochód. Zostawił klacz z jej nowo narodzonym źrebkiem i wyszedł na zewnątrz, pozostając niewidoczny w mroku. Jak zwykle był ostrożny. Teraz, kiedy miał zostać ojcem, wzmógł jeszcze czujność. Nie chciał narażać się bez potrzeby.

Zobaczył Elizabeth, jak szła w stronę stajni - wysoka, wyprostowana, z rozpuszczonymi włosami, w których lśniło światło księżyca.

Chciał już do niej podbiec, ale przypomniał sobie, jak katastrofalnie zakończyło się ostatnie spotkanie. Był zdecydowany dać dziewczynie trochę czasu do namysłu. Nie mógł teraz pozwolić sobie na emocje.

Przy drzwiach zawahała się na moment.

- Sokole! - zawołała miękko. - Jesteś tam?

- Tak, Elizabeth. - Wyszedł z cienia i stał nieruchomo.

- Zobaczyłam światło... i pomyślałam, że może tu jesteś.

- Tak, moja klacz Biała Gwiazda właśnie się ożrebiła.

W świetle latarni widać było klacz i jej młode, stojące niepewnie na patykowatych nogach. Czarny źredek miał białą gwiazdkę na czole.

- Wyrośnie na dobrego ogiera, takiego jak jego ojciec. Podaruję go synowi.

- Sokole... - Elizabeth podeszła bliżej. - Kiedyś, dawno, przyszedłem do ciebie.

- Latem, kiedy drzewa były zielone. - Tłumił w sobie pożądanie, patrząc na ukochaną i pragnąc jej aż do bólu.

- Przyszedłem do twojej sypialni, Sokole, i razem poszybowałiliśmy w przestworza. - Zbliżyła się jeszcze o krok i delikatnie dotknęła ręką brzucha. - Razem uczyniliśmy cud.

- Mojego syna.

Stała przez chwilę w bezruchu, a nocny wiatr muskał jej włosy. Uśmiechnęła się uwodzicielsko.

- Powiedziałeś, że jestem twoja.

- Tak.

Elizabeth położyła sobie jego dłonie na piersiach, które były teraz dojrzałe i pełne.

- Chcę być z tobą, kochany, od dziś już na zawsze. Jestem wolna, Sokole, nareszcie wolna od przeszłości i nie boję się dni, które nadejdą.

- Przy mnie będziesz bezpieczna.

- Nie chcę już być bezpieczna, ale szalona, grzeszna i odważna. Muszę być przy tobie w każdej chwili. - Sięgnęła ręką do bluzki i zaczęła powoli odpinać guziki. - Chcę być twoja, Sokole. Pragnę być twoją kobietą, twoją kochanką, twoją żoną.

Upuściła bluzkę na siano i zaczęła zdejmować spódnicę. Jej ruchy były leniwe i zmysłowe.

Sokół stał oparty o drzwi stajni, przyglądając się jej z uśmiechem. Przyszła wreszcie. Przyszła i pragnęła go! Mieli przed sobą wszystek czas wszechświata - teraz i zawsze.

Stała przed nim okryta tylko białym jedwabiem, tak cienkim, że niemal przezroczystym. Poruszyła lekko ramionami i wąskie ramiączka opadły, ukazując różowe piersi. Elizabeth uśmiechnęła się i zrobiła krok naprzód. Sokół ujął w dłonie twarz dziewczyny i zanurzył palce w jej włosach.

- Dla mnie, Elizabeth, zawsze będziesz nosiła rozpuszczone włosy.

- Dla ciebie - szepnęła.

Przesunął powoli dłońmi wzdłuż jej ciała.

- Moje dziecko dojrzewa w tobie.
- Nasze dziecko.
- Pierwsze z wielu.

Elizabeth przyciągnęła go bliżej, a Sokół przywarł ustami do jej piersi. Jęknęła z rozkoszy.

Klacz zarżała cicho, źrebię odpowiedziało jej kwileniem. Buszująca w górze nad głowami kochanków mysz strąciła na nich deszcz siana. Sokół ułożył Elizabeth i patrzył na nią błyszczącymi z podniecenia oczami.

- Biorę cię w niewolę.
- A ja ciebie.

Dotknęła delikatnie jego policzka.

- Nigdy nie pozwolę ci odejść.
- Nigdy nie zechcę odejść.

Zrzucił ubranie i połączył się z nią, jeszcze raz potwierdzając ich miłość.

RS

EPILOG

Elizabeth siedziała przy biurku w swoim obszernym domu na farmie. Promienie letniego słońca wpadały swobodnie przez świetliki i odsłonięte okna.

Uśmiechnęła się, przeglądając ostatnią korespondencję. Gubernator Missisipi miał zamiar uhonorować jej męża za zasługi w ochronie środowiska naturalnego stanu. Zanotowała datę w kalendarzu. Zapraszano też Sokoła do wygłoszenia odczytu na konferencji poświęconej lasom wybrzeża Zatoki Meksykańskiej. Była także prośba do niej o przemówienie na zebraniu Towarzystwa Ochrony Czystego Powietrza i zaproszenie dla obojga do udziału w telewizyjnej dyskusji o metodach utylizacji odpadów.

Odpisała Towarzystwu Ochrony Czystego Powietrza, przyjmując zaproszenie, a resztę listów odłożyła na bok, żeby omówić je z Sokołem. Wstała i przeciągnęła się. Zawiązała mocno pasek szlafroka i poszła do kuchni na śniadanie.

Czterej synowie kłócili się właśnie o to, który z nich pierwszy zostanie przedstawiony na dzisiejszej uroczystości. Piętnastoletni Wielki Sokół chciał narzucić im swoje zdanie.

- Jestem najstarszy - mówił do braci, połykając płatki zbożowe z mlekiem. - Burmistrz na pewno -wymieni najpierw moje imię.

Sześćioletni Czarny zacisnął pięści i spojrzał na brata zupełnie tak, jak czasem patrzył ich ojciec. Elizabeth musiała zakryć usta dłonią, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

- Mam na imię tak samo jak tatuś - powiedział. -Ja będę pierwszy!

Ośmioletni Michael i dwunastoletni Jonathan włączyli się do sporu. Wkrótce kuchnia rozbrzmiewała gwarem silnych chłopięcych głosów. Każdy chciał podporządkować sobie pozostałych braci.

„Zupełnie tacy sami jak ich ojciec” - pomyślała Elizabeth i uśmiechnęła się do synów.

- Chłopcy - powiedziała, przerywając sprzeczkę. - Idę na górę ubrać się na uroczystość. Proszę skończyć śniadanie i przygotować się do wyjazdu. Nie chcemy się spóźnić. To przecież wielki dzień taty.

- Co to znaczy? - Czarny złapał za brzeg szlafroka. - Powiedz mi jeszcze raz, co to znaczy, że tata ma wielki dzień.

Elizabeth pochyliła się i objęła najmłodszego syna.

- Tatuś jest bardzo ważnym człowiekiem, który ciężko pracował, żeby mieszkańcy naszego miasteczka mieli miejsce, gdzie można by odpocząć z dala od hałasu i być blisko przyrody. - Zwichrzyła mu włosy. - Dawno temu, kiedy byłeś jeszcze malutki, niektórzy ludzie z władz miasta chcieli sprzedać te tereny i zbudować tam fabrykę butów. Tatuś bardzo się napracował, żeby uratować park.

- Ty też, mamó - dodał Wielki Sokół z dumą w głosie. - Pamiętam, jak oboje walczyliście w obronie parku.

- Opowiedz mi jeszcze o fabryce butów - nalegał Czarny. Znał tę historię na pamięć, ale wciąż słuchał jej z wielką przyjemnością.

- Tatuś zauważył, że nasze miasto rozrasta się zupełnie bez planu, a fabryki i inne obiekty przemysłowe są budowane wszędzie. Razem z innymi ludźmi, których też to zaniepokoiło...

- Z tobą, mamusiu - dodał Wielki Sokół.

- Tak, byłam wśród nich. Obmyśliśmy plan, który pozwoliłby ocalić nasz park, a zakłady przemysłowe, takie jak fabryka butów i nowa wytwórnia mebli, zlokalizować gdzie indziej.

- Opowiedz teraz o zieleni - nalegał wciąż Czarny.

- To się nazywa zielony pas. Zaprojektowaliśmy i wymogliśmy na radzie miejskiej stworzenie pasa zieleni, który

oddziela rzędami drzew osiedla i parki od przemysłowej i handlowej części miasta.

- I wszyscy sadzili drzewa - Czarny klasnął w dłonie. - Aby wszystkie ptaki i zwierzęta mogły tam zamieszkać.

- Tak. Wszyscy sadzili drzewa. A dzisiaj mieszkańcy miasta przyjdą na uroczystość otwarcia parku. Będzie się nazywał Centrum Przyrodnicze Sokoła, a w samym środku stanie wielki pomnik waszego tatusia.

- Na koniu?

- Tak, na koniu.

- Fajnie. Czy będę mógł wejść na pomnik i usiąść za tatusiem?

- Sam go zapytaj.

- Zawsze tak mówisz - zachichotał Czarny.

- To dlatego, że tatuś jest najmądrzejszym człowiekiem, jakiego znam. - Dotknęła głowy małego. - A teraz skończ śniadanie.

Pobiegła na górę ubrać się na uroczystość.

Czarny Sokół wrócił z porannej przejażdżki, która była jednocześnie lustracją gospodarstwa, uwiązał konia i wszedł do domu. Oczy mu błyszczały - jak zawsze, kiedy szedł na spotkanie z Elizabeth.

Zajrzał do kuchni, żeby przywitać się z dziećmi, i wbiegł na górę. Czuł egzotyczny zapach, spływający po schodach w dół.

Jeśli będzie miał szczęście, zobaczy, jak Elizabeth wychodzi z wanny, mokra i pachnąca.

- Elizabeth! - zawołał, otwierając drzwi do sypialni.

Stała przy toalecie, w niebieskiej, jedwabnej sukni, i upinała włosy.

- Już się ubrałaś.

Roześmiała się na widok jego zawiedzionej miny.

- Chyba jesteś rozczarowany.

- No właśnie. - Oczy mu zabłyśły, gdy podszedł do Elizabeth. - Ale wiem, jak to zmienić.

- Gdybym nie była taka bezwstydna, mogłabym ci przypomnieć, że nie powinniśmy spóźnić się na uroczystość.

- A ja mógłbym ci przypomnieć, że jestem honorowym gościem i na pewno beze mnie nie zaczną. - Wziął żonę w ramiona i wtulił twarz w jej policzek. - Ładnie pachniesz.

- A ty pachniesz skórą i sianem, i... koniem.

Teraz on się roześmiał.

- Marudzisz.

- Nigdy nie marudzę. - Elizabeth zaplotła mu dłonie na szyi i przyciągnęła go bliżej.

- Gdzie jest Sophie?

- Jak zwykle na koniu.

Sokół wziął żonę za rękę i zaprowadził do okna. Ich córka Sophie Elizabeth miała już szesnaście lat i pełna była młodzieńczej radości. Jechała właśnie przez pastwisko na Czarnej Gwieździe - ogierze, którego ojciec podarował jej w dniu narodzin.

- Spójrz tylko, jak trzyma się w siodle, jak prowadzi konia!

- Jest dzielna, silna i dumna, zupełnie jak jej ojciec.

- Jest inteligentna i piękna, zupełnie jak jej matka.

Obejmując żonę, Sokół przyglądał się przez chwilę córce z dumą i miłością.

Bez pomocy Sophie może nigdy nie zdobyłby ręki jej matki. Gdyby jego ukryty romans z Elizabeth nie dał im córki, mogliby w ogóle nie dowiedzieć się o swych uczuciach. Przede wszystkim, gdyby nie znalazł się wtedy przypadkowo w piwnicy Elizabeth...

- Sokole, o czym myślisz?

Odwrócił się od okna, podszedł do żony i wyjął spinki z jej włosów. Przegarnął je palcami, patrząc, jak lśnią w promieniach słońca.

- Myślałem o ukrytym przejściu, o ciemnej piwnicy i pewnej młodej kobiecie, która stawiała mi czoło z ogromnym magnum 44.

- To już prawie siedemnaście lat.

- Kocham cię jeszcze bardziej niż wtedy, o ile to w ogóle możliwe. - Sokół objął Elizabeth i zsunął jej suknię z ra-

mion. - Ilekroć na ciebie patrzę, pragnę cię i tęsknię. Chcę trzymać cię w ramionach, dotykać, kochać się z tobą.

- Ze mną jest to samo. Nadal masz nade mną władzę.

- Chodź, kochanie. - Uniósł ją w ramionach, zostawiając po drodze do łóżka rząd rozsypanych na dywanie spinek. - Jestem Sokół. Razem poszybujemy w przestworza...

RS